ROK Z PANDEMIĄ
Polacy zmęczeni, rząd zajęty sobą

OSKARŻONY EPISKOPAT
Robert Fidura: ofiary tego nie zapomną

BANKI I FRANKI
Godzina sądu lub ugody

MARS WITA NAS
Sonda w naszą przyszłość

ARTUR ROJEK
Ładny głos i inne poważne sprawy

Kraków 28 lutego 2021 nr 9 (3738) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

DARIUSZ ROSIAK

Poznaj nasz świat

W WYDANIU DODATEK
EUROPA SIĘ SZCZEPI

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

pah
Polska Akcja Humanitarna
Twój 1% działa!
Przekaż jeden
procent podatku
Polskiej Akcji Humanitarnej
KRS 0000 136 833

KS. ADAM

Boniecki: *I tak minął zarazy rok pierwszy*

Rok temu, w środę 4 marca 2020 r., ówczesny minister zdrowia Łukasz Szumowski poinformował o pierwszym w Polsce przypadku koronawirusa. Rok temu... Rok osobliwy, różny od innych, choćby przez doświadczenie globalności zarazy. Na atak byliśmy wystawieni wszyscy, wystarczyło być mieszkańcem ziemskiego globu. Teraz możemy/będziemy mogli się zaszczepić, mieć spokój – aż do następnego zagrożenia. Doświadczenie ważne, bo choć teoretycznie o globalnych zagrożeniach (np. klimatycznych) wiemy, to przejście od teoretycznej wiedzy do doświadczenia jest ważne, zwłaszcza wtedy, gdy doświadczenie to oznacza 100 milionów zakażeń koronawirusem SARS-CoV-2 oraz ponad 2 miliony zgonów od początku pandemii.

W tej rocznicowej medytacji nie może zabraknąć rozmyślań o Kościele. Przewodnikiem może być ks. Tomáš Halík, który w pustym kościele Najświętszego Salwatora w Pradze głosił kazania przez zeszły Wielki Post i okres wielkanocny. Jedno z tych kazań zamieściliśmy w „Tygodniku" (nr 14/2020), potem wszystkie ukazały się w książce „Czas pustych kościołów". Ks. Halík nie mówi o koronawirusie – mówi o Bogu, o Jezusie, o Kościele, o naszej wierze i niewierze. W piątą niedzielę Postu, nawiązując do polecenia, które znad pustego grobu zostało przekazane apostołom: „Nie ma Go tu! Powstał z martwych! Śpieszy przed wami do Galilei, tam Go zobaczycie", w przypominającym pusty grób pustym kościele pytał: „gdzie jest ta dzisiejsza Galilea? Galilea pogańska, miejsce, dokąd mamy pójść i znaleźć tam żywego Chrystusa? Znaleźć tam Boga zmienionego nie do poznania doświadczeniem śmierci?".

Ks. Halíka inspirują także przeżycia ściśle związane z pandemią. I tak np. uświadamia swoim słuchaczom, że dotychczas znakiem wyróżniającym nas jako katolików było „chodzenie do kościoła". Komentarz: „I proszę, papież jednym pociągnięciem pióra może wydać dyspensę i już żaden katolik nie musi chodzić w niedzielę na mszę. I z tego powodu nie jest ani na jotę mniej chrześcijaninem". Warto pamiętać, że pierwszych chrześcijan ludzie rozpoznawali po ich wzajemnej miłości. Nas rozpoznają po „chodzeniu do kościoła". Żeby znaleźć to, co istotne, z wielu rzeczy musimy zrezygnować.

Ks. Halík głosi te kazania nie podczas mszy. Jest przeciwny jej elektronicznym transmisjom: „do realnej obecności Chrystusa w Eucharystii – pisze – konieczna jest realna obecność wierzących wokół stołu Pańskiego". Kilkakrotnie powtarza: „Uczty nie da się zastąpić ucztą na odległość". Fragmenty wstępu do książki poświęcone „wymuszonemu postowi eucharystycznemu" są poruszające, jak choćby wzmianka, że parafianie Halíka przez ten post wyrażają solidarność z chrześcijanami żyjącymi w tzw. sytuacjach nieregularnych, „którym dzisiejsze prawo kościelne nie udziela pokrzepienia Eucharystii".

Ks. Halík, mądry przewodnik czasu pustych kościołów, precyzyjnie nazywa to, co my mgliście czujemy. Dla idących z Kościołem przez ciemną dolinę kryzysu to upragnione światło. Oczywiście, każdy ma z tej wędrówki własne doświadczenie. Dla mnie te transmitowane (nie „obowiązkowe"!) msze są dobrym doświadczeniem. Jesteśmy razem mimo dzielących nas granic i odległości. Że jest to bliskość duchowa, nie fizyczna? Czy dla Boga liczy się tylko to, co fizyczne? Pandemia przypomniała o Komunii duchowej i o żalu, który gładzi grzechy. Tak, w tej mszy spotykamy się bardzo realnie.

„Ten czas może być przygotowaniem do sytuacji, która może bardzo szybko nastać, o ile Kościół – tak, Kościół, nie świat! – nie nawróci się i nie zmieni". Halík przygotowuje słuchaczy na nadejście „innej postaci Kościoła" (wysiłki, by powrócić do dawniejszej jego postaci, to szaleństwo!).

Jakiej „innej"? ©℗

„Święta spotkania" – wydania specjalnego w interpretacji znakomitych lektorów – słuchaj w aplikacji Audioteka.

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

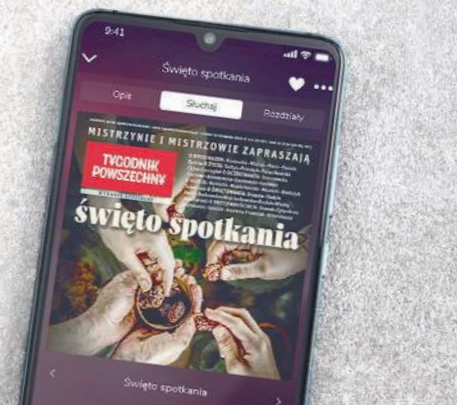

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Obnażeni przez koronę
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Rządzący pokazali, że są zbyt mali na takie czasy. A my wszyscy zbyt często jesteśmy gotowi machnąć ręką na cudze cierpienie i śmierć.

17 Zmęczenie niczym
ROZMOWA Z JAGODĄ LATKOWSKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ:
Może ten rok, niby bezczas, jest ważnym spotkaniem z kruchością naszego gatunku? Rozsypało się nam nieco poczucie mocy i bycia panem stworzenia.

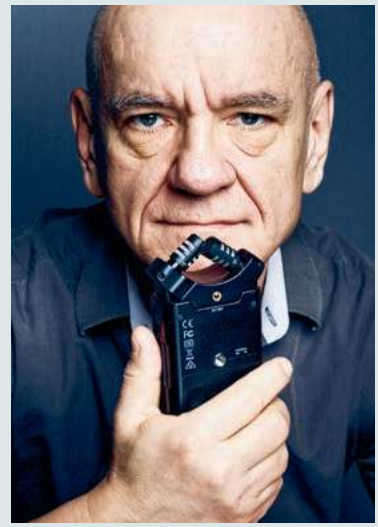

32 Najważniejsze pytanie świata
ROZMOWA Z DARIUSZEM ROSIAKIEM, DZIENNIKARZEM:
Kultura unieważniania jest pozbawiona sensu, wyłączona z myślenia przyczynowo-skutkowego, poddana ideologii. Trzeba protestować.

52 Walenie głową w ścianę
ROZMOWA Z ROBERTEM WIKTOREM FIDURĄ-PORYCKIM:
Do świadomości, że zostałeś seksualnie wykorzystany, nie jesteś w stanie się przyzwyczaić.

22 Frankowa ugoda na horyzoncie
MAREK RABIJ
25 lat temu polskie banki podały klientom zatruty owoc – kredyt w obcej walucie. Czy teraz czeka je wygnanie z raju?

81 Wykrakałem
ROZMOWA Z ARTUREM ROJKIEM, MUZYKIEM:
Babcia mówiła: „Ładnie śpiewasz, ale może weź się już skoncentruj na czymś innym”.

76 W marsjańskim zwierciadle
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Nawet jeśli nie znajdzie śladów życia, łazik Perseverance może nam pomóc zrozumieć fundamentalne procesy na Ziemi.

ANDRZEJ GRYGIEL / PAP // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP” // MARCIN OBARA / PAP // NASA / JPL-CALTECH // BEATA ZAWRZEL / REPORTER // ALBERT ZAWADA DLA „TP”

6 Wirus zmienia reguły
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Frankowa ugoda na horyzoncie
MAREK RABIJ

26 Świadkowie rozpaczy
MAŁGORZATA NOCUŃ: *Młodzi adepci medycyny coraz rzadziej wybierają specjalizację ginekologiczno-położniczą. Mają powody*

29 Wielka Księga Nieznanej Codzienności
STANISŁAW ŁUBIEŃSKI: *Kiedy w lesie pada śnieg, świat kurczy się i cichnie jak zamknięty w szklanej kuli*

OPINIE

32 Najważniejsze pytanie świata
ROZMOWA Z DARIUSZEM ROSIAKIEM

WIARA

52 Walenie głową w ścianę
ROZMOWA Z ROBERTEM WIKTOREM FIDURĄ-PORYCKIM

56 Zabójcza protekcja
KS. JACEK PRUSAK SJ: *Śmierć ks. Dymera nie oznacza amnestii dla tych, którzy go chronili*

58 Archiwum Pana Boga
JAN GRZEGORCZYK: *Marcin Babraj wiedział, że nikt nie potrafi mówić o Bogu jak ci, którzy Go odnaleźli*

DO LASU

DODATEK

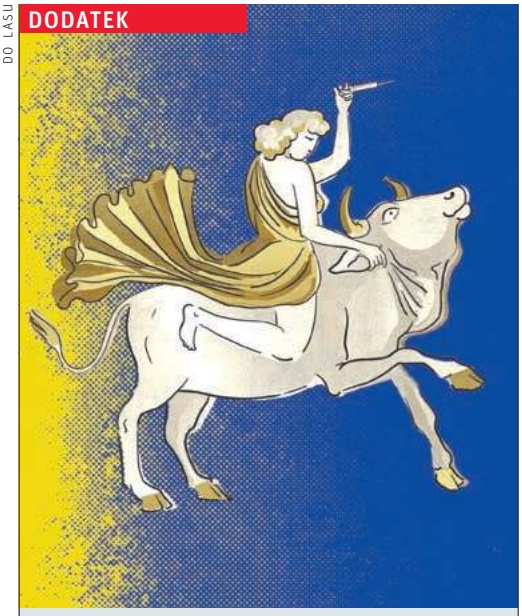

37 Europa się szczepi
- Zjednoczeni jak nigdy
- Jak to robią Niemcy, Hiszpanie, Francuzi i Brytyjczycy
- Zastrzyk sprawiedliwości
- Wirus zostanie na długo

FELIETONY

31 DOROTA MASŁOWSKA **61** ZUZANNA RADZIK
79 ANDRZEJ STASIUK
92 JAN KLATA **93** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: Dariusz Rosiak, luty 2021 r.
FOTOGRAFIA: Maciej Zienkiewicz dla „TP"
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

ŚWIAT

62 Będziemy się kłócić do końca świata
ROZMOWA Z HANNĄ RADZIEJOWSKĄ: *Chcemy opowiadać Niemcom o tym, co ważne. Dla nas i dla nich*

67 Byle przeczekać zimę
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU: *Coraz więcej Afgańczyków żyje w nędzy*

70 Kawangware jest wszędzie
ARTUR GUTOWSKI Z NAIROBI: *Oto spacer po dzielnicy nowego afrykańskiego miasta*

HISTORIA

72 Miasto dwóch czystek
PRZEMYSŁAW KAWALEC: *Zabytki Mostaru można odbudować, gorzej z relacjami między ludźmi*

NAUKA

76 W marsjańskim zwierciadle
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

KULTURA

81 Wykrakałem
ROZMOWA Z ARTUREM ROJKIEM

85 Szanse na przeżycie
PIOTR KOSIEWSKI: *Czy kultura przetrwa czas pandemii*

88 Jestem Sada Hanasaki
KAJETAN PROCHYRA: *Pierwsza Polka i pierwsza tancerka spoza Japonii może nauczać klasycznego japońskiego tańca*

90 Skrzydła i korzenie
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Metamorfoza ptaków" Catariny Vasconcelos*

92 Tajemnica
LEKTOR *o książce „Świetlista republika" Andrésa Barby*

ZMYSŁY

94 Latawiec nad biegunem
ADAM ROBIŃSKI: *Antarktyda. Co to znaczy „odkryć kontynent"?*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Kiepska pogoda i pandemia spowodowały, że na Jamajce, za której wizytówkę uchodzi muzyka reggae, rastafarianie i marihuana, tej ostatniej zaczyna brakować
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Własny pokój [Podkast Powszechny]
Gdy już mnie zamknęli i znalazłam się w obrzydliwej celi w podziemiach, nagle poczułam wolność. Powiedziałam sobie – co oni mi mogą zrobić? – opowiada reżyserka **AGNIESZKA HOLLAND** w cyklu rozmów **KATARZYNY KUBISIOWSKIEJ** powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

Turyści wypoczywają nad morzem w Sopocie. To drugi weekend ze zluzowanymi obostrzeniami. 21 lutego 2021 r.

WIRUS ZMIENIA REGUŁY

Do zaszczepienia większości Polaków daleko, zmęczenie lockdownem narasta, a trzecia fala już się zaczęła.

MACIEJ MÜLLER

Czeka nas miesiąc nieprzerwanych wzrostów zakażeń" – ostrzegł minister zdrowia w rozmowie z TVN24. Adam Niedzielski uważa, że trzecia fala pandemii już jest w Polsce i spodziewa się jej apogeum na przełomie marca i kwietnia. Liczba dziennych zakażeń ma wtedy sięgać 10-12 tys. Niedzielski nie obawia się więc takiego przeciążenia systemu, do jakiego doszło jesienią (nawet 25 tys. przypadków dziennie).

Większość ekspertów sceptycznie podchodzi do oficjalnych statystyk. Analizując liczbę zgonów wskazują, że poziom niedoszacowania skali infekcji jest bardzo duży. Dr hab. Ernest Kuchar, specjalista chorób zakaźnych, tłumaczy, że 200 zgonów oznacza liczbę przypadków rzędu 20 tys. „Wykrywamy tylko niewielki odsetek zakażeń" – wyjaśniał w rozmowie z PAP.

Trzecia fala może nie przypominać tej z końcówki 2020 r., bo zmieniły się reguły gry. W Polsce raportowano już liczne przypadki wariantu brytyjskiego SARS-CoV-2, a Niedzielski ostatnio poinformował o wykryciu wariantu południowoafrykańskiego. Skala występowania mutantów pozostaje nieznana: w Polsce – wbrew ponawianym od tygodni apelom epidemiologów – nie sekwencjo-

nuje się standardowo próbek wirusa. Według Niedzielskiego „udziały [wariantów] w próbkowaniu są mniej więcej 10-procentowe". W Niemczech wariant brytyjski występuje już w połowie próbek.

Czym grozi zmutowany wirus? Wariant południowoafrykański skuteczniej zakaża, poza tym – jak tłumaczy dr Paweł Grzesiowski – jest „mniej podatny na nasze immunoglobuliny", chociaż nie wiadomo jeszcze, czy potrafi przełamać odporność poszczepienną. Przy zakażeniach wariantem brytyjskim występuje natomiast znacznie wyższe niż w przypadku „starych" szczepów koronawirusa stężenie patogenu w nosogardle – a więc i w wydychanym powietrzu. *Ergo*: o wiele skuteczniej zakaża. To z tymi mutantami przyjdzie nam się zmierzyć podczas trzeciej fali – eksperci nie mają wątpliwości, że dominują one nad pozostałymi wariantami koronawirusa.

Tymczasem w Polsce narasta zmęczenie lockdownem, a zasady sanitarne są powszechnie łamane. Rząd nie wyklucza zaostrzenia przepisów, a na razie zapowiada rekomendacje, które z zalecanych środków wyeliminują m.in. przyłbice jako nieskuteczne w zatrzymywaniu aerozolu z ust. CDC zaleca stosowanie naraz dwóch masek: bawełnianej i chirurgicznej. Według amerykańskiej agencji zajmującej się zapobieganiem chorobom zakaźnym daje to 90-proc. ochronę przed zakażeniem. W warunkach polskich sukcesem będzie odejście od tak prowizorycznych osłon jak szalik czy chusta, i od tak niebezpiecznych odruchów jak zsuwanie maski na brodę, by... swobodnie porozmawiać z napotkanym w sklepie znajomym.

Akcja szczepień dopiero zaczyna przyspieszać po zahamowaniu ograniczeniami dostaw. Według nowego harmonogramu w marcu mają się zakończyć szczepienia wśród nauczycieli, a także w grupie 0. „Przykro nam wobec tych wszystkich seniorów, którzy mają zmieniane terminy" – przepraszał minister Michał Dworczyk. Populacja zaszczepiona na poziomie niecałych 5 proc. nie stanowi na razie żadnej bariery dla wirusa. Dlatego stara zasada MDD (maska, dystans, dezynfekcja) jeszcze długo pozostanie główną linią obrony przeciw COVID-19. ©℗

ADAM WARŻAWA / PAP

PROF. VLADIMÍR KRČMÉRY, SŁOWACKI LEKARZ:

Mamy nową epidemię

MARCIN ŻYŁA: W przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców na COVID-19 umiera dziś na Słowacji najwięcej ludzi w świecie. Jak poważna jest sytuacja?

VLADIMÍR KRČMÉRY: Licząc od początku epidemii wskaźnik zgonów wynosi 2,25 proc., zmarło 6577 Słowaków. Teraz wzrasta liczba hospitalizacji: dochodzi do 4 tys., a to granica możliwości naszej ochrony zdrowia. Jest powód do niepokoju. Z drugiej strony inne parametry, np. liczba pozytywnych testów antygenowych, są stabilne.

ARCHIWUM PRYWATNE

To co się dzieje?

W pewnym sensie mamy nową epidemię. Nazywam ją „epidemią w pandemii". Wywołała ją tzw. brytyjska mutacja wirusa. Tuż przed jej pojawieniem się na Słowacji koronawirus tracił rozpęd, była mowa o końcu drugiej fali zakażeń. Nie lekceważyłbym obecnej sytuacji, ale to nie wyłącznie kwestia Słowacji. Nową mutację widzą też w statystykach np. Czesi i Austriacy.

Co robią władze, by ograniczyć jej skutki?

Najgorsza sytuacja jest w dużych miastach. W Bratysławie, Koszycach i Nitrze trwa już powtórne testowanie pod kątem mutacji. Ponownie testuje się też grupy ryzyka. Ogólnonarodowe testowanie w listopadzie przyniosło chwilową ulgę: przez 6 tygodni lockdown poluzowano, otwarto kościoły, a nawet stoki narciarskie. Liczę na to, że nowe sfokusowane testy ograniczą zasięg mutacji. Druga rzecz to zamknięcie granic, aby ograniczyć lub opóźnić dotarcie do kraju mutacji południowoafrykańskiej, brazylijskiej lub innych, o których jeszcze nie wiemy. Ważne jest też jak najszybsze szczepienie oraz przestrzeganie zasad lockdownu i kwarantanny.

Jak idzie szczepienie?

Pierwszą dawkę podano już ok. 300 tys. Słowaków, drugą dostało kolejne 100 tys. W przeliczeniu na liczbę mieszkańców jesteśmy w czołówce Unii. W najbliższych dniach zaczniemy szczepić osoby w wieku 65-70 lat.

Premier Igor Matovič wywołał zamieszanie, zapowiadając rozmowy z Rosją o zakupie szczepionki Sputnik V. Co Pan sądzi o tym pomyśle?

Razem z trzema zatwierdzonymi przez Unię, zaawansowanych w testach lub działaniu jest już ok. 11 szczepionek. Na wstępie nie powinniśmy wykluczać żadnej. Jednak Rosja nie produkuje nawet liczby wystarczającej dla swoich obywateli, a kłopoty z dostawami już zatwierdzonych u nas preparatów pokazują, że na ewentualne zwiększenie liczby dawek moglibyśmy liczyć najwcześniej w maju. Lepiej skupić się na zasobach, które mamy.

PROF. VLADIMÍR KRČMÉRY *jest specjalistą chorób zakaźnych i rektorem Wyższej Szkoły Nauk o Zdrowiu i Pracy Społecznej w Bratysławie.*

Szczepienia: będzie przewrót w strategii?

POJEDYNCZA DAWKA szczepionki Pfizera po dwóch tygodniach od podania chroni przed infekcją niewiele gorzej niż dwie dawki – zauważyła dwójka kanadyjskich naukowców po analizie danych udostępnionych przez tę firmę. Ich list opublikowało czasopismo „NEJM", a jego wniosek był oczywisty – zaniechać drugiej dawki i zaszczepić większą część populacji tylko raz. Również najnowsza praca z Izraela, gdzie program szczepień jest najbardziej zaawansowany, zdaje się potwierdzać wysoką skuteczność pojedynczego szczepienia (85 proc. przy 93 proc. w badaniach Pfizera). Jednak w odpowiedzi na list naukowcy z Pfizera zastrzegają, że ich badanie nie było skonstruowane tak, by ocenić skuteczność jednej dawki szczepionki i decyzję o takim ruchu muszą podjąć władze odpowiedzialne za zdrowie publiczne.

Szczepionki chronią przed zachorowaniem, ale wciąż nie jest pewne, czy zatrzymają transmisję, a więc i wyhamują pandemię. Wyznacznikiem ryzyka transmisji wirusa ma być jego miano w wymazie. Im mniej wirusa w wymazie, tym mniejsza szansa, że zakażona zostanie kolejna osoba. Wczesne wyniki izraelskich badań dają nadzieję, że szczepionki sprawdzają się również w tym aspekcie. © BARTOSZ KABAŁA

Platforma skręca w lewo

PAWEŁ BRAVO

Zarząd PO przedstawił pakiet praw kobiet, czyli zobowiązanie do zmian, które partia miałaby wdrożyć w razie zdobycia większości w przyszłym parlamencie. Najważniejszym punktem jest dopuszczalność przerywania ciąży – także gdy stanowi ona zagrożenie dla zdrowia psychicznego kobiety oraz ze względu na jej trudną sytuację osobistą (po konsultacji z lekarzem i psychologiem). To może faktycznie oznaczać dostęp do zabiegu „na życzenie", o ile konsultacje okazałyby się w praktyce pustą formalnością. Tak jednak nie musi wcale być – już przy stosowaniu obecnego prawa przekonywaliśmy się, że dostęp do legalnej aborcji bywa regulowany przez pozornie proceduralne decyzje, np. dyrekcji szpitali. Ale środowiska konserwatywne w partii są takiemu rozwiązaniu przeciwne i postulują zachowanie stanu prawnego sprzed ostatniego orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego oraz referendum o niesprecyzowanych pytaniach.

Trwa próba zwołania Rady Krajowej, która mogłaby stanowisko zarządu zmodyfikować – w tle pozostaje frakcyjna walka o wpływy między Borysem Budką a Grzegorzem Schetyną. Prawdopodobnie jednak stanowisko to się nie zmieni. Z jednej strony, nie ma ono mocy sprawczej, nawet po hipotetycznej wygranej PO w wyborach. Każda zmiana w postulowanym kierunku spotkałaby się z wetem prezydenta i zostałaby przez TK uznana za sprzeczną z konstytucją. I to nawet TK w składzie sprzed 2015 r., nieobsadzonym nominatami PiS. Już w 1997 r. Trybunał utrącił tzw. przesłankę społeczną.

Z drugiej zaś strony fakt, że Platforma między wierszami zadeklarowała dążenie do zmiany konstytucji (a wcześniej obsadzenie TK przez liberalnie nastawionych sędziów) nadaje sprawie ciężaru politycznego. W dwudziestolecie istnienia partia miała problemy z wydaniem okolicznościowej deklaracji – ale obecny pakiet stanowi ważny zwrot na lewo, rzutujący na przekazy wyborcze w innych sferach. Kończy to sytuację, w której PO wolała nie mieć jasnego zdania na żaden temat poza byciem anty-PiSem, pojawił się bowiem konkurent w sztuce operowania ogólnikami: Polska 2050 Szymona Hołowni. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

PAMIĘĆ NARODOWA
„W związku z zaistniałymi okolicznościami dotyczącymi nominacji dr. Tomasza Greniucha na stanowisko p.o. Dyrektora Oddziału IPN we Wrocławiu, dalsze pełnienie przez Niego tej funkcji jest niemożliwe" – brzmi oświadczenie prezesa Instytutu Jarosława Szarka. „Zaistniałe okoliczności" to zapewne fotografie tego b. działacza ONR wykonującego nazistowskie pozdrowienie.

INSTYTUT PREMIERA
Na podstawie zarządzenia szefa rządu powstał tymczasem Instytut De Republica – forma jego powołania oznacza, że skutków decyzji (m.in. kosztów) nie trzeba dokumentować. Teoretycznie ma wspierać polską naukę, ale praktycznie – jak pisze „Rzeczpospolita" – nikt z otoczenia premiera zdaje się nie mieć pojęcia, po co powstał.

WAKACJE PREZYDENTA
Andrzej Duda spędził tygodniowy urlop w Wiśle, szusując po pobliskich stokach narciarskich i znosząc dzielnie związaną z tym falę krytyki, której kulminacja nadeszła po pojawieniu się w sieci nagrania wyjazdu prezydenckiej kolumny z zakorkowanego kurortu tzw. korytarzem życia.

MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

PAMIĘĆ DOBRA
W wieku 75 lat zginął Jan Lityński. Działacz opozycji demokratycznej, członek KSS „KOR", w III RP m.in. poseł i doradca prezydenta Komorowskiego. Utonął ratując psa, pod którym zapadła się kra.

Bunt biznesu głównie w mediach

TYSIĄCE OTWARTYCH restauracji, barów i klubów fitness – taki obraz styczniowej rewolty polskich przedsiębiorców przeciw obostrzeniom epidemicznym można było zobaczyć w mediach. Bunt rzeczywiście miał miejsce – o ile można tak nazywać omijanie przepisów, które nawet sądom wydają się niezgodne z konstytucją – ale na znacznie mniejszą skalę.

Z danych serwisu faktoringowego faktura.pl, z którego korzysta ponad 50 tys. małych firm, wynika, że w styczniu br. liczba faktur wystawionych tam przez mikro- i małe przedsiębiorstwa spadła w porównaniu z grudniem 2020 r. aż o 21 proc.

Na Interaktywnej Mapie Wolnego Biznesu w połowie stycznia codziennie przybywało wprawdzie po kilkadziesiąt nowych adresów dołączających do buntu, ale szybko okazało się, że z mapy korzysta także sanepid, namierzając lokale do kontroli. Radio Zet ujawniło niedawno, że inspektorzy dostali nakaz kontrolowania otwartych lokali pod pretekstem sprawdzania żywności. Dopiero 11 lutego Główny Inspektor Sanitarny zwrócił się o wycofanie tych wytycznych. ©℗ MR

Gdy leśniczemu krwawi serce

TRZY LATA po wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej ws. Puszczy Białowieskiej Bruksela znów upomniała Warszawę. Choć w puszczy nie ma już kontrowersyjnych wycinek, to Lasy Państwowe wciąż nie uchyliły spornego aneksu do planu urządzenia lasu dla Nadleśnictwa Białowieża. Polska ma dwa miesiące na reakcję.

Inny kłopot leśnicy mają w Bieszczadach – w niedochodowym, niewielkim Nadleśnictwie Stuposiany, które klinem wbija się w teren parku narodowego, grupa anonimowych aktywistek i aktywistów z kolektywu Wilczyce od początku roku pikietuje wydzielenie fragmentu starego, cennego przyrodniczo lasu, który zagrożony jest wycinką. Choć o Stuposianach jest najgłośniej, to aktywnych sporów obywatele kontra leśnicy jest dużo więcej – mapa lasyiobywatele.pl wylicza ich ponad sto dwadzieścia.

„Gdy chodzę po Magurskim Parku Narodowym, który kiedyś był Nadleśnictwem Nowy Żmigród, i widzę ten las rosnący bez żadnych prac pielęgnacyjnych, to serce mi krwawi" – to Jan Mazur, nadleśniczy ze Stuposian, prezentujący w reportażu „Gazety Wyborczej" swoją wizję ochrony przyrody. Jeśli ludzie o takich poglądach wciąż gospodarzyć będą w najcenniejszych polskich drzewostanach, to do ich obrony będziemy potrzebować i Brukseli, i jeszcze więcej Wilczyc. © ADAM ROBIŃSKI

AFP / EAST NEWS

STRAJK GENERALNY PRZECIW PUCZOWI zgromadził w poniedziałek 22 lutego na ulicach miast Birmy setki tysięcy ludzi. Dwa dni wcześniej w Mandalaj żołnierze z jednostki użytej w 2017 r. do pacyfikacji Rohingów zastrzelili dwie osoby i ranili co najmniej 20 (na zdjęciu: pobita uczestniczka protestu). Data strajku (22.02.) nie jest przypadkowa: poprzedni strajk generalny, krwawo stłumiony przez wojsko, miał miejsce 8 sierpnia 1988 r. i przeszedł do historii jako „powstanie 8888". ©℗ MR

Wygaszanie Australii

UŻYTKOWNICY FACEBOOKA, którzy w miniony czwartek próbowali znaleźć informacje o Australii, mogliby dojść do przekonania, że kraj ten przestał istnieć. Było tak na skutek decyzji władz Facebooka o wyłączeniu profili australijskich mediów i usunięciu odnośników do nich. W samej Australii użytkownicy utracili możliwość dzielenia się jakimikolwiek newsami dziennikarskimi z kraju i ze świata.

Decyzja o odcięciu użytkowników od mediów była odpowiedzią Facebooka na przegłosowanie w niższej izbie australijskiego parlamentu prawa, które ma zmusić gigantów technologicznych do dzielenia się zyskami z reklamy internetowej z lokalnymi redakcjami (dziś na każde 100 australijskich dolarów wydanych na ten cel 81 trafia do Google'a i Facebooka). Ustawodawca uważa, że platformy czerpią korzyści z pracy mediów, a nie chcą ponosić jej kosztów. Google straszył, że wyłączy niektóre usługi w kraju, ale ostatecznie zaczął podpisywać umowy z mediami, wyprzedzając ustawę. Facebook bardziej niż kosztów boi się precedensu: władze Kanady myślą o wprowadzeniu podobnych rozwiązań, a poparcie dla Australii wyraziły Wielka Brytania, Indie i Francja.

W sobotę premier Morrison poinformował, że Facebook wraca do negocjacji. Natomiast w tym tygodniu nowe prawo ma być głosowane w australijskim Senacie. ©℗ PATRYK STANIK

Wyrok na wolną Białoruś

SĄD W MIŃSKU skazał dziennikarki telewizji Biełsat na dwa lata kolonii karnej za wykonywanie pracy reporterskiej podczas antyrządowych protestów.

Kaciaryna Andrejewa i Daria Czulcowa zostały zatrzymane trzy miesiące temu podczas relacjonowania pokojowej demonstracji na placu Zmian – gdzie wcześniej OMON zakatował aktywistę Ramana Bandarenkę. Oskarżono je o „organizację i przygotowywanie działań rażąco naruszających porządek publiczny" i o zakłócenie pracy komunikacji miejskiej. Proces był kuriozalny, na sali sądowej wszystkie zarzuty się rozsypały. Przypominało to stary sowiecki żart: „Więzień dostał 15 lat łagru. Za co? Za nic, gdyby było za co, to od razu by go rozstrzelali".

„Ten wyrok (...) ma zastraszyć środowisko dziennikarskie" – powiedział po wyjściu z sądu Ihar Iliasz, mąż Kaciaryny Andrejewej i także dziennikarz Biełsatu.

© MONIKA ANDRUSZEWSKA z Kijowa

Więcej na **powszech.net/bialorus**

Powrót przewidywalności

WOJCIECH PIĘCIAK

Szeroko rozłożone ramiona, wyciągnięte ręce: mowa ciała Joego Bidena współgrała z jego przesłaniem, gdy w miniony piątek prezydent USA pojawił się na monachijskiej konferencji poświęconej globalnemu bezpieczeństwu.

Rzecz jasna, pojawił się zdalnie, na ekranie. Jednak w tym przypadku pandemiczne ograniczenie w niczym nie przeszkodziło. Przeciwnie: fakt, że to połączenie politologicznego seminarium z *tête-à-tête* większych i mniejszych tego świata, które co roku w lutym odbywa się w stolicy Bawarii, zredukowano z trzech dni do trzech godzin, wzmocnił przesłanie, jakie wysłali w świat Biden, Merkel, Macron i Johnson.

Brzmi ono prosto: po czterech latach „trudnych" (to Biden) w relacji transatlantyckiej wraca przewidywalność. Wprawdzie prezydent USA nie obiecał, że teraz będzie harmonijnie i bez sporów, ale w sposób tak jednoznaczny, że bardziej już chyba nie można, zaprosił europejskich partnerów do współpracy: do odnowienia Zachodu, do uczynienia demokracji na powrót modelem konkurencyjnym („Musimy dowieść, że nasz model nie jest reliktem historii"), do budowania wspólnej agendy wobec Rosji, Chin, Bliskiego Wschodu, klimatu, cyberbezpieczeństwa itd.

Biden nie odniósł się natomiast do sporu o Nord Stream 2 (co uważnie odnotowano w RFN). Czy to sygnał, że w imię relacji z Berlinem odstąpi od linii Trumpa, który groził tu Niemcom sankcjami? Z drugiej strony, wyjątkowo twardo brzmiały słowa Bidena o Rosji: o skorumpowanym reżimie, który chce osłabić Zachód (Trump nigdy nie zdobył się na taką ocenę Putina).

Przewidywalność może dać poczucie stabilności, której brak za czasów Trumpa odczuwano w Europie dość powszechnie. Sama w sobie nie zastąpi jednak konkretnych treści. Na to trzeba jeszcze poczekać. ©℗

Ewangelia na opak

ARTUR SPORNIAK

W Sądzie Rejonowym w Płocku odbyła się druga rozprawa w procesie przeciwko aktywistkom, które rozklejały wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej z tęczową aureolą. O obrazę uczuć religijnych oskarżył je ksiądz, który wcześniej zbudował homofobiczny Grób Pański (akcja aktywistek była odpowiedzią na niego). Wsparcie otrzymał od Ordo Iuris i Kai Godek.

Choć w zamierzeniu oskarżających proces ten jest obroną chrześcijaństwa, faktycznie szkodzi wspólnocie katolików. Po pierwsze, nie ma obiektywnych podstaw, by ktokolwiek z osób religijnych w uzasadniony sposób mógł się czuć obrażony. Kolory tęczy w symbolice LGBTQ+ oznaczają pełnię i harmonię – jest to więc manifestowanie tego, że osoby rozpoznające u siebie inną orientację niż heteroseksualna są pełnowartościowymi ludźmi. Taki przekaz nie może nikogo obrażać.

Po drugie, nawet jeśli ktoś z powodów religijnych traktuje aktywność seksualną osób LGBTQ+ jako grzech i właśnie z tym kojarzy symbol tęczy, redukuje w ten sposób te osoby do ich seksualności. Nie jest to postawa, której by można religijnie bronić.

Po trzecie, Jezus zapowiedział, że to jego wyznawcy będą ciągani po sądach z Jego powodu. Gdy chrześcijanie z powodu swojej wiary pozywają kogokolwiek do sądu, czytają ewangelię na opak. ©℗

Dymisje odroczone w czasie

TAK MOŻNA SKWITOWAĆ odejście dwóch ważnych watykańskich urzędników. Kard. Robert Sarah, prefekt Kongregacji Kultu Bożego, naraził się papieżowi kilkakrotnie. Został nawet przywołany do porządku bezprecedensowym „upomnieniem ojcowskim". Rok temu był bohaterem głośnego skandalu z książką o celibacie, którą – jak zapewniał – napisał wspólnie z papieżem emerytem, a której Benedykt XVI się wyparł.

Kard. Angelo Comastri, wikariusz Państwa Watykańskiego, podpadł brakiem nadzoru nad Fabryką św. Piotra, w której pół roku temu wykryto wielomilionowe przekręty w przetargach. Jego następcą będzie niedawno wyświęcony kard. Mauro Gambetti, franciszkanin. Nie wskazano natomiast nowego prefekta Kongregacji Kultu Bożego, co może sugerować, że o jej losie rozstrzygnie już nowa konstytucja reformująca kurię, być może wkrótce ogłoszona. ©℗ EA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SĄD
Monitorująca praworządność organizacja Watchdog podała do sądu o. Tadeusza Rydzyka wraz z zarządem fundacji Lux Veritatis. Fundacja nie rozlicza publicznie pieniędzy otrzymywanych w dużej ilości od państwa.

GEST
Nowo mianowany biskup szwajcarskiej diecezji Chur Joseph Maria Bonnemain zerwał z tradycją i odmówił przyjęcia biskupiego herbu. Hierarcha stwierdził, że wystarczy mu znak krzyża. Szwajcarska diecezja należy do tych kilku w Europie, w których kapituła katedralna uczestniczy w wyborze biskupa. Ostatnio po raz pierwszy kapituła Chur odmówiła wyboru spośród trzech kandydatów zaproponowanych przez Franciszka. Papież wybrał zatem sam.

HOMOFOBIA
Wielkopostna kościelna zbiórka organizowana w Brazylii, tzw. Kampania Braterstwa, wywołała w tym roku protesty z powodu nawiązania w materiałach promocyjnych do homofobii. Zacytowano m.in. dane podające, że w Brazylii „193 osoby LGBTQ+ zostały zamordowane w 2017 r.".

WIZYTA
Papież odwiedził 90-letnią Edith Bruck, ocalałą z Holokaustu węgierską Żydówkę, mieszkającą od 1954 r. w Rzymie. Franciszek przeczytał z nią wywiad i postanowił poznać ją osobiście. Chciał podziękować „za świadectwo i złożyć hołd narodowi męczenników". Wizyta w domu pani Bruck trwała blisko godzinę.

VATICAN MEDIA

Biskup otwarty, Kościół zamknięty

EKSPERYMENTALNA PARAFIA przy kościele Saint-Merry zostanie zlikwidowana – zdecydował abp Michel Aupetit, metropolita Paryża. Założone w 1975 r. przez kard. François Marty'ego centrum duszpasterskie (parafia personalna, czyli bez terytorium) miało szukać nowych rozwiązań dla Kościoła. Stało się miejscem spotkań lewicującej młodzieży, hipisów, alternatywnych artystów, osób homo- i transseksualnych, par żyjących w nieformalnych związkach – słowem: wszystkich, którzy nie potrafili odnaleźć się w dotychczasowej formule duszpasterstwa (na zdjęciu: koncert poezji suficznej, lipiec 2017 r.). Wspólnota

PHILIPPE LISSAC / GODONG / UIG / FORUM

świeckich, na równi z proboszczem, była odpowiedzialna nie tylko za sprawy ekonomiczne, ale też duszpasterskie i liturgiczne.

Likwidacja parafii spowodowana została – jak twierdzi kuria – „bolesnym konfliktem oraz niesprawiedliwym potraktowaniem kapłanów przez wiernych". W ub. roku parafianie z Saint-Merry uznali, że posługujący im od trzech lat ks. Daniel Duigou „przestał wpisywać się w projekt", i zażądali zmiany. Nie zaakceptowali też kolejnego proboszcza, ks. Alexandra Denisa, który szybko złożył dymisję.

Wspólnota parafialna uważa, że to tylko pretekst, by zamknąć krytykowany za doktrynalne i liturgiczne nowinkarstwo ośrodek. „Nawet jeśli niektórzy spośród nas zachowali się agresywnie wobec proboszcza, czy to powód, by karać całą wspólnotę?" – pytają i zbierają podpisy pod protestem. Rzeczniczka metropolity przyznała, że kuria otrzymuje wiele głosów w obronie miejsca, w którym „ewangelia głoszona jest złożonemu i zróżnicowanemu światu". Arcybiskup otwarty jest na dyskusję, a jego decyzja „być może nie jest ostateczna". ©℗ EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

CZAS ODNALEZIONY
Francuskie wydawnictwo Gallimard wyda niepublikowany dotąd rękopis Marcela Prousta pt. „Siedemdziesiąt pięć stron", zawierający najwcześniejszą wersję „W poszukiwaniu utraconego czasu". Tekst został napisany w 1908 r. – to sześć epizodów, które pisarz z czasem opracował i włączył do swojego słynnego cyklu. Premiera zbiega się z tegoroczną 150. rocznicą urodzin Prousta.

DZWON GŁOŚNY
Na całym świecie jest ich 600, najwięcej w Holandii – około 180. W Polsce poszczycić się może nimi tylko Gdańsk. Tamtejsze dzwony wieżowe, carillony, walczą o wpis na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Po raz pierwszy pojawiły się w Gdańsku w 1561 r. W okresie pandemii długo były prawdopodobnie jedynym instrumentem, który grał na żywo. Można ich posłuchać online w każdą sobotę.

DYMNA Z NAGRODĄ KUTZA
Aktorka, prezeska Fundacji „Mimo Wszystko" Anna Dymna została pierwszą laureatką Nagrody im. Kazimierza Kutza honorującej twórcę za dokonania artystyczne, które – odgrywając istotną rolę w aktualnej debacie publicznej – przyczyniają się do budowania społeczeństwa demokratycznego i tolerancyjnego.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj w czwartek o godz. 16.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Mistrz i czarodziej

18 LUTEGO ZMARŁ WIESŁAW JUSZCZAK. Miał 89 lat. Był profesorem Instytutu Sztuki PAN, jedną z najoryginalniejszych i najwszechstronniejszych postaci naszej humanistyki. Historyk i teoretyk sztuki, autor ważnych prac o malarstwie polskiego modernizmu – jego „Wojtkiewicz i nowa sztuka" to dzieło dziś klasyczne, podobnie jak przygotowana przez niego antologia ówczesnych tekstów o sztuce – w latach następnych z niezrównaną swobodą wędrował pomiędzy rozmaitymi dziedzinami.

Sztuka była dla niego narzędziem poznania, paradoksalnie stawiającym nas wobec niepoznawalnego, „przybliżającym ku krawędzi tej niezgłębionej otchłani, jaką zwykliśmy nazywać rzeczywistością", jak napisał w komentarzu do przekładu „The Cocktail Party" T.S. Eliota (tłumaczył też poematy Williama Blake'a). Kluczy do świata szukał w pierwotnym micie, fascynowały go misteria greckie i „paleolityczny epos" utrwalony w malowidłach naskalnych rdzennych Australijczyków. Prowadził wykłady – był świetnym wykładowcą! – o archaicznej greckiej myśli o sztuce, o teorii ornamentu, o filmie japońskim... Jedna scena z „Pani Dalloway" Virginii Woolf stała się dla niego punktem wyjścia całej książki – „Zasłony w rajskie ptaki". Porywający esej poświęcił opowiadaniu Karen Blixen „Uczta Babette" i jego ekranizacji przez Gabriela Axela. We „Władcy pierścieni" J.R.R. Tolkiena dostrzegł nowożytny epos. Sam był trochę jak tolkienowski Gandalf: mądry, pełen uroku, obdarzony poczuciem humoru i – po prostu – dobry. ©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

ANDRZEJ RYBCZYŃSKI / PAP

Niepełnosprawni w kosmosie

TO MOŻE BYĆ WIELKI KROK dla ludzkości. Całej. Europejska Agencja Kosmiczna chce włączyć do korpusu astronautów osoby niepełnosprawne.

„Szukamy ludzi, którzy posiadają psychologiczne, umysłowe, techniczne i profesjonalne kwalifikacje do bycia astronautami, ale mają ograniczenia fizyczne" – tłumaczył David Parker, dyrektor ESA ds. eksploracji. Na razie rozpatrywane będą wnioski osób z niesprawnościami nóg, stóp, a także o wzroście poniżej 130 cm. Kryteria dobrano z Międzynarodowym Komitetem Paraolimpijskim.

„W nieważkości bez korzystania z nóg można zrobić naprawdę wiele" – powiedział astronauta Tim Peake. – „Ewolucja nie przygotowała nas do życia w kosmosie. Tam wszyscy jesteśmy niepełnosprawni – dodała astronautka Samantha Cristoforetti. – To tylko kwestia inwestycji w technologie i adaptacje sprzętu".

„Jest wiele pytań, na które nie mamy jeszcze odpowiedzi. Ale nie zadając pytań nie znajdziemy rozwiązań" – wyjaśniał Parker. Agencja będzie przyjmować zgłoszenia od 31 marca. © WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Za oknem las, w oknie też

OTO NEWS Z CYKLU: „amerykańscy naukowcy odkryli...". Choć brzmi jak ciekawostka, może się okazać jedną z przełomowych innowacji ostatnich lat: wiemy, jak tanio sprawić, aby drewno było przezroczyste.

Dotąd uznawano, że trzeba je w tym celu pozbawić ligniny. Wymagało to użycia środków chemicznych i dużej ilości energii. Badacze z Uniwersytetu Marylandu pod kierunkiem prof. Liangbinga Hu opisali jednak metodę, przy pomocy której zmienili strukturę ligniny szybko i tanio. Najpierw potraktowali drewno pędzlem z roztworem nadtlenku wodoru. Pozostawiony przez godzinę na słońcu (lub pod lampą UV) wybielił on chromofory, odpowiadające w ligninie za żółtawy kolor drewna. Następnie zaaplikowali do drewna żywicę epoksydową (stosowaną m.in. do konserwacji kutrów rybackich), która wypełniła w nim przestrzenie i pory, utwardziła – oraz sprawiła, że materiał zaczął przepuszczać 90 proc. widzialnego światła.

Efekt to drewno lżejsze, bardziej wytrzymałe i elastyczniejsze od szkła, a także lepiej od niego izolujące. W przyszłości może znaleźć zastosowanie w oknach – zwykle najbardziej odpowiedzialnych za utratę energii w budynkach – jako ochrona paneli słonecznych w trudnych warunkach atmosferycznych oraz materiał dekoracyjny i budowlany (badacze nie wykluczają, że możliwa byłaby budowa przezroczystych ścian). ©℗ ŻYM/CBC.CA

TEMAT TYGODNIKA

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

OBNAŻENI PRZEZ KORONĘ

Silne instytucje z ulotki wyborczej PiS okazały się tekturową makietą. Rządzący pokazali, że są zbyt mali na takie czasy. A my wszyscy zbyt często jesteśmy gotowi machnąć ręką na cudze cierpienie i śmierć.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Przygotowania do wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Szpitalu Narodowym. Warszawa, 23 października 2020 r.

Rok z koronawirusem przyniósł masę symboli i słów wytrychów, wcześniej nam obcych. W nasze życie wdarły się pandemia, kwarantanna, choroby współistniejące, szpitale jednoimienne, pulsoksymetry, saturacje, respiratory. Nasze zmysły przysłoniły i odizolowały maski, przyłbice oraz rękawice. Zapach spirytusu nabrał nowego znaczenia.

Każdy z tych symboli jest świadectwem czasu zarazy, przyspieszoną lekcją życia, zafundowaną nam przez okres niepewności. Bywa, że nie pamiętamy już wydarzeń sprzed roku, ich kontekst zatarł się, przytłoczony masą kolejnych złych informacji. Na pewno jednak dziś życie sprzed pandemii jawi się jako błogi sen. To, że ów sen przeminął i być może beztroska nie wróci, wiadomo. Wiadomo jednak także, że pandemia w Polsce mogłaby przebiegać inaczej – mniej dotkliwie i mniej śmiertelnie – gdyby nie zawiodła władza, kontrolowane przez nią instytucje, a także my sami. Pandemia jest jak kontrast podany pacjentowi przed prześwietleniem – pozwala postawić wyrazistą diagnozę polskiego państwa i społeczeństwa.

Show must go on

Czasy kreują bohaterów. W tym sensie pandemia w Polsce wykreowała głównie antybohaterów. Mniejsza już o dyżurnych radiowo-telewizyjnych wirusologów, podających często wzajemnie sprzeczne sensacje, grających naszym strachem dla medialnej sławy.

Czołowymi antybohaterami są rządzący. Trzeba to powiedzieć wprost: z polityków obozu władzy, zaangażowanych w walkę z koronawirusem, zawiedli prawie wszyscy.

Minister zdrowia Łukasz Szumowski, umęczony, z podkrążonymi oczami, był w pierwszych miesiącach pandemii wręcz ikoniczny. Finalnie okazał się strażnikiem własnej fortuny, bo firma jego rodziny dostała od państwa ponad ćwierć miliarda w 8 lat na badania nad lekami, z których żaden nie wszedł na rynek. Kupował maski od swego trenera narciarskiego, a respiratory od handlarza bronią, wykorzystywanego przez polskie specłużby do szemranych operacji. Maski były felerne, a respiratory nigdy w całości nie dojechały.

Premier Mateusz Morawiecki winien jest bagatelizowania koronawirusa na początku minionego roku. Ponosi także odpowiedzialność za podporządkowanie walki z pandemią doraźnemu interesowi politycznemu. To Morawiecki przed wyborami prezydenckimi zniósł pierwsze wiosenne ograniczenia pandemiczne. Na przełomie maja i czerwca zniesiony został nakaz zakrywania twarzy w otwartej przestrzeni, władza pozwoliła na wesela, komunie i inne uroczystości rodzinne do 150 osób, a zatem praktycznie bez ograniczeń. Otwarte zostały baseny, uzdrowiska, zakłady fryzjerskie i kosmetyczne. Cel był prosty: brak restrykcji i przyzwolenie na zabawę miały świadczyć o normalizacji, a normalizacja miała skłonić ludzi do zagłosowania w wyborach.

„Cieszę się, że coraz mniej obawiamy się tego wirusa, tej epidemii. To jest dobre podejście, bo on jest w odwrocie. Już teraz nie trzeba się go bać. Trzeba pójść na wybory" – apelował Morawiecki. Ten cytat będzie już z nim na zawsze, bo każdego dnia od jesieni 2020 r. – gdy liczba chorych i ofiar zaczęła lawinowo rosnąć – widać, jak bardzo był politycznie zmanipulowany. Premier się tym nie przejmuje. W ostatnich dniach zrobił sobie walentynkową sesję zdjęciową z żoną w jednym z muzeów, które dopiero co otworzył w ramach kolejnej próby luzowania obostrzeń. *Show must go on.*

Operowanie igłą w okolicach

Zawiódł główny beneficjent rządowych trików politycznych wokół pandemii, czyli Andrzej Duda, wybrany na drugą kadencję. Prezydent zniknął, gdy jesienią wirus uderzył ze zdwojoną siłą. Polityczny moment na włączenie się w walkę z pandemią Duda miał idealny – nie będzie się już starać o reelekcję i może ryzykować. Nie wykorzystał tej szansy. Do dziś jest zagubiony i nie angażuje się w zwalczanie pandemii. Co więcej – ma na koncie wypowiedzi bagatelizujące zagrożenie ↦

↦ i obostrzenia. Zasłynął konstatacją, że co prawda apeluje o noszenie maseczek, ale on sam właśnie nie lubi („Ani mi to nie ułatwia życia, ani nie jest to dla mnie przyjemne"). Wcześniej w kampanii zaczął się nawet dystansować od szczepień, by już po wyborze oświadczyć w stylu małego chłopczyka: „Nie jestem w ogóle zwolennikiem, jeżeli ktoś operuje igłą w okolicach moich ramion, przedramion czy jakiejkolwiek części ciała". Gdy Ministerstwo Zdrowia wieszczy trzecią falę koronawirusa, Duda szusuje na nartach – dokładnie tak jak rok temu, gdy zbliżała się fala pierwsza.

Z Jarosławem Kaczyńskim problem jest największy, bo też jego waga w państwie jest szczególna. Otóż pandemia pokazała z wyjątkową intensywnością to, co wiedzieliśmy lub podskórnie czuliśmy – jak bardzo owinął sobie państwo wokół palca.

Dlatego właśnie instytucje w czasie pandemii z większą intensywnością zajmowały się realizacją politycznej agendy Kaczyńskiego niż walką z koronawirusem. Najbardziej drastyczny przykład to orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji i wszystko, co nastąpiło po nim – wykorzystywanie policji do pacyfikacji protestów, zaangażowanie prokuratury w stawianie zarzutów, sanepidu w nakładanie kar, a komorników w ich ściąganie. Polskie państwo chyba nigdy nie było tak sprawne.

Nie zmienia to faktu, że z punktu widzenia strategii politycznej pandemia pokazała klęskę państwowej wizji prezesa PiS. W doktrynie Kaczyńskiego fundament państwa stanowią właśnie formacje siłowe i opresyjne. Okazało się jednak, że to diagnoza nietrafiona. Co prawda można służby wysłać na protestujące kobiety, ale sytuacji epidemicznej to nie poprawi. Koronakryzys pokazał, jak ważne są serwisy społeczne takie jak służba zdrowia czy edukacja.

A to te obszary, które PiS kompletnie zaniedbał. Rząd przed pandemią wprowadził reformę szpitalną (tzw. sieć szpitali), która nie dała znaczących rezultatów, poza wyrugowaniem części prywatnych placówek z rynku. Jednocześnie walczył z lekarzami, podburzając przeciw nim opinię publiczną. Edukacja? Z nauczycielami też rząd, rzecz jasna, walczył. Bez żadnego uzasadnienia likwidował gimnazja, a nie unowocześniał szkół, przez co e-nauka to dziś chaos i wielka improwizacja.

Władza nic nie zrozumiała przez ten rok, nie wyciągnęła żadnych wniosków. Dziś, tak jak wiosną i jesienią, Kaczyński zajmuje się **tym, co lubi najbardziej: politycznymi szachami.**

Brak planu walki

Pochodną takiego podejścia Kaczyńskiego i innych przedstawicieli obozu władzy był brak planu walki z pandemią. Rząd nigdy nie miał na nią kompleksowego pomysłu, opartego na skrupulatnym zbieraniu danych o drogach rozprzestrzeniania się choroby i bieżącym monitorowaniu zagrożonych sektorów gospodarki, najlepiej w ujęciu lokalnym. Otwieranie i zamykanie całych branż odbywało się falami, w przypływie paniki, w obliczu rosnących danych o zachorowaniach i ofiarach, gdy pod szpitalami ustawiały się karetki z chorymi, których nikt nie chciał. Motywacja była prosta – polityczny strach przed reakcją opinii publicznej na takie drastyczne obrazki w mediach niezależnych.

Działania rządu w czasie pandemii to była i jest kwintesencja państwa z tektury, z którym PiS miał zrobić porządek, ale – jak widać – nawet nie próbował, a nawet dobrze się w nim urządził. Bo państwo z tektury łatwiej przejąć i podporządkować, łatwiej się skupić na nepotycznym upychaniu swych ludzi na wszelkich możliwych stołkach.

W listopadzie minionego roku rząd rzucił hasło podziału Polski na kolorowe strefy – zieloną, żółtą i czerwoną, w zależności od liczby zachorowań. W każdej z nich ograniczenia miały być wprowadzane z różną intensywnością.

Dziś już rząd w ogóle nie stosuje się do tych zasad. Nie ma się co dziwić. Okazało się, że wyniki, wedle których rząd chciał ustalać strefy, są niewiarygodne. Wychwycił to 19-latek z Torunia, Michał Rogalski, który znalazł błędy, w tym ponad 20 tys. przeoczonych zachorowań. W reakcji rząd (po 225 dniach codziennego podawania danych powiatowych o zakażeniach koronawirusem) nagle przestał to robić. Od tej pory żadna pomyłka na jaw nie wyjdzie. Tyle że sam rząd wie, że nie może polegać na tych danych. Premier Morawiecki zdumiony i wściekły tą sytuacją wysłał nawet do sanepidu swą zaufaną współpracowniczkę Jadwigę Emilewicz, by pomogła opracować lepszy system raportowania danych.

Co najmniej od jesieni minionego roku – gdy liczba zachorowań i zgonów drastycznie wzrosła – zaczęło też drastycznie przybywać osób, które, choć czuły że są chore, unikały przeprowadzenia państwowych testów, chcą uniknąć kwarantanny, kłopotów w pracy i ostracyzmu w sąsiedztwie. To właśnie dla nich powstał rynek laboratoriów badawczych, które szybko i za relatywnie niewielkie pieniądze – około 100 zł – przeprowadzały szybkie testy, których wyniki nigdy nie trafiały do sanepidu. Rząd nie miał z tym problemu.

Szkopuł w tym, że nie mając pełnej wiedzy, rząd był skazany na działanie po omacku. O ile można to było zrozumieć wiosną, gdy wszystko, co związane z koroną, było nowe i zaskakujące, to jesienią – w żadnym razie.

Gdy jesienią koronawirus uderzył z podwójną siłą, rząd był w szoku. Działał doraźnie i bez żadnej strategii, licząc jedynie na doczłapanie się do szczepionki. Nie myślał o tym, w jaki sposób zorganizować życie obok czy mimo koronawirusa. Gdy okazało się, że szczepionki co prawda wreszcie są, ale trafia ich do Polski relatywnie niewiele, cały ten – niezbyt misterny – plan legł w gruzach. Dziś puste witryny sklepów i restauracji w galeriach handlowych, na osiedlach i dworcach straszą widmem bankructw.

Tymczasem – przez niemal rok – rząd nie przygotował systemu badania, jak przenosi się koronawirus. Dlatego raz otwierał galerie handlowe, raz je zamykał. Zamykał stoki narciarskie i je otwierał. Dlatego wolał zamknąć cmentarze przed 1 listopada. Dlatego jesienią wysłał dzieci do szkół, a potem w pośpiechu je ewakuował.

Niejednokrotnie dochodziło przez to do absurdów. Nie tak dawno w ramach ograniczenia kontaktów międzyludzkich zamknięte były narciarskie stoki, za to otwarte muzea.

Był z tymi wszystkimi chybotliwymi działaniami rządu jeden jeszcze problem – władza nie przestrzegała własnych ograniczeń. Stacja TVN24 przyłapała Jadwigę

Emilewicz podczas rodzinnego wypadu na narty. Trzech jej synów jeździło na stoku mimo pandemicznych ograniczeń.

Poseł PiS, były wiceminister zdrowia Bolesław Piecha odwiedził Kubę. Poseł PiS, były minister zdrowia Łukasz Szumowski wyjechał na wakacje do Hiszpanii, choć odradzał wyjazdy zagraniczne. Wiceszef resortu aktywów państwowych Artur Soboń i były wiceminister energii Adam Gawęda poszli na mecz siatkarski, dla kibiców niedostępny.

Pożar w luksusowym hotelu spa zdemaskował sędzię Trybunału Konstytucyjnego Krystynę Pawłowicz, której dolegliwości nie mogły czekać na ukojenie po zniesieniu obostrzeń.

Czarny rynek szczepień

Wiele o rządzie i sporo o państwie mówi także akcja szczepień. Już sam początek był fatalny. Niejasne dyrektywy Ministerstwa Zdrowia doprowadziły do tego, że w kolejkę wepchnęli się lepiej ustosunkowani. Przed ludźmi starszymi i schorowanymi, przed większością medyków zaszczepili się aktorzy, ludzie mediów, biznesu i polityki. Zaszczepieni mieli różne tłumaczenia. Jedni twierdzili, że byli przekonani, iż szczepią się w ramach kampanii promocji szczepień. Inni – że przypadkiem dowiedzieli się o szczepieniach ze strony Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i po prostu przyjechali do gabinetu zabiegowego.

Kolejkę do szczepień możemy – bez zbytniego patosu – traktować jak kolejkę do życia. W tej sytuacji oczekiwania wobec postaci tak ikonicznych jak Krystyna Janda – które chcą być autorytetami w sprawach społecznych i politycznych – są proste: dawanie dobrego przykładu. Wybitna aktorka, która poza kolejką zaszczepiła swą rodzinę i aktorów swego teatru, w tej roli zawiodła.

Ale właśnie ponieważ szczepionki są deficytowe i właśnie ponieważ od nich zależy życie, powstał czarny rynek. Wielu zamożnych biznesmenów, menadżerów i ludzi ustosunkowanych zaszczepiło się po cichu, omijając wszelkie oficjalne kordony. To także lekcja wyniesiona z pandemii: w czasie kryzysu zbyt wielu myśli przede wszystkim o sobie. Dobro wspólne okazało się pierwszą ofiarą strachu.

Szkopuł w tym, że takie cwaniactwo rząd próbował podnieść do rangi zasady, próbując wepchnąć do szczepień poza kolejnością służby mundurowe. Narodowy Program Szczepień zakłada podział społeczeństwa na cztery grupy. Grupą 0 był głównie personel medyczny, ale także farmaceuci. Po nich zaczęła być szczepiona grupa 1, w której znaleźli się najstarsi seniorzy czy pensjonariusze domów pomocy społecznej. I nagle dopisani do tej grupy zostali prokuratorzy oraz pracownicy służb mundurowych, przy czym rząd zdefiniował mundurówkę szerokim gestem – od Służby Wywiadu Wojskowego przez skarbówkę po Służbę Ochrony Kolei. Żołnierze i funkcjonariusze mieli zostać zaszczepieni przed grupą 2, w której są osoby z chorobami współistniejącymi, czyli np. 50- czy 60-latkowie chorzy na raka.

> W przypadku rosyjskiego Sputnika V decydujące okazały się uprzedzenia. Rząd PiS nie kupiłby od Rosjan **nawet eliksiru nieśmiertelności.**

Stało się tak dlatego, że kolejka do szczepień stała się polityczną walutą wewnątrz rządu.

Prokuratorów w kolejkę wpychał minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, wojsko – minister obrony Mariusz Błaszczak, a policję szef MSWiA Mariusz Kamiński. Na szczęście rząd – może pod naporem opinii publicznej, a może pod naciskiem prezesa Kaczyńskiego – wycofał się z tego nieprzyzwoitego działania. Ale nie do końca. Gdy skandal przycichł, okazało się, że tylko niektórzy ciężko chorzy zostali przesunięci przed mundurówkę (osoby dializowane, chorzy pod respiratorami, po przeszczepach, chorzy na raka). Nie masz ciężkiej choroby, twój problem.

Nauczycielom – którzy są na drugiej linii frontu, zaraz za medykami – rząd przydzielił szczepionkę AstraZeneca, która budzi większe emocje od najpopularniejszego preparatu firmy Pfizer, bo w niektórych krajach jest niewskazana dla osób starszych. Nikt z nauczycielami nie rozmawiał, nikt nie rozwiał wątpliwości. Efekt był do przewidzenia – bunt i rozgoryczenie, że nauczyciele okazali się szczepionkowym „gorszym sortem". Żeby zwiększyć wrażenie absurdu, rząd wysłał do szkół klasy I-III jeszcze przed zaszczepieniem nauczycieli.

Władza nie rozmawiała z nami jako społeczeństwem, bo to jest władza jednokierunkowa, nakazowo-rozdzielcza. Mówiła nieprawdę (jak wówczas, gdy przed wyborami twierdziła, że zostawiła koronę w pobitym polu), koloryzowała rzeczywistość (zachwalając szpitale tymczasowe, jak szpital na Stadionie Narodowym, który kosztuje krocie i nie pomaga naprawdę potrzebującym), lawirowała w sprawie problemów ze szczepionkami, zwalając wszystko na kontrakty Unii Europejskiej z firmami farmaceutycznymi (nawet jeśli kłopoty dotyczyły krajowej logistyki szczepionkowej, którą organizuje rząd, a nie Bruksela).

Na unijnych wybojach

Przetarg, który zawarła Unia Europejska, nie działa tak, jak powinien. To też nauczka z pandemii. Unia co prawda, zaprawiona w negocjacjach, kupiła szczepionki bodaj najtaniej na świecie. Ale jednocześnie okazało się, że UE jako zbiór państw ma ograniczone możliwości egzekucyjne. Gdy AstraZeneca oszukała Unię, nie realizując kontraktu w pełnej wysokości, za to wysyłając szczepionki do Wielkiej Brytanii, Bruksela okazała się praktycznie bezbronna. Próbowała przywrócić kontrole na granicy unijnej Irlandii i brytyjskiej Irlandii Północnej, która – jako wyjątek od brexitu – pozostaje płynna. Miało to zapobiec wywozowi szczepionek do Wielkiej Brytanii. Skończyło się skandalem i Bruksela musiała się wycofać.

Dla polskich władz ta sytuacja była idealnym pretekstem, by zwalać odpowiedzialność za braki w szczepionkach na UE. Ale, po pierwsze, przedstawiciel Polski brał udział w negocjacjach z firmami farmaceutycznymi. A po wtóre, gdyby nie ten przetarg, to całą produkcję szczepionek wykupiłyby na pniu najbogatsze kraje, które po prostu zapłaciłyby najwięcej. W tym gronie Polski – kraju wciąż na dorobku – raczej by nie było.

Mechanizm unijny stworzył poszczególnym państwom możliwości wprowadzania na krajowe rynki dodatkowych szczepionek, nawet niezarejestrowanych na terenie UE. To było pole do działania dla polskiego rządu. ↦

↦ Szczepionka rosyjska? A może chińska? Obie kupił idol PiS, premier Węgier Viktor Orbán. Żeby podjąć taką decyzję, trzeba byłoby jednak móc weryfikować jakość wschodnich preparatów, a – patrząc na rok z pandemią – trudno uwierzyć, że rząd takie możliwości ma. Jednak nade wszystko, zwłaszcza w przypadku rosyjskiego Sputnika V, decydujące okazały się uprzedzenia. Rząd PiS nie kupiłby od Rosjan nawet eliksiru nieśmiertelności. W tym sensie twarde zacietrzewienie polityczne władzy okazało się ważniejsze od pandemii.

Narodowy sport: kombinowanie

Krytyka rządzących nie usprawiedliwia nas. My zaś, społeczeństwo – a przynajmniej duża jego część – koronawirusowego testu także nie zdaliśmy. Poza beztroskim lekceważeniem pandemicznych ograniczeń zaczęliśmy się bawić w nasz ulubiony narodowy sport: kombinowanie.

Wielu z nas stało się członkami kadry narodowej w sportach – np. działacze Polskiego Związku Pływackiego powołali kadrę narodową złożoną ze wszystkich polskich pływaków, którzy mają licencję związku, w wieku od 9 lat wzwyż, bo to dawało wstęp na zamknięte dla innych siłownie i baseny. Jedliśmy obiady w zamkniętych restauracjach, bawiliśmy się w zamkniętych dyskotekach. Wyjeżdżaliśmy za granicę, kupując loty z Niemiec, żeby wrócić do Polski autem, bo wtedy kwarantanna nie obowiązywała. Jak zwykle w kombinowaniu wykazaliśmy się wręcz humorystyczna inwencją – jak wtedy, gdy piliśmy piwo w muzeum kapsli, którym mianował się zamknięty bar, albo gdy na łyżwach odwiedzaliśmy kwiaciarnię na lodzie, czyli dawne lodowisko.

Można zrozumieć omijanie prawa przez przedsiębiorców – część z nich od niemal roku nie może normalnie pracować. Oni otwierali biznesy z desperacji, próbowali przeżyć. Brak wizji ze strony władzy doprowadził do tego, że upadają i upadać będą całe branże – jak restauracje czy kluby, a także część sklepów – którym rząd nie dał szans na działanie w pandemicznym reżimie. Już mamy recesję – po raz pierwszy od 30 lat. W najbliższych miesiącach firmy będą padać, a wielu ludzi straci pracę. Stąd bunt części przybitych i przerażonych przedsiębiorców, którzy mimo rządowych gróźb otwierali swe biznesy.

Ale większość z nas uczestniczyła w tym spektaklu omijania prawa z przekory i hedonizmu – przy sporej dawce obłudy. Okazało się, że – przyzwyczajeni do swego rytuału relaksu i zabawy – mamy w sobie bardzo małą zdolność do poświęcenia. Starczyło na pierwsze miesiące kwarantanny, do wakacji 2020, gdy masowo zalaliśmy miejscowości turystyczne, za nic mając ograniczenia – choć latem nieliczne, to jednak wciąż obowiązujące.

Okazało się, że przekonani o swej narodowej zdolności do poświęcenia, poświęcić się nie jesteśmy w stanie. Im dłużej trwa pandemia, tym więcej tych, którzy przestają się przejmować i zaczynają wyznawać zasadę, że kto ma umrzeć, i tak umrze. Widać to było ostatnio, gdy rząd obawiając się otwartego buntu przedsiębiorców, nieco poluzował ograniczenia, otwierając stoki narciarskie i hotele.

Chęć do robienia państwa – i współobywateli – w balona potęgowali celebryci. Popisywali się na portalach społecznościowych swymi wojażami, często sponsorowanymi przez rządowe agencje krajów żyjących z turystyki, które wpadły w tarapaty. Stąd np. wysyp zdjęć z Zanzibaru. Ale akurat o celebrytach nie dowiedzieliśmy się niczego, czego wcześniej byśmy nie wiedzieli.

Nie dali rady

Jak wyglądamy po roku z koronawirusem? Z pandemii wyjdziemy wyczerpani, ze strachem przed kryzysem gospodarczym i utratą pracy, z niedouczonymi dziećmi, zaniedbanym zdrowiem, pełni wzajemnych pretensji, wciąż politycznie podzieleni, choć ze wspólnymi pretensjami do władzy.

A władza przez ten rok nic nie zrozumiała, nie wyciągnęła żadnych wniosków. Dziś, tak jak wiosną minionego roku, przed wyborami prezydenckimi, jak jesienią podczas rekonstrukcji rządu, Kaczyński zajmuje się tym, co lubi najbardziej: politycznymi szachami. Właśnie musiał wycofać swe pionki, które próbowały zabrać partię Jarosławowi Gowinowi, aliantowi PiS, przynajmniej formalnie.

To zresztą charakterystyczny element działania liderów PiS: oderwanie od covidowych realiów. Minister edukacji Czarnek negocjuje z biskupami religię na maturze. Minister kultury Gliński chce przejąć pieniądze z opodatkowania mediów niezależnych, by dać je mediom zależnym. Minister obrony Błaszczak robi kolejną symulację na komputerze, z której nijak nie chce wyjść, że w razie ataku Rosjan utrzymamy się dłużej niż cztery dni.

A, są jeszcze wybory w Rzeszowie, którymi żyje teraz władza. Wieloletni prezydent z korzeniami w PZPR, rezygnując namaścił na następcę człowieka Ziobry, który zamierza udawać kandydata obywatelskiego. Kaczyński chciałby kandydata obywatelskiego z PiS.

Nie dali rady. I już raczej nie dadzą.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

ANDRZEJ GRYGIEL / PAP

Koncert Krzysztofa Kokoszki i Sebastiana Baczewskiego „Dwa balkony, muzyka dla wszystkich". Sosnowiec, 3 kwietnia 2020 r.

Zmęczenie niczym

JAGODA LATKOWSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

Może ten rok, niby-bezczas, jest ważnym spotkaniem z kruchością naszego gatunku? Rozsypało się nam nieco poczucie mocy i bycia panem stworzenia.

MARCIN ŻYŁA: Jest Pani zmęczona?

JAGODA LATKOWSKA: Jestem. Pewnie jak większość z nas.

A co to za zmęczenie?

To tak, jakbyśmy od roku byli pod okupacją tego wirusa. Jest wyczerpanie, stan podwyższonej gotowości i nuda. Na utrzymujące się stale zagrożenie reagujemy fizjologicznie, stresem. Dla niektórych z nas stres i zagrożenie to wręcz stan wojny. Niektórzy walczą o przetrwanie. Są też rzeczy z pozoru banalne. Np. zmęczenie, które generują nasze oczy.

Oczy?

Ich stan silnie wpływa na ogólne wyczerpanie. Cena, jaką płacimy za wpatrywanie się w ekrany, jest wysoka. Kiedy spotykamy się twarzą w twarz, wzrok pracuje peryferyjnie, jest mniej skupiony.

Tymi zmęczonymi oczami patrzymy na całkiem inny świat.

Oglądanie ludzi w maseczkach, bez twarzy, jest dla naszych ośrodków poznawczych dziwne, alarmujące. Podobnie jak komunikaty o „konieczności zasłaniania nosa i ust w pojazdach komunikacji miejskiej" – jak z filmu katastroficznego. To wszystko generuje tzw. zmęczenie niczym. Jest wiele innych powodów do zmęczenia, np. zatarcie granic ↦

↦ – w jednym mieszkaniu mamy dom, pracę i szkołę. W pracy wiele rzeczy, które robiliśmy z innymi, robimy sami.

To co pomaga przetrwać?

Aktywność, współdziałanie z innymi i umieszczenie poczucia kontroli wewnątrz. Pojawiały się przez ten rok. Uliczne hasło „Nigdy nie będziesz szła sama" jest też deklaracją, że nie zostawimy nikogo, komu jest trudno, kto czuje się zagrożony.

Niektórzy zajęli się porządkami. Zobaczyli, że mają za dużo rzeczy. Kiedyś by je wyrzucili, teraz pomyśleli: komu oddać, z kim się wymienić, jak dać im nowe życie. Widzę więcej szacunku dla środowiska i myślenia o potrzebach innych.

Z drugiej strony, podczas lockdownu dostrzegliśmy zasoby, które wcześniej były „przezroczyste". Zorientowaliśmy się, że dużo mamy: ogródek, park w okolicy, bliskich. Okazało się, że istotne są relacje, ludzie i natura. I że dzięki temu, do czego mamy dostęp, możemy wpływać na swój stan psychiczny.

Zdrowie objawiło się całościowo?

Nasze myślenie o nim nazwałabym postawą troskliwej odpowiedzialności. Możemy więcej dać innym, jeśli sami jesteśmy w dobrej formie. Całościowa koncepcja zdrowia, łącząca elementy fizjologiczne z psychologicznymi, wywodzi się z medycyny chińskiej. Mówi o pięciu elementach zdrowia: śnie, ruchu, diecie, relacjach i poczuciu sensu. Myślę, że przez ten rok ćwiczyliśmy uważność i troskę w patrzeniu na siebie.

Niektórzy zaczęli bardziej myśleć ciałem, opowiadać przez nie o sobie.

Ciało jest sojusznikiem w przechodzeniu przez zmęczenie. Sygnalizuje potrzeby, ale też pozwala pomieścić trudne stany i emocje.

Pamięta Pani, kiedy to poczuła?

Pierwsza rzecz, którą zrobiłam, gdy rok temu wszystko wycięło mi z kalendarza i nie wiedziałam, co się dzieje – usiadłam na poduszce do medytacji. Pomyślałam: „Choćby nie wiem co, to będę tak siedzieć codziennie".

Nie każdy musi siadać na poduszce, choć wielu moich pacjentów rozpoczyna ćwiczenie uważności lub wraca do tej praktyki. Gdybym miała bloczek z receptami, przepisywałabym spacery.

JAGODA LATKOWSKA:

Oglądanie ludzi w maseczkach, bez twarzy, jest dla naszych ośrodków poznawczych dziwne, alarmujące.

Uważne bycie w tym, co dookoła nas, daje siłę oddalenia się od frustrujących myśli.

To jak w koncepcji buddyjskiej: pierwsza strzała, która nas trafia, to nieunikniony ból. Ale często w to bolące miejsce sami sobie wbijamy drugą. Zaczynamy w destrukcyjny sposób uciekać od tego bólu: w uzależnienia, kompulsywne myśli czy działania, albo karmić się poczuciem krzywdy, winy. Ten drugi ból bywa większy. Wyćwiczona uważność sprawia, że wbijamy sobie mniej tych kolejnych strzał. Mniej czepiamy się siebie. Co trzeba – naprawiamy, co trzeba – sprzątamy, ale nie hodujemy złości, wstydu i żalu. Ta wyrozumiałość jest teraz bardzo ważna.

Od początku pandemii naukowcy z King's College w Londynie co tydzień pytają 700 tys. Brytyjczyków o ich poczucie szczęścia. Teraz jest ono nawet niższe niż przed rokiem, gdy lęk związany z nieznanym wirusem był wysoki.

Bo to naprawdę najgorszy moment. Wiosną wiele osób żyło w zaprzeczeniu, nie konfrontując się z nowym zagrożeniem. A niektórzy nawet poczuli się lepiej. Praca online okazała się wygodniejsza. Podczas lockdownu osoby samotne często nie czuły się odizolowane, gorsze. Dzieliły swój stan z wieloma innymi.

Jesienią przyszła druga fala pandemii, ale byliśmy już przygotowani, wyćwiczeni w zdalności. Wiele osób czuło, że daje radę, przystosowało się. Kalendarze nie były puste.

Teraz ewentualne pozytywy spowszedniały. Męczy nas rozstawanie się z kolejnymi nadziejami. Było ich już trochę: że luźniejsze lato to ostatnie podrygi koronawirusa, że przejdziemy zimowe przesilenie i będzie lżej, że szczepionki to szybkie rozwiązanie problemu. Tymczasem wizja końca pandemii się oddala: są nowe warianty koronawirusa, opóźnienia w dostawie szczepionek. I kolejne frustracje.

To nie lepiej w ogóle nie oglądać się na nadzieję?

Tylko że ona jest warunkiem przetrwania. Bierze się z zaufania do świata i jeżeli to zaufanie zostaje zniszczone, to w zasadzie zniszczone zostaje życie.

A rok to dużo?

Podczas pandemii różnie przeżywamy czas. Dla nastolatka rok to epoka, zarówno w jego odczuciu, jak i pod kątem kształtującej się w tym wieku tożsamości. Musi siedzieć w domu z rodzicami, choć to okres, gdy chce tego najmniej. Młodzi mówią o sobie, że przez pandemię są „straconym pokoleniem".

Ludzie starzy czują się często tak, jakby szybko uciekały ich ostatnie słoneczne dni. I nie wiadomo, czy uda się je potem odzyskać. Ja z kolei łapię się na tym, że czas znika. Może to przez czekanie na koniec, na jutro? Gdy chcę ustalić, ile lat temu coś się wydarzyło, wiem, że muszę dodać rok, bo na pewno o nim nie pomyślę.

Co ta dziura w czasie zrobi z nami za kilka lat?

To zależy od tego, jak patrzymy na to „po". I czego się nauczyliśmy. Czy przerażamy się katastroficznymi wizjami, że koronawirus to pierwszy jeździec Apokalipsy? Czy trzymamy się konserwatywnych przekonań, że uratuje nas tylko powrót do tego, co było, zatrzymywanie zmian murami i zakazami? Czy może zdecydujemy się spojrzeć przyszłości w oczy – ze świadomością zagrożeń, nieuchronności zmian i nadzieją, że możemy sami się zmienić. Na lepsze. Co ważne: z nadzieją, która nas zmobilizuje do działania na rzecz tej zmiany. Może ten rok, niby-bezczas, jest ważnym spotkaniem z kruchością naszego gatunku? Rozsypało się nam nieco poczucie mocy i bycia panem stworzenia. Może zaczniemy inaczej myśleć o miejscu człowieka na Ziemi, o naszych powiązaniach i zależnościach?

Młodzi, ci sami, którzy uznają się za „stracone pokolenie", już to robią. Nie chcą biernie oczekiwać apokalipsy ani wierzyć, że odgrodzimy się od niej różańcem. Doświadczenie dotkliwości pandemii może być konstruktywne. Niedawno ukazała się książka islandzkiego pisarza Andriego Snæra Magnasona „O czasie i wodzie". Opowiada nam o tym problemie w formie gawędy. Nie straszy. Pokazuje, jak ważne jest dowiedzieć się, że zależymy od siebie nawzajem, a na nasze doświadczenie ma wpływ to, jak się wzajemnie o siebie troszczymy.

Zdaniem niektórych przez ten rok nie zdało egzaminu państwo. Czy to ma znaczenie dla naszego jednostkowego doświadczenia?

Myślę, iż wielu z nas odczuło, że państwo ma nas trochę gdzieś. Dobrze to ilustruje zamknięcie parków na początku epidemii – nikt nie pomyślał o tym, jak są dla Polaków ważne. Znajoma, która mieszka na Bermudach, opowiadała mi, że choć wprowadzono tam surowe restrykcje, m.in. godzinę policyjną i zakaz kontaktów, dano ludziom dwie godziny dziennie na rekreację na powietrzu. Czuli, że naprawdę chodzi o ich zdrowie. W Polsce państwo to, niestety, głównie polityka. Powiedziałabym wręcz, że odczuwam pogardę państwa dla naszych indywidualnych potrzeb.

W chwili, w której tak ważne są wspólnoty, lokalność i poczucie bycia blisko, nasz system polityczny stara się to unieważnić – albo co najmniej nie dostrzegać.

DOROTA KOZIERADZKA / MATERIAŁY PRASOWE

JAGODA LATKOWSKA jest psychoterapeutką i edukatorką. Zajmuje się terapią indywidualną i terapią par. Prowadzi warsztaty i szkolenia z zakresu umiejętności społecznych.

Zdumiewają mnie działania władz przeciwko samorządom lokalnym i zawodowym czy lokalnym mediom. To wszystko przeczy naszej potrzebie dobrego przejścia przez ten trudny czas.

Jeśli dobrze rozumiem, państwo okazało się nie dla ludzi?

Gdy zamykano szkoły, właściwie nikt nie wytłumaczył dzieciom, dlaczego tak się dzieje. Młodych nie potraktowano jak obywateli. To, że Polacy poniżej 18. roku życia nie mają wszystkich praw przysługujących starszym, nie oznacza przecież, że mają mniejsze potrzeby rozumienia, w jakim świecie żyją, że nie powinni być wysłuchani. Apogeum tej pogardy wobec potrzeb dzieci i nastolatków były ferie zimowe, kiedy utrzymano zakaz wychodzenia z domu bez opiekuna przed południem – można było dopiero po południu. Po fali społecznego oburzenia i interwencji Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę zmieniono te przepisy.

A co pandemia powiedziała Pani o ludziach wokół?

Z rzeczy niepokojących: odczuwam wokół silną nadzieję – należałoby może powiedzieć: pobożne życzenie – że jeśli wszystko na świecie powróci do „starego", to znaczy, że będzie dobrze. To rodzaj tradycjonalizmu – częstej w Polsce postawy, która może prowadzić również do zaprzeczenia, wyparcia, niezauważania rzeczy, z którymi trzeba się mierzyć. Wciąż zbyt często próbujemy zatrzymać bieg rzeki.

Chodzi o przemiany społeczne i obyczajowe?

Oczywiście, ale nie tylko. Także o to, że jeśli nie zaczniemy inaczej myśleć o środowisku i nie zastanowimy się, jakie skutki może mieć np. przekopanie Mierzei Wiślanej, możemy już nie poradzić sobie z negatywnymi konsekwencjami.

Ale nie chodzi tylko o to, żebyśmy widzieli zagrożenia albo się bali – także o to, żebyśmy mogli zobaczyć i wykorzystać szansę na życie w świecie, w którym jest więcej współczucia i troski.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Kształt tragedii

Aborcja w Biblii?! To prawda, że nie ma na jej kartach bezpośrednio mowy o umyślnym wywołaniu poronienia, ale nie oznacza to, że nie znajdujemy fragmentów, które rzucają nieco światła na tę kwestię. Oto moje tłumaczenie Wj 21, 22-25: „Jeżeli bijący się mężczyźni spowodują obrażenia ciała ciężarnej kobiety, która poroni, ale nie dojdzie do tragedii [hebr. *ason*] – [sprawca] zostanie ukarany, gdy mąż kobiety zgłosi roszczenia wobec niego, i zapłaci (dosł. „da") on według decyzji sędziów. Jeśli jednak dojdzie do tragedii: dasz życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniaka za siniaka".

Kanoniczny komentator nie pozostawia żadnych niedomówień: „tragedia" oznacza w tym przypadku śmierć kobiety. Gdy do niej nie dojdzie, sprawca ma zapłacić za płód, którego cenę ustala się szacując, za ile można by sprzedać tę kobietę na targu niewolników w dwóch przypadkach: gdyby była w ciąży lub nie. Ciężarna niewolnica jest warta więcej, ponieważ urodzi nabywcy kolejnych niewolników. Wysokość odszkodowania jest oczywiście różnicą cen niewolnicy będącej i niebędącej w ciąży. Spieszę dodać, że ta procedura – opisana w Talmudzie – nie uwłaczała specjalnie godności kobiety, albowiem była ona powszechnie stosowana przez rabinów do ustalania wysokości odszkodowania w przypadku spowodowania trwałego kalectwa drugiego człowieka.

Według prawa biblijnego nie można wykupić się z kary za nieumyślne spowodowanie śmierci. W naszym źródle jest mowa o wypadku, dowiadujemy się więc z niego, że – w ramach tego systemu – doprowadzenie do śmierci płodu nie równa się zabiciu człowieka. To fascynujące, że ten sam fragment służy – w ramach innego systemu – za biblijne poparcie tezy, że aborcja jest morderstwem. Jak to możliwe? Hebrajskie *ason* zostało przetłumaczone w Septuagincie jako „forma", „kształt", choć kompletnie – ani dźwiękowo, ani graficznie – nie przypomina żadnego z hebrajskich wyrazów mających takie znaczenie (*celem, demut, cura*). W Septuagincie więc *ason* nie odnosi się do kobiety, tylko do płodu, i „jeżeli jest kształt – dasz życie za życie", czyli jeśli nieumyślnie spowodujesz śmierć płodu, który kształtem już przypomina człowieka, zostaniesz ukarany śmiercią. Stąd Augustiański podział na *embryo informatus* i *embryo formatus* oraz średniowieczne karanie śmiercią kobiet, które poroniły.

Tyle o tych fundamentalnych czterech wersach. Judaizm uznaje narodzenie za początek ludzkiego życia, co oczywiście nie wyklucza innej formy życia przed narodzeniem, obca mu jest też koncepcja grzechu pierworodnego. Wspomniałam tylko wierzchołek góry lodowej, jedynie on zmieścił się w tym felietonie. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Ofiara to zbyt mało

Któż nie słyszał o ofierze z Izaaka na górze Moria (jej nazwa oznacza miejsce wybrane przez Pana)? Jeśli się pójdzie za sugestią Abrahama Joshui Heschela i popatrzy na Biblię jako na zapis wysiłków Boga i człowieka nawzajem siebie szukających, wtedy to wydarzenie można odczytać jako zapis pożegnania pewnej epoki w dziejach religii i cywilizacji, które swoje dopełnienie znajdzie w tym, co powie i zrobi Jezus, potomek Abrahama, zwłaszcza na górze zwanej Golgotą.

Wypełnienie żądania ofiarowania Izaaka przez Abrahama przytacza się jako przykład heroicznego zaufania człowieka do Boga, co u wielu budzi opory moralne i psychiczne. Jak żyć pod jednym dachem z ojcem po tym, kiedy na gardle odczuło się ostrze jego noża?

W szczytowym momencie akcji, kiedy Izaak znajduje się o krok od śmierci, zjawia się nie jeden z wielu aniołów-posłańców, ale anioł Pana, co oznacza, że tu i teraz działa sam Bóg, gdyż określenie bywa imieniem Boga. „Nie podnoś ręki na tego chłopca i nie czyń mu nic złego" – mówi. A więc zabicie Izaaka nie jest czynem chwalebnym, skoro obciążone jest złem. Może więc jest tak, że Abraham, który już uwierzył nowemu Bogu, chciał go jednak czcić po staremu, zgodnie z zasadami religii, którą właśnie porzucał. W jego ojczyźnie krwawe ofiary z dzieci nie były czymś nadzwyczajnym. W tym świetle zdanie: „nie czyń mu nic złego" można odczytać jako dezaprobatę Boga dla takiego sposobu oddawania Mu czci, dezaprobatę dla takiej religijności. Bóg nie odrzuca dobrej intencji Abrahama, ale ją odmienia. W takim przypadku wydarzenie na górze Moria kładzie kres krwawym ofiarom z ludzi (zastąpią je ofiary ze zwierząt i żywności).

W Nowym Testamencie, w Liście do Hebrajczyków, czytamy: „przychodząc na świat, Chrystus mówi: ofiary i daru nie chciałeś, ale przygotowałeś Mi ciało. Nie podobały się Tobie całopalenia ani ofiary za grzechy. Wtedy powiedziałem: »Oto przychodzę!«. W zwoju księgi napisano o Mnie: »Chcę wypełniać Twoją wolę, Boże«". Nie o ofiarę więc chodzi. W liście apostolskim o św. Józefie papież Franciszek pisze, że „szczęście Józefa nie polega na logice ofiary z siebie, ale daru z siebie. (...) Świat potrzebuje ojców, odrzuca panów, odrzuca tych, którzy chcą wykorzystać posiadanie drugiego do wypełnienia własnej pustki; odrzuca tych, którzy mylą (...) siłę ze zniszczeniem. Każde prawdziwe powołanie rodzi się z daru z siebie, który jest dojrzewaniem zwyczajnej ofiarności. (...) Tam, gdzie powołanie, czy to małżeńskie, do celibatu czy też dziewicze, nie osiąga dojrzałości daru z siebie, zatrzymując się jedynie na logice ofiary, to zamiast stawać się znakiem piękna i radości miłości, może wyrażać nieszczęście, smutek i frustrację". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Zmiłuj się

Pierwszy piątek Wielkiego Postu, dzień modlitwy i pokuty Kościoła w Polsce za grzech wykorzystania seksualnego małoletnich. Jak dobrze jest dać się w wierze poprowadzić słowom psalmu 51 – również po to, by na Boży sposób zmierzyć się z tym grzechem i przestępstwem.

Tradycja wiąże powstanie tego psalmu ze strasznym grzechem króla Dawida: „Psalm Dawida, gdy po cudzołóstwie z Batszebą, przybył do niego prorok Natan". „Na nowo, ciągle na nowo obmywaj mnie z brudu zła, oczyszczaj z grzechu. Uznaję moją winę, stale mam grzech przed oczyma". To słowo dla nas na te momenty, kiedy chcemy protestować, i mówić: „Jak długo jeszcze!"; „Ciągle tylko pedofilia i pedofilia"; „Za dużo tego bicia się w piersi!".

Psalm mówi: za dużo? Za mało! Potrzebujemy mieć swój grzech stale przed oczyma. Potrzebujemy być z niego obmywani „na nowo, ciągle na nowo". Ciągle jest za mało tej świadomości – i dlatego ciągle odkrywane są nowe fakty. Ciągle też okazuje się, jak dalece nie potrafimy sobie z nimi radzić, mimo jasno określonych zasad i procedur. Najwyraźniej nie w nich tkwi problem, lecz w ciągle niedokonanej zmianie mentalności. A przecież w języku biblijnym „nawrócenie" (*metanoia*) znaczy tyle, co „zmiana myślenia".

„Zgrzeszyłem przeciwko Tobie samemu; dopuściłem się tego, co złe przed Twoimi oczami". Natan uświadomił Dawidowi: Bóg widział! Grzech Dawida odbył się „na oczach Boga". Mimo że był skryty (cudzołóstwo w ukryciu królewskiej sypialni) i mimo tego, że Dawid później zrobił wszystko, by pozostał ukrytym. Posunął się do kłamstwa, próby oszustwa, a wreszcie do zabójstwa (i to cudzymi rękami). Natan mu mówi w imieniu Boga: „Ja obwieszczę tę rzecz wobec całego Izraela i wobec słońca" (2 Sm 12, 12).

Bóg mówi: „Ja obwieszczę!". Nie wrogowie Dawida. Nie ci, którzy chcą poderwać jego autorytet. Tak mówi Bóg dzisiaj: to Ja czynię wasz grzech jawnym. Nie dziennikarze. Nie wrogowie. Nie uczestnicy jakiegoś antykościelnego spisku. Ja! Dlaczego Bóg tak czyni? Na złość? Z zemsty? Za karę? Wiemy, że każda z tych odpowiedzi jest błędna i obraźliwa dla Pana. Jeśli nie rozpoznamy woli Boga w tym „obwieszczeniu" naszych grzechów – czy podejmiemy rzeczywistą refleksję?

I trzeci fragment psalmu: „Najmilszą ofiarą jest duch skruszony; nie gardzisz Boże sercem skruszonym i uniżonym". Jako Lud Kapłański istniejemy dla składania ofiar Bogu. Bóg mówi tym psalmem, jaką ofiarę wybiera: ofiarę z ducha i serca skruszonego. Dopiero ta ofiara, Jemu „najmilsza", otwiera możliwość składania wszystkich innych: „Wtedy pokochasz prawe ofiary, dary i całopalenia; wtedy złożą cielce na Twoim ołtarzu".

Bez skruszenia serca i ducha, bez uznania naszej winy, nie mamy możliwości przystąpienia do ołtarza z innymi ofiarami. Na cóż więc jeszcze wtedy istniejemy jako Kościół? ©

Na tym polega prawdziwa doskonałość, aby nigdy nie zatrzymywać się we wzrastaniu ku temu, co lepsze, i nie wyznaczać doskonałości jakiejś granicy.

GRZEGORZ Z NYSSY

Nie wielkość stanowi o doskonałości, ale doskonałość o wielkości.

ZENON Z KITION

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (28 II – 7 III)

2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 22, 1-2. 9-13. 15-18; Ps 116B; Rz 8, 31b-34; Mk 9, 2-10;
Poniedziałek: Dn 9, 4b-10; Ps 79; Łk 6, 36-38;
Wtorek: Iz 1, 10. 16-20; Ps 50; Mt 23, 1-12;
Środa: Jr 18, 18-20; Ps 31; Mt 20, 17-28;
Czwartek: Syr 51, 13-20; Ps 16; J 15, 9-17;
Piątek: Rdz 37, 3-4. 12-13a. 17b-28; Ps 105; Mt 21, 33-43. 45-46;
Sobota: Mi 7, 14-15. 18-20; Ps 103; Łk 15, 1-3. 11-32;
3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 20, 1-17; Ps 19; 1 Kor 1, 22-25; J 2, 13-25.

FRANKOWA UGODA NA HORYZONCIE

Równo 25 lat temu banki podały pierwszym polskim klientom toksyczny owoc kredytu w obcej walucie. Historia ta może wkrótce mieć zgoła niebiblijne zakończenie – jeśli tym razem z raju wygnany zostanie wąż.

MAREK RABIJ

MARCIN OBARA / PAP

Manifestacja Ruchu Stop Bankowemu Bezprawiu, Warszawa, luty 2015 r.

Najbliższe cztery tygodnie mogą okazać się najgorętszym okresem w dziejach polskiej bankowości. 25 marca Sąd Najwyższy wyda orzeczenie, które ujednolici linię orzeczniczą polskich sądów w sprawie kredytów hipotecznych denominowanych w obcej walucie lub indeksowanych ich kursem. Sześć pytań, które trafiło do Sądu z izb niższych instancji dotyczy przede wszystkim wątpliwości, czy klauzule indeksujące wartość kredytów o tabele kursu walut ustalane wewnętrznie przez banki (już zakazane przez unijne ustawodawstwo) wolno zastąpić np. średnim kursem walut NBP lub innym wskaźnikiem. Kolejne pytania dotyczą m.in. biegu przedawnienia w tego typu sprawach oraz kontrowersji wokół prawa do żądania opłat za korzystanie z udostępnionego przez banki kapitału – w sytuacji, kiedy sąd dojdzie do wniosku, że zawartą przed laty umowę kredytu należy uznać za nieważną.

Skomplikowane, prawda? A przecież prócz kwestii czysto prawnych sprawa ma także aspekt ekonomiczny, bo zdaniem bankowców ich przegrana z frankowiczami kosztować będzie jakieś 60-100 mld zł i o tyle mniej pieniędzy zasili rzekomo w kolejnych latach polską gospodarkę.

Istotę polskiego sporu klientów i banków o kredyty walutowe – zwane słusznie frankowymi, bo to ta waluta była najczęściej głównym bohaterem – w gruncie rzeczy można jednak sprowadzić do jednej fundamentalnej kwestii. A jest nią odpowiedź na pytanie, czy powszechna ekonomizacja wielu sfer polskiego życia – od kultury, przez usługi publiczne, kończąc na ochronie zdrowia – może się rozlać także na płaszczyznę prawa. W listopadzie ub. roku Związek Banków Polskich, branżowy wehikuł lobbingowy, zaapelował wprost do Komitetu Stabilności Finansowej (w skład którego wchodzą Narodowy Bank Polski, Komisja Nadzoru Finansowego, Ministerstwo Finansów oraz Bankowy Fundusz Gwarancyjny) o interwencję w sprawie sporów o kredyty frankowe, zanim Sąd Najwyższy wyda orzeczenie. Zdaniem bankowców sądy wydają wyroki uderzające w „fundamenty funkcjonowania bankowości".

Czy zatem branża, która z premedytacją schwytała setki tysięcy klientów w pułapkę kredytów walutowych, do tego przeprowadzając tę operację z rażącym – jak się okazało – lekceważeniem dla prawa, po raz kolejny okaże się zbyt ważna dla gospodarki, żeby ponieść za to konsekwencje? Sądząc po ostatnich ruchach w samych bankach, słabną nadzieje, że kredytowa burza tym razem przejdzie bokiem.

Ugoda nagle opłacalna

Drogę ucieczki z walutowej pułapki otworzyła polskim frankowiczom decyzja Trybunału Sprawiedliwości UE z 2019 r., która potwierdziła, że kredyty indeksowane kursem obcej waluty zawierają klauzule skutkujące nieważnością całej umowy pożyczki, ale dodatkowo podkreśliła, że takiej klauzuli nie można zastąpić bez zgody kredytobiorcy dowolnym aneksem. Po tej decyzji sądy zalała fala pozwów o unieważnienie umowy kredytu walutowego. Na koniec ub. roku liczba takich spraw przekroczyła 30 tysięcy, co oznacza, że tylko w ciągu 12 miesięcy przybyło ich około 30 proc. Zeszłotygodniowe orzeczenie Sądu Najwyższego, ponownie korzystne dla kredytobiorców, może ten trend jedynie pogłębić. W odpowiedzi na zapytanie składu niższej instancji Sąd Najwyższy doszedł bowiem do wniosku, że kredytobiorcy frankowi mają prawo żądać od banków zwrotu kwot wpłaconych z tytułu zaskarżonej umowy nawet wówczas, gdy dochodzona kwota jest niższa od wartości wypłaconego kredytu. Polscy sędziowie zajęli więc w tej sprawie stanowisko podobne w duchu do wcześniejszego orzeczenia TSUE, którego członkowie nie mieli wątpliwości, że w sporze klienta z bankiem interes słabszej strony wymaga większej ochrony prawnej.

Aktywnych, wciąż spłacanych hipotek frankowych jest dziś nieco ponad 400 tys., ale banki udzieliły łącznie 775 tys. kredytów indeksowanych do kursu szwajcarskiej waluty lub nią denominowanych. Istnieje więc spore ryzyko, że gdyby sądy zaczęły masowo przyznawać rację kredytobiorcom, pozwy złożą także ci, którzy kredyty już spłacili.

Większość spraw frankowych jeszcze nie weszła na wokandę lub czeka na apelację, ale statystyki orzeczeń w pierwszej instancji, w której w olbrzymiej większości wygrywają klienci, musi stanowić dla banków sygnał alarmowy. Te obawy, jeśli nie panikę, widać w danych finansowych za ubiegły rok. Na przykład mBank, który na koniec 2020 r. miał na głowie 7508 spraw o unieważnienie kredytu walutowego, zamroził dotychczas w rezerwach 1,5 mld zł. Kolejny bardzo aktywny swego czasu kredytodawca frankowy, bank Millennium (5514 spraw) musiał odłożyć na pokrycie ewentualnych roszczeń klientów 960 mln zł – z czego aż 426 mln zł wpadło do tej puli w czwartym kwartale ub. roku, kiedy szybko zaczęło przybywać pozwów. PKO BP, który we frankowe tarapaty (5372 sprawy) wpakował się głównie wskutek przejęcia za ↦

↦ 2,83 mld zł banku Nordea, włożył na ten sam cel do zamrażarki 1,4 mld zł, zwiększając w ostatnim kwartale rezerwy o 337 mln zł. Łącznie dziesięć największych polskich banków notowanych na warszawskiej giełdzie odłożyło już na pokrycie ewentualnych przegranych z frankowiczami niemal 6 mld zł i wszystko wskazuje na to, że po pierwszym kwartale br. wartość rezerw na ten cel może sięgnąć 8-9 mld zł. Zważywszy na trudną sytuację sektora bankowego, który – jak pokazują wstępne wyniki niektórych graczy – w 2020 r. odnotował spadek zysków nawet o 40-50 proc., branży przestaje się opłacać dotychczasowa gra na zwłokę. Dlatego prezesi banków, którzy dotychczas sabotowali wszelkie propozycje polubownego (czyli satysfakcjonującego obie strony) rozwiązania walutowego impasu, szybko zmieniają zdanie. Rozsądnie brzmi im nawet propozycja szefa Komisji Nadzoru Finansowego, który postuluje przeliczenie kredytów w taki sposób, jakby od początku były udzielone w rodzimej walucie i wedle krajowych stóp procentowych – mimo że do niedawna branża twardo stała na stanowisku, że takie rozwiązanie jest ekonomicznie i operacyjnie po prostu nie do przyjęcia.

Sytuacja musi być poważna, skoro bankowcy postanowili zrobić coś, do czego uciekają się zwykle dopiero wówczas, kiedy narozrabiają naprawdę grubo – zaapelować o pomoc banku centralnego. Zarząd NBP, który do tej pory stał na stanowisku, że banki muszą samodzielnie wypić piwo nawarzone kilkanaście lat wcześniej, obecnie nie wyklucza pomocy w przewalutowaniu frankowego portfela. Stawia jednak warunek – pomoc ma mieć charakter systemowy i rozwiązać problem raz na zawsze. Banki muszą zatem wcześniej oszacować, ilu klientów gotowych będzie pójść na ugodę i wypracować jednolite jej warunki.

Banki znalazły się więc w egzotycznej dla siebie sytuacji, w której to nie one przemawiają z pozycji siły. Sądząc po wynikach ostatnich ankiet, więcej niż co drugi polski frankowicz deklaruje zainteresowanie ugodą na warunkach zbliżonych do zaproponowanych przez KNF – mimo że zdaje sobie sprawę z tego, że walcząc w sądzie do końca może ugrać znacznie więcej (przeciętne zadłużenie po konwersji na warunkach KNF zmaleje o jakieś 30-40 proc.; zwycięstwo w sądzie dla klientów, którzy spłacili mniej więcej połowę kredytu, może oznaczać uwolnienie hipoteki, a nawet sporą nadpłatę). Deklaracje składane ankieterom padają jednak przed wyrokiem SN, kiedy wygrana w sądzie jest nadal niepewna. Na forach frankowiczów wyczytać można wręcz, że w niektórych miastach, np. we Wrocławiu, sądy często orzekają na korzyść banków. Po 25 marca linia orzecznicza stanie się jednak znacznie bardziej przewidywalna.

> Więcej niż co drugi frankowicz jest zainteresowany ugodą na warunkach podobnych do zaproponowanych przez KNF – mimo że **walcząc w sądzie do końca może ugrać znacznie więcej.**

Czy klienci uścisną wtedy rękę wyciągniętą przez bankowców do zgody?

Poudawać uczciwych

Banki przez lata przedstawiały przecież polskich frankowiczów jako krótkowzrocznych hazardzistów, którzy postawili własną przyszłość w walutowym kasynie, ewentualnie – spekulantów hurtowo wykupujących mieszkania w najatrakcyjniejszych lokalizacjach, oczywiście pod wynajem.

Jak jest naprawdę? W portrecie przeciętnego polskiego frankowicza, jaki wyłania się chociażby z danych Biura Informacji Kredytowej, trudno znaleźć elementy pasujące do układanki, którą kleci lobby bankowe. Aż 66 proc. posiadaczy kredytów frankowych w Polsce stanowią osoby urodzone między 1967 a 1981 r., które w połowie pierwszej dekady XXI wieku – czyli w apogeum zainteresowania pożyczaniem na mieszkanie w obcej walucie – dobiegały czterdziestki lub dopiero kończyły studia. Większość klientów w tej grupie wiekowej kupowała zatem swoje pierwsze mieszkanie najczęściej po to, żeby w nim mieszkać – o wiele rzadziej do celów spekulacyjnych.

Trudno też zarzucać im krótkowzroczność czy nieumiejętność oceny zdolności kredytowej, skoro same banki z innych okazji podkreślają, że przy niespełna 3-proc. udziale tzw. umów zagrożonych portfele walutowych kredytów hipotecznych należą do najzdrowszych składników ich bilansów (w bankowej narracji dowodzić to ma dobrej kondycji finansowej zadłużonych we frankach gospodarstw, choć równie dobrze da się wytłumaczyć to także desperacją rodzin usiłujących uniknąć utraty spłaconego w części mieszkania).

Aż 95 proc. frankowiczów spłaca wszystkie zobowiązania w terminie – to kolejna konkluzja płynąca z danych BIK, z których wynika także, że kupujących mieszkania za kredyty w obcej walucie nie można nazwać utracjuszami. W tej grupie więcej niż 10 pożyczek konsumpcyjnych posiada zaledwie 0,6 proc. kredytobiorców. W całej polskiej populacji jest ich niemal dziesięć razy więcej.

Jak zatem doszło do tego, że kilkaset tysięcy Polaków, nie najgorzej wykształconych (wśród frankowiczów dominują absolwenci studiów) i na co dzień podejmujących racjonalne decyzje konsumenckie, nagle uległo temu „helweckiemu ukąszeniu"? Banki formalnie nie ukrywały przecież ryzyka. Większość klientów podpisała nawet klauzule, w których oświadczyła, że zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakie wiąże się z ryzykiem kursowym.

Odpowiedź na to pytanie kryje się częściowo w arkanach banków. Dziś wiemy już, że niektóre majstrowały w kalkulatorach zdolności kredytowej w taki sposób, aby potencjalnym klientom zamknąć drogę do kredytu w polskim złotym, ale pozwolić zadłużyć się we franku. W tym celu najczęściej w obliczaniu wysokości raty i zadłużenia nie uwzględniano po prostu spreadu walutowego. Wiadomo też, że zarządy banków, które po wejściu Polski do Unii rozkręciły na całego kurki z kredytami walutowymi, doskonale zdawały sobie sprawę z tego, że kilka lat wcześniej w kilku krajach Europy Zachodniej wprowadzono systemowe ograniczenia w dostępie do kredytów walutowych – bliźniaczo podobne do tych, które w Polsce udało się przepchnąć, przy wciąż sporym oporze banków, dopiero w ubiegłej dekadzie. To wszystko nie przeszkadzało jednak polskim bankom reklamować pożyczania w obcej walucie jako w pełni bezpiecznej i do tego powszechnie stosowanej metody finansowania zakupu nieruchomości. Jeszcze w lipcu 2008 r. – na kilka-

naście tygodni przed upadkiem banku Lehman Brothers i wywołanym przez to kryzysie finansowym – analitycy z polskich banków i brokerów kredytowych uspokajali opinię publiczną, że szwajcarska waluta to stabilny fundament dla inwestycji w mieszkanie. Byli i tacy, którzy obstawiali, że cena franka, kosztującego wówczas nieco ponad 2 zł, do końca roku zjedzie w pobliże 1 zł.

Tuż przed Bożym Narodzeniem 2008 r. za jednego franka trzeba było tymczasem zapłacić około 2,6 zł. A najgorsze dla posiadaczy kredytów w tej walucie miało dopiero nadejść.

Walutowy nawis

Na ile umocnienie się helweckiej waluty do złotówki w 2008 r. było zaskoczeniem dla samego polskiego sektora bankowego? Czy naprawdę istniały twarde przesłanki ku temu, by przedstawiać klientom franka szwajcarskiego jako „walutę o stabilnym kursie"?

Polski złoty jako pieniądz w pełni wymienialny miał wówczas zbyt krótką, ledwie kilkuletnią historię kursową, by wyczytać z niej coś więcej niż szczęście debiutanta. Bardziej przydatne będą historyczne dane kursu najważniejszej waluty świata, dolara amerykańskiego do franka. Wynika z nich, że w latach 1972–2008 frank podrożał do dolara ponad... 400 proc. Przeciętny Smith, który w 1972 r. wziąłby na mieszkanie kredyt na 100 tys. dolarów indeksowany o kurs CHF, wpadłby więc w identyczną pułapkę, w jakiej znalazły się tysiące polskich frankowiczów. Sam kapitał do spłaty, bez odsetek, wzrósłby mu w tym czasie do ponad 450 tys. dolarów tylko wskutek różnicy kursowej.

Rzecz jasna, opinia o franku jako stabilnej lokacie kapitału nie wzięła się z niczego. Kiedy w 1360 r. na ziemiach Królestwa Francji zaczęto bić monetę zwaną frankiem, na terenach obecnej Szwajcarii rodziły się dopiero administracyjne zalążki tego kraju. Dwa wieki później francuscy hugenoci, uciekając z ojczyzny przed katolickimi prześladowaniami, zabrali ze sobą do Szwajcarii monety króla francuskiego (a przy okazji również wiele jubilerskich talentów, które stały się zalążkiem słynnych szwajcarskich firm zegarmistrzowskich). Oficjalną monetą Szwajcarii frank stał się jednak dopiero w 1798 r., kiedy ziemie Helwetów podbiły wojska Bonapartego.

Bankowcy postanowili zaapelować o pomoc banku centralnego. **Zarząd NBP nie wyklucza interwencji, ale stawia warunek** – pomoc ma mieć charakter systemowy i rozwiązać problem raz na zawsze.

Początkowo własne monety emitowały poszczególne kantony, a pieniądz produkowano dla nich w Paryżu i Strasburgu. W 1848 r. Szwajcaria utworzyła jednak bank centralny i produkcję franka przeniesiono do starej kantonalnej mennicy w Bernie. Polityczna neutralność Szwajcarii, ogłoszona w roku 1815, zapewniała od początku frankowi bezpieczeństwo i stabilny kurs. W 1865 r. Francja, Szwajcaria, Belgia i Włochy stworzyły unię walutowa zwaną Unią Łacińską, opartą zgodnie z ówczesną modą na stałym parytecie złota i srebra. Do związku dołączyła nieco później Grecja i Bułgaria, a sama Unia przetrwała aż do 1926 r. Po I wojnie światowej taki związek nie miał już racji bytu. Prócz dolara na miano waluty referencyjnej zasługiwał tylko bezpieczny szwajcarski frank.

O ile w większości krajów siła miejscowej waluty jest pochodną efektywności i konkurencyjności gospodarki, o tyle w Szwajcarii relacja jest odmienna – najcenniejszym dobrem szwajcarskiej gospodarki jest właśnie frank. Ponad 7,5 mln mieszkańców tego kraju, zatrudnionych w większości w sektorze usług, wytwarza PKB w wysokości 707 mld dolarów rocznie (dane z 2019 r.). Jednocześnie wartość depozytów zgromadzonych w bankach Zurychu, Bazylei i Genewy szacuje się jednak ostrożnie na jakieś 5-5,5 biliona franków. Sektor bankowy wytwarza dziś ok. 15-16 proc. szwajcarskiego PKB (w Polsce nie przekracza on 10 proc.). Wielkie pieniądze lubią ciszę, a szwajcarskie banki przez lata oferowały inwestorom zza granicy przysłowiową wręcz dyskrecję. Gdy w latach 70. XX wieku we Francji doszli do władzy socjaliści, w obawie przed wzrostem obciążeń podatkowych bogaci Francuzi w kilka miesięcy zdeponowali w Szwajcarii ok. 390 mld franków francuskich, czyli 10 proc. wszystkich ówczesnych oszczędności.

Legendarna stabilność franka, o której bankowcy w Polsce tak ochoczo zapewniali klientów, jest jednak w dużej mierze pieśnią przeszłości. Walutowy nawis wiszący nad niewielką jak na światowe realia gospodarką Szwajcarii sprawia, że nawet tamtejszy bank centralny nie do końca panuje nad frankiem. Dla wielkich funduszy hedgingowych, obracających setkami miliardów dolarów, rozhuśtanie kursu helweckiej waluty nie jest wielkim wyzwaniem. Polscy frankowicze doświadczyli tego boleśnie w styczniu 2015 r., kiedy szwajcarski bank centralny musiał zrezygnować z obrony minimalnego kursu franka właśnie pod naciskiem zagranicznych spekulantów. Kurs CHF w kilkanaście minut skoczył z 3,56 do 5 zł, by pod koniec dnia ustabilizować się na poziomie ok. 4,2 zł. Rzecz jasna frank nadal uchodzi za bezpieczną przystań na wypadek gospodarczych sztormów i globalny konsensus inwestorów w tym względzie sprawia, że faktycznie sprawdza się w tej roli. W świecie finansów – zwłaszcza obecnie, kiedy doskwiera mu gigantyczna nadpłynność – nic nie jest dane na zawsze. Dziś trudno uwierzyć we franka po 80 groszy. Ale 15 lat temu nikt nie wyobrażał go sobie również po 4,2 zł.

Choćby z tego powodu i bankom, i frankowiczom powinno zatem zależeć na wypracowaniu porozumienia w sprawie kredytowego impasu. Wolter pisał, że jeśli „szwajcarski bankier rzuca się z okna – skaczcie za nim bez namysłu. Na pewno są jakieś pieniądze do zarobienia".

Ale to dowodzi raczej tego, że nie ma autorytetów, które nie mogłyby się pomylić.

©℗ MAREK RABIJ

RDC POLSKIE RADIO

Czy kultura przetrwa czas pandemii? PIOTR KOSIEWSKI porozmawia o tym z Grzegorzem Chlastą (czytaj tekst na s. 85) w środę, 24 lutego o g. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Świadkowie rozpaczy

MAŁGORZATA NOCUŃ

Kiedy dochodzi do śmierci dziecka przy porodzie, kobiety szukają winnego i często odwołują się do sądu. Właśnie z powodu podobnych roszczeń młodzi adepci medycyny niechętnie wybierają specjalizację ginekologiczno-położniczą.

Powiedziałem do pacjentki: „Nie wiem, co się dzieje, ale pani dziecko umiera. Czy zgadza się pani na natychmiastowe rozwiązanie ciąży przez cięcie cesarskie?". Kobieta urodziła dziecko żywe i zdrowe, jedynie z lekkim niedotlenieniem, które szybko ustąpiło. Na pępowinie zaciskał się „węzeł prawdziwy", o życiu płodu decydowały minuty.

To wspomnienie prof. Mirosława Wielgosia, konsultanta krajowego w dziedzinie perinatologii, zasłużonego ginekologa-położnika. Tamtego wieczoru prof. Wielgoś – wówczas jeszcze młody lekarz – miał dyżur. Podszedł do pacjentki, by osłuchać tętno płodu stetoskopem położniczym, śmieszną metalową trąbką (dziś używa się urządzeń elektronicznych). Tętno było miarowe: 140 uderzeń serca na minutę. Nagle zaczęło ginąć. – W tamtych czasach, podczas dużego obłożenia na oddziale, pacjentki leżały na korytarzu. Oznaczało to mały komfort, ale dla tej kobiety okazało się zbawienne. Jej łóżko znajdowało się naprzeciw sali operacyjnej, na którą natychmiast trafiła – wspomina lekarz.

Pewnie każdy ginekolog-położnik (nawet pracujący w rejonowej przychodni) ma choć jedno podobne wspomnienie. Stan zdrowia ciężarnej pogarsza się z godziny na godzinę albo dochodzi do zagrożenia życia płodu. O życiu decydują minuty. W sytuacji niepowodzenia, roszczenia pacjentek są tak duże, jak towarzysząca im jeszcze chwilę temu nadzieja, że zostaną matkami. Między innymi z tego powodu tak popularne kiedyś położnictwo jest dziś jedną z najrzadziej wybieranych specjalizacji w medycynie. Grozi nam zapaść. W mniejszych miastach, w szpitalach położniczych jest problem z ułożeniem grafiku dyżurów – nie ma kadry.

A oprócz obawy przed roszczeniami tej pracy towarzyszy stres, który doświadczeni położnicy określają mianem „gigantycznego". Nie mija po setkach przeprowadzonych operacji i tysiącach ciężkich dyżurów. – Położnictwo jest jedyną dziedziną medycyny, w której śmiertelność może wynosić dwieście procent albo więcej – jeśli ciąża była wielopłodowa – mówi prof. Wielgoś.

Cienka czerwona linia

Prof. Mariusz Zimmer, kierownik Kliniki Ginekologii i Położnictwa Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu, prezes Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników, opowiada o kilku dramatycznych przypadkach:

– Pacjentka X. Potwierdzamy fatalną lokalizację ciąży, rozwija się w bliźnie po cięciu cesarskim – wpadła w taki „dołek golfowy" w dolnym odcinku macicy. W większości przypadków taką ciążę traktuje się jako pozamaciczną i, niestety, trzeba ją usunąć, jej rozwój grozi pęknięciem macicy i krwotokiem. Nie jest to prosta operacja: w obrębie tego fragmentu macicy biegną dwa wielkie naczynia, w których podczas ciąży krew płynie z prędkością sięgającą 700 mililitrów na minutę. Po naruszeniu takiego naczynia już w drugiej minucie pacjentka traci prawie półtora litra krwi, w trzeciej umiera.

Pacjentka Y. jest w drugiej ciąży, pierwsze dziecko zmarło, ponieważ kobiecie pękła macica w 23. tygodniu ciąży. Po operacji scalenia tego organu i zabiegach naprawczych kobieta znów oczekuje dziecka. Jest już w 28. tygodniu. Stąpamy po cienkiej czerwonej linii. Musimy idealnie określić moment rozwiązania, jak najpóźniejszy, by płód uzyskał dojrzałość pozwalającą na życie poza organizmem mamy, a jednocześnie na tyle wczesny, by wyprzedzić kolejne pęknięcie macicy.

Pacjentka Z. „łożysko przerośnięte", upraszczając: zamiast wyściełać macicę, przerosło jej jamę i, niczym nowotwór, atakuje narządy dookoła. W tym przypadku wrasta w pęcherz moczowy. Ciążę musieliśmy rozwiązać przez cięcie cesarskie, a macicę wyciąć. I znów: to bardzo trudna operacja, wykonuje się ją w asyście chirurgów naczyniowych i radiologów interwencyjnych. Może dojść do krwotoku, który stwarza bezpośrednie zagrożenie życia matki. Udało się – opowiada prof. Zimmer.

Kiedy się udaje, jest wdzięczność kobiet i ich rodzin. W sytuacjach ekstremalnie trudnych – np. poród sześcioraczków w Krakowie, poród dziecka z ciała martwej kobiety, kiedy lekarze stwierdzili śmierć jej mózgu i podtrzymywali jedynie pracę serca, by płód mógł osiągnął dojrzałość (Wrocław, Kraków) – pod szpitalami czekają kamery telewizyjne. Mówi się o cudzie i wybitnych fachowcach. Kiedy się nie udaje, a w każdej dziedzinie medycyny są niepowodzenia i nieuniknione komplikacje, sprawa często kierowana jest do sądu. Przeciętnie proces trwa sześć lat, wymaga pisania ekspertyz, powoływania biegłych. Najczęściej, kiedy dochodzi do śmierci dziecka, albo do jego ciężkiej niepełnosprawności (np. w konsekwencji porodu przedwczesnego), kobiety szukają winnego. Być może chcą poradzić sobie z własnym irracjonalnym poczuciem winy, ulżyć cierpieniu. Wybierają najgorszą z możliwych dróg.

Zostaliśmy z trąbkami

Prof. Piotr Sieroszewski, I Katedra Położnictwa i Ginekologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi: – Mówi się, że saper myli się tylko raz. Podobnie jest z nami. Pomyłka może przynieść śmierć. A żeby do pomyłki nie doszło, musimy odpowiednio wyważyć moment, w którym należy rozwiązać ciążę zagrażającą życiu matki bądź płodu. Macica jest naturalnym środowiskiem, w którym rozwija się dziecko, czasem jednak staje się miejscem wrogim i lepiej oddać noworodka pod opiekę neonatologom. I analogicznie – choć ciąża jest stanem fizjologicznym, to w skrajnych przypadkach może zagrozić życiu kobiety. Podejmowanie decyzji, kiedy należy ciążę rozwiązać, jest niekiedy ekstremalnie trudne.

Prof. Sieroszewski wymienia skojarzenia, które kulturowo wiążą się z ciążą. To: „stan błogosławiony", „bycie przy nadziei", „czas oczekiwania". Rzeczywistość niekiedy jest inna: w Polsce aż jedna

PIOTR HUKAŁO / EAST NEWS

Oddział położniczy Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Gdańsku, listopad 2020 r.

piąta ciąż to ciąże powikłane. Najczęściej przez cukrzycę ciężarnych, nadciśnienie tętnicze, stan przedrzucawkowy, niewydolność szyjki macicy. Są też sytuacje nagłe – odpływają wody płodowe albo wypada pępowina. Opiekując się pacjentką w ciąży powikłanej, lekarz – trochę jak linoskoczek – balansuje na granicy. – Najbardziej boimy się wewnątrzmacicznej śmierci płodu. Czasem ciąża trwa już ponad dwadzieścia tygodni, a płód waży zaledwie kilkaset gramów, mieści się na dłoni, dzieje się tak przez niewydolność łożyska, do płodu nie dociera w odpowiedniej ilości krew, nie jest zaopatrywany w tlen, zagraża mu śmierć.

Jeśli lekarze rozwiążą ciążę za szybko, na świecie pojawi się skrajny wcześniak, ważący kilkaset gramów, zupełnie niedojrzały, narażony na wszystkie powikłania wiążące się z wcześniactwem (utrata wzroku, słuchu, mózgowe porażenie dziecięce). Ale jeśli zaczekają zbyt długo, płód umrze w łonie matki.

Prof. Zimmer: – W takich sytuacjach ważna jest także relacja lekarz–pacjentka. Nie możemy pacjentek okłamywać, ale mówiąc im prawdę musimy zadbać, by czuły się bezpiecznie. Kobieta musi nam ufać. Nie może wyczuć naszego stresu ani zwątpienia. Musi wiedzieć, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by uratować jej dziecko.

W cieniu specjalistycznych szpitali i klinik uniwersyteckich pozostają ośrodki zdrowia (prowadzi się w nich ciążę w ramach świadczeń NFZ). M. jest położną od prawie 40 lat, pracuje w rejonowej krakowskiej przychodni. Polskie prawo mówi, że ciążę fizjologiczną może prowadzić także położna. – Kiedy zaczynałam pracę, nie było USG, specjalistycznych badań krwi, mieliśmy tę śmieszną trąbkę, którą przykładało się pacjentce do brzucha, żeby sprawdzić, czy płód żyje. Świat pognał do przodu – prywatnie albo w dobrym szpitalu można wykonać USG dające obraz 3D. A ja powiem tak ironicznie: myśmy z tymi trąbkami zostali, to znaczy mamy marne, stare USG, na którym nic nie widać, i możliwość wykonania refundowanej cytologii raz na trzy lata – mówi M.

Jeszcze gorzej jest w mniejszych ośrodkach. Pacjentki w patologicznej ciąży muszą niejednokrotnie przejechać kilkaset kilometrów, by dostać się do szpitala, który otoczy je opieką zgodną ze standardami Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników. Często są źle zdiagnozowane, niepoinformowane o ryzyku, które niesie dla nich ciąża.

Czy na pewno pomógł?

Położnicy, szczególnie pracujący w szpitalach o najwyższym stopniu referencyjności, są świadkami konfliktów tragicznych. Niekiedy każda decyzja, którą się podejmuje, jest zła (choć wydaje się, że wybiera się zło mniejsze). Ciąża jest dla organizmu kobiety dużym wysiłkiem, zwłaszcza między 28. i 34. tygodniem, kiedy serce ciężarnej musi przepompować 2-3 litry krwi więcej: jeśli dodatkowo pacjentka cierpi na choroby przewlekłe (np. układu oddechowego, nerek), ciąża zagraża jej życiu. To jedna z przesłanek do legalnej aborcji.

Prof. Wielgoś: – Niejednokrotnie spotykałem pacjentki, które były informowane, że ciąża zagraża nie tylko ich zdrowiu, ale także życiu, mimo to decydowały się ją kontynuować. Pragnęły dziecka za wszelką cenę. Bywało, że dyssymulowały. Np. kobieta z dużym nadciśnieniem płucnym mówiła, ledwie łapiąc oddech: „Ja się bar-dz-o do-brze cz-uj-ę". Umarła. Nikt z nas nie ma prawa osądzać tych wyborów. Ale musimy przekazywać rzetelną wiedzę i informować o zagrożeniach.

Lekarze są także pierwszymi świadkami rozpaczy kobiet, kiedy u płodu zostaje wykryta nieprawidłowość. Najczęściej rzecz dotyczy chcianych i wyczekanych ciąż. Pogodzenie się ze stratą (zarówno urodzenie chorego dziecka może być stratą, jak i terminacja ciąży) jest dla matki długo niemożliwe. Każda z tych decyzji zostaje z kobietą do końca życia. Jeśli pacjentka decyduje się urodzić dziecko z wadą letalną, lekarze organizują „poród hospicyjny". Patrzą na dziecko, które urodziło się, by umrzeć.

Zapytałam moich rozmówców, dlaczego wybrali położnictwo.

Prof. Zimmer: – Mój tata był chirurgiem, mój starszy brat jest chirurgiem i ja chciałem zostać chirurgiem. Okazało się, że na wymarzonej torakochirurgii nie ma wolnych miejsc, były na ginekologii. Dzisiaj oczywiście nie żałuję, bo jest to najpiękniejsza dziedzina medycyny. Patrzymy, jak rodzi się życie. Leczymy pary mające problemy z płodnością i ostatecznie pomagamy im zostać rodzicami, czasem po wielu latach starań – satysfakcja jest nieporównywalna z żadnym innym ↦

↦ sukcesem. Tak, mamy do czynienia z ciążami patologicznymi, wtenczas jest bardzo ciężko. Ale przychodzi nagroda: w święta pacjentki wysyłają mi zdjęcia dzieci, o które walczyliśmy. Za każdym razem wzruszam się tak samo.

Prof. Sieroszewski: – Mój tata był położnikiem, kiedy zaczynałem studia medyczne, byłem pewien, że nie wybiorę tej specjalizacji. Ale mijał pierwszy, drugi, trzeci rok nauki i przekonywałem się, że wszędzie jest tyle cierpienia, tyle śmierci, a położnictwo oznacza życie. Ten zawód, pomimo wszystkich trudności, jest piękny.

Pod szpitalami, w których wykonuje się legalną aborcję, regularnie pikietują działacze pro-life. Czasem na banerach mają wypisane nazwiska lekarzy kierujących oddziałem położniczym. Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego atmosfera jeszcze się zagęściła. Już pojawiły się pierwsze kontrole przeprowadzane w placówkach medycznych, można się spodziewać wzywania lekarzy na komisje, które będą orzekać, czy istniały przesłanki do wykonania zabiegu, kiedy ciąża zagrażała życiu pacjentki.

W Polsce odbywa się ok. 300-400 tysięcy porodów rocznie, prawie połowa z nich przez cięcie cesarskie, jedna na dwa tysiące ciąż może rozwinąć się w pooperacyjnej bliźnie po cięciu. Najczęściej taką ciążę trzeba usunąć. Ktoś może to podważyć. Zapytać, czy nie można było poczekać? Płód obciążony wadą genetyczną często obumiera wewnątrz macicy (organizm kobiety rozpoznaje, że jest „wadliwy" i sam go usuwa). I znów – ktoś może zapytać, czy nie doszło do udziału osób trzecich? Czy lekarz aby na pewno nie „pomógł" pacjentce?

> Lekarze mówią: „Jest nam bardzo ciężko", „Chcemy wykonywać swoją pracę, **w atmosferze zastraszania jest to jeszcze trudniejsze"**, „Czeka nas wielki kryzys w położnictwie".

To kolejny czynnik, który może sprawić, że specjalizacja położnicza będzie wybierana niechętnie. Może się także okazać, że lekarze będą zasłaniać się klauzulą sumienia, kiedy dojdzie do sytuacji, w której należy zakończyć ciążę.

Prof. Zimmer: – Naszym zadaniem jest pomoc cierpiącej kobiecie. Obliguje nas do tego kodeks etyki lekarskiej i przysięga Hipokratesa. Jako prezes PTGiP chcę podkreślić, że zasłanianie się klauzulą sumienia jest nie w porządku wobec pacjentek i innych lekarzy.

Po cichu robić swoje

Na potrzeby tego tekstu rozmawiałam z wybitnymi specjalistami w dziedzinie ginekologii i położnictwa. Niestety, kilku lekarzy (w tym, co ważne – lekarek) odmówiło udzielenia wywiadu. „I tak jest nam bardzo ciężko, proszę zrozumieć", „Chcemy wykonywać swoją pracę, w atmosferze zastraszania jest to jeszcze trudniejsze", „Czeka nas wielki kryzys w położnictwie, po cichu chcę robić swoje" – mówiły.

Polska opieka położnicza zapewnia wysoki poziom bezpieczeństwa dla ciężarnych i ich dzieci: wskaźniki umieralności matek z powodu powikłań ciąży i porodu oraz wskaźniki umieralności okołoporodowej należą do jednych z najniższych w Europie. Taki wynik zawdzięczamy wieloletniej pracy ekspertów (m.in. opracowywaniu przez PTGiP rekomendacji i standardów postępowania w ciążach wysokiego ryzyka, wprowadzeniu kalendarza obowiązkowych badań).

Historia ludzkości pokazuje, że aborcja zawsze była i zawsze będzie: wykonywano ją nawet w ZSRR, choć w 1936 roku zakazał jej Stalin. Będzie także w dzisiejszej Polsce. Ale może zabraknąć tych, którzy zechcą ratować kobiety i ich dzieci. Aby posiąść wiedzę na temat „optymalnego" czasu rozwiązania zagrożonej ciąży, przeprowadzać skomplikowaną operację ratującą życie matki, potrzebne są setki dyżurów, lata szkoleń, setki godzin spędzonych na sali operacyjnej. Czasem położnicy mówią kolokwialnie: „urodziliśmy dziecko" – to znaczy byliśmy z rodzącą pacjentką, rodziliśmy razem z nią. Jeśli kobiety (szczególnie te starsze, po 35. roku życia, z tzw. obciążonym wywiadem) będą musiały rodzić same, to wiele z nich w ogóle się na to nie zdecyduje.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu **„Tygodnik" na ucho** co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wielka Księga Nieznanej Codzienności

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

Kiedy w lesie pada śnieg, świat kurczy się i cichnie jak zamknięty w szklanej kuli.

Sunęliśmy lekko, bez wysiłku, bo świeży puch ważył tyle co nic. Nasz podwójny ślad przecinał tę białą pustkę i był pierwszy, dziewiczy. Wieczorem skrzyżują się tu czyjeś tropy, ślady, sprawy i interesy, ale tego poranka to my byliśmy jedynymi zwierzętami w zasięgu wzroku. Doniosła chwila. Tam gdzie sterczały liche źdźbła traw, nawiany śnieg układał się w drobne żeberka. Gdyby nie one, pole wyglądałoby jak idealnie rozścielone prześcieradło. Chociaż nie, nie byliśmy tu sami, za tą marną zasłoną z zeszłorocznych badyli truchtały śnieguły.

Wyglądały jak dzieci. Pozostawione na pustkowiu w puchowych kurtkach i spodniach narciarskich po starszym rodzeństwie. Ich drobne czarne nogi ledwie wystawały spod napuszonych białych brzuchów. Ciemno kreskowane grzbiety podnosiły się i opadały, kiedy śnieguły skubały jakieś drobne ziarenka. Wyglądały bezbronnie, bezradnie, ale dobrze wiedziały, co robią. Mało kto wie tyle o mrozie, lodowatym wichrze i śniegu co śnieguła z cynamonową plamką na policzku. Żaden ptak wróblowy nie żyje dalej na północy.

Życie rodzinne śnieguły toczy się na kamienistych pustkowiach tundry. Do swojej nieprzytulnej ojczyzny wraca pod koniec marca. Jej głos jest wyczekiwany, bo oznacza wiosnę. Wiosna na dalekiej północy to ciąg zaskakująco miękkich, melodyjnych świergotów. Elementy się powtarzają, ale każdy samiec komponuje z nich własną, niepodrabialną piosenkę. Żeby wiosną zaśpiewać, trzeba przeżyć, najlepiej gdzieś w ciepłych krajach. Dla śnieguły ciepłe kraje to na przykład Polska, białe, zaścielone śniegiem pole kilka kilometrów od bałtyckiego wybrzeża.

Tutaj jednak, na zasypanej miedzy nie było wiele do jedzenia. Ptaki błysnęły czarnobiałymi skrzydłami i odleciały. Podszedłem bliżej, by zobaczyć ich ślady. Śmieszne drobne łapki i delikatny odcisk brzucha. Za chwilę zawieje to wiatr i nikt się nie dowie, że śnieguły tu były.

■■■

O świcie pole jest już zapisaną tablicą, na której czytamy Wielką Księgę Nieznanej Codzienności. Historię o zwierzętach biegnących, zwierzętach kroczących, zwierzętach leżących. Bo ten okrągły ślad wielkości mojego psa, kiedy zwija się w kłębek, to sarna, która odpoczywała na skraju lasu. Kształt jest wyleżany, śnieg na brzegach jamki stopiony, ogrzany ciepłem płowego ciała, a więc spędziła tu dłuższą chwilę, może nawet całą noc? W każdym razie nic nie zakłóciło jej spokoju, bo kiedy wstała, ruszyła spokojnie przed siebie.

Nie mogła wiedzieć, że ten wąwóz to stara droga do młyna, a płytszy w tym miejscu śnieg to zasługa osłaniających ją drzew. Posadzili je ludzie, ale nawet oni o tym nie pamiętają. Sarna szła powoli, ślady były wyraźne i miarowe, jak po sznurku. Wyraźnie miała jakieś sprawy tam dalej, na osuszonym torfowisku. Wielka Księga Nieznanej Codzienności to również historia wahań i decyzji. Co kilkaset metrów robiła parę kroków w bok. W tych miejscach sarnie kopytka odciskają się prostopadle do kierunku, w którym podąża. Przystawała, oglądała się i nasłuchiwała? Tego już w księdze nie doczytamy, możemy sobie tylko wyobrazić te wielkie, czarne oczy wbite nieruchomo w przestrzeń i nastawione uszy, czujnie rejestrujące każdy szelest. Kiedy jest się zwierzyną, lepiej się mieć na baczności.

Zwierzęta niechętnie wychodzą na otwartą przestrzeń, czarne sylwetki są widoczne z daleka. Choćby ten zając, który kicał miedzą. Zupełnie jakby się niepokoił, czy z ambony pola nie omiata myśliwskie oko, jakby się bał, czy na kolanach nie spoczywa sztucer uzbrojony w lunetkę. Mnie też widać z daleka, dlatego pozostaje mi wypatrywanie tropów. O proszę, z mojego wczorajszego, ubitego śladu skorzystał lis. Po co się męczyć i przecierać nową ścieżkę. Lis skorzystał podwójnie – poszedł w swoich lisich sprawach i wrócił. Po drodze przystawał i kopał zawzięcie, tam gdzie latem rósł pastewny groszek. Co sprawiło, że dokopał się aż do gołej ziemi?

Lis usłyszał głosy z innego świata. Subnivium to tętniące życiem królestwo ↦

GRZEGORZ KOZAKIEWICZ / FORUM

pod powierzchnią śniegu, zaledwie kilkanaście centymetrów pod ślizgami moich nart. Kiedy zaczyna sypać, spadające płatki opierają się na trawach, badylach, gałęziach i łączą się w większe struktury. Pod spodem powstają poduszki, czy może raczej kieszonki powietrzne. Kiedy pokrywa dochodzi do kilkunastu centymetrów, cieplejsze powietrze z powierzchni ziemi ogrzewa śnieg od dołu. Para wodna próbuje przedostać się do góry, ale górne warstwy śniegu są chłodniejsze, bo ochładzane przez panujący na zewnątrz mróz. Powstaje twarde, skorupiaste sklepienie, które bez trudu utrzymuje grubą pokrywę nad sobą.

Niezależnie od tego, co się dzieje na powierzchni, w subnivium temperatura nie spada poniżej zera stopni. W jaskiniach pod śniegiem żyją drobne ssaki, aktywność zachowują bezkręgowce, nikłe słoneczne światło pozwala też na rozwój niektórych roślin. To pewnie odgłosy wędrujących lodowymi korytarzami gryzoni usłyszał lis. Może pożywiały się pozostawionymi na polu nasionami groszku? W nocy znowu sypało. Zasypało tropy moje, tropy sarny, lisa i zająca. Kolejny dzień zaczynał się czystą kartą w Wielkiej Księdze.

■■■

Kiedy w lesie pada śnieg, świat kurczy się i cichnie jak zamknięty w szklanej kuli. Skrzypi tylko w zardzewiałych liściach młodych buków. „Tsi, tsi, tsi" – dołącza słabiutkie nawoływanie. Nad moją głową skaczą dwa mysikróliki, najmniejsze ze wszystkich polskich ptaków. Ważą zaledwie sześć gramów, tyle co łyżeczka cukru. Zimowe ptaki są bardziej zaokrąglone, nie dlatego, że im się powodzi, ale dlatego, że się puszą. Napuszone przestrzenie między piórami wypełniają się powietrzem i działają jak izolacja. Jak puchowa kurtka.

Im mniejsze ciało, tym szybciej się wychładza; jak się jest mysikrólikiem, samo puszenie nie wystarczy. Żeby podtrzymać normalną temperaturę czterdziestu kilku stopni Celsjusza, trzeba jeść, i to dużo. Zimą mysikróliki zjadają codziennie tyle, ile same ważą, a w szczególnie mroźne dni nawet dwa lub trzy razy więcej. Muszą wypełnić swój maleńki żołądek zimującymi owadami, ich larwami, poczwarkami, drobnymi, schowanymi w załamaniach kory pająkami. Poszukiwanie jedzenia pochłania całą ich dzienną aktywność. Jedzą od świtu do zmierzchu, bo w walce o przetrwanie liczy się każda chwila. Największym sprawdzianem jest noc, kiedy temperatura spada. Mysikróliki, podobnie jak inne drobne ptaki, raniuszki czy pełzacze, nocują wtedy w grupach, ciasno do siebie przytulone, ogrzewając się ciepłem swoich ciał.

Zapada zmierzch, ale ciągle stoję tu zagapiony. Nie do wiary, że to ten sam las. W listopadzie fosforyzowały tu wściekle mchy, srebrzyły się porosty, a w pordzewiałych dywanach pyszniły się grzyby w niemożliwych kolorach ametystu i grynszpanu. W lutym zostały już tylko biel i czerń, a horyzont kończy się na odległych o parę kroków słupach buków, które podpierają niebo. Kiedy wdrapuję się po ścianie wąwozu, wychyla mnie do tyłu i setny raz tego dnia padam na plecy. Świat stanął do góry nogami, a może ktoś obrócił tę szklaną kulę i wierzchołki buków zakorzeniły się w nisko zawieszonych chmurach.

© STANISŁAW ŁUBIEŃSKI

DOROTA

Masłowska:
Dubaj Północy

Jak już tu wróciłam, to wydawało mi się, że jestem w Dubaju. Oczywiście tylko takim Dubaju, na jaki sobie zasłużyłam; Dubaju Północy; odpowiednio ciemnym, niskim, mroźnym i nie aż tak zamożnym, ociekającym raczej błotem niż złotem, choć niewątpliwie ociekającym; jest to zawsze jakiś przepych. Bez dziewczyn, bez basenów i penthouse'ów, choć tak, uderzyła mnie obfitość; świateł, reklam, aut, sopli na dachach i sopliczek u podnóży budynków. Po dwóch tygodniach spędzonych na wsi to zabiegające o moją uwagę powszechne migotanie, świecenie, pulsowanie przyprawiło mnie o lekkie lęki. Czułam się jak Pi i Sigma, gdy ich modelinowy model statku w końcu ląduje na Marszałkowskiej, w świecie wielu zbiorów. I nie chodzi mi tylko o puchową megakurtkę, którą miałam na sobie, a która wymusza charakterystyczny krok baunsująco-toczący i na pewno potęguje wyobcowanie; wygłusza i wytłumia.

A tłum był akurat całkiem spory; przynajmniej na moje obecne warunki. Było, jakbym szła w wielkim, milczącym marszu, tylko takim rozkojarzonym, którego uczestnicy manifestują w wielu różnych kierunkach, nierzadko przeciwnych, wykluczających się, w dodatku jakby przypadkiem, biernie, w półkomie, scrollując ekrany telefonów. Uderzyło mnie, że wszyscy funkcjonują tutaj tak fizycznie blisko, włażą sobie na łeb, ładują się na czołowe, w ostatniej chwili unikając kolizji; tłoczą się i zachodzą od tyłu w niemym porozumieniu, czy może nieporozumieniu, ale doskonale dla siebie przezroczyści. W niespisanej umowie: jest nas tu za dużo – niepotrzebną udręką byłoby się jeszcze widzieć. To chyba jakaś nieświadoma ekonomia recepcji. Im większe miasto, tym większa niewidzialność: dlatego wariaci wielkich metropolii muszą walczyć ze sobą na outfity, kostiumy i atrybuty wariactwa, by niemalże siłą przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę. Tej zaś każdy ma tu za mało, każdy sępi, ściubi, próbuje związać jakoś koniec z końcem, byle do końca miesiąca. Tysiące twarzy i setki miraży; dziesiątki neonów, ekranów, plakatów, wlepek – naciągaczy, drobnych złodziei, kieszonkowców uwagi. Tuż obok centra handlowe – to już wręcz kasyna uwagi, Las Vegas, w których możesz puścić ją do ostatniego grosza, pójść z torbami. Uwaga w wielkim mieście to cenny zasób; nikt nią nie szasta, przezornie wlepiając oczy w smartfon, a uszy zatykając słuchawkami. To gest taki jak dłoń trzymana na wszelki wypadek na zapięciu torebki w tramwaju.

Na wsi jest inaczej. Ludzi jest niewielu, dlatego wzajemne spojrzenia są powłóczyste, uważne, dogłębne. Nie płoszą się łatwo; oczy obsiadają cię bez ceregieli, niespieszne, wyemancypowane, rentgeniczne. Wezmą sobie, co będą chciały. Wwiercą się w buty, zaczną się wspinać po spodniach, potem znów cofną się do butów, leniwie omiotą całą sylwetkę, przerzucą się na twarz. Przeliczą cię od stóp do głów i zamkną w kasie pod powiekami, nie wydając reszty. Kiedy więc znajoma dała mi przed wyjazdem NRD-owski kombinezon narciarski w pioruny, uśmiechnęłam się, ale kątem mózgu już antycypowałam emocje, jakie wzbudzę. Przewracająca się kobieta w za dużym kombinezonie koloru oczka wodnego to może być coś, na co gapić się będą nawet zwierzęta w lasach; echem będzie się niósł ich szczery śmiech.

A jednak było zupełnie cicho. W nadprzyrodzonej ciszy sarny wybiegały do nas z lasu przejęte, napięte, skupione; omiatały moje stylizacje nerwowymi spojrzeniami spod czarnych, umalowanych mocno rzęs, i w milczeniu czmychały, wysoko wybijając się z głębokiego śniegu. Lisy i inne osoby nieludzkie też siedziały cicho, a ich obecność objawiała się zaledwie w śladach kopytek, łapek, stópek i sików na wytyczanych przez nas mozolnie ścieżkach. Może, przemieszczając się nimi, scrollowały ekrany i słuchały podcastów, w ogóle nie interesując się kombinezonami rozbijających się na biegówkach ludzi. Zresztą, ścieżki te momentalnie zasypywał śnieg. Każdego ranka atakowaliśmy bezkres pobliskich pól od nowa, a on ciągle odrastał. Nie dało się go zużyć, nie dało się go nawet napocząć. Dałabym wiele, żeby zrobili Lenor o zapachu tych dni, zimna, śniegu, słońca i bezmiaru. Jednak nie wiem, czy podobałby się szerokiej publiczności. Może za bardzo przypominałby nieskończoność. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 454/19 postępowanie z wniosku Wspólnoty Mieszkaniowej nr 12 w Jarocinie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Pawłowskiej, zm. 3 grudnia 2009 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo własności lokalu mieszkalnego położonego w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 526/20/S z wniosku Angeli Mary Breuer o stwierdzenie nabycia spadku po:

– Ernie (Ernestynie) Lefkowitz (Lefkovic, Lefkovic, Lefkovits), z domu Zollmann, córce Samuela i Fanny, ur. 5 lutego 1891 r. w Osielcu, zm. 1 stycznia 1947 r. w Sobiborze,
– Zoltanie Lett, synu Erny i Salomona, ur. 24 listopada 1916 r. w Budapeszcie (Węgry), zm. 15 listopada 2014 r. w Bexhill on Sea (Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej).

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców zmarłych, aby w ciągu 3 miesięcy od zamieszczenia niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, albowiem w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OPINIE

NAJWAŻNIEJSZE PYTANIE ŚWIATA

DARIUSZ ROSIAK, DZIENNIKARZ:

Kultura unieważniania jest tak pozbawiona sensu, wyłączona z myślenia przyczynowo-skutkowego i poddana ideologii – że trzeba protestować.

ZDJĘCIA MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

MARCIN ŻYŁA: Zacznijmy od prasówki. 16 lutego, wtorek.

DARIUSZ ROSIAK: Al-Jazeera ma na głównej stronie zamach na amerykańską bazę w irackim Kurdystanie. No, to jest bardzo ciekawe. Zabity żołnierz, ranni, do ataku przyznała się jakaś nieznana grupa szyicka, „Strażnicy Krwi". BBC zaczyna od Mjanmy, czyli dawnej Birmy. Rozwija się tam sytuacja po zamachu stanu. Jest dużo o nowej szefowej Światowej Organizacji Handlu, pierwszej kobiecie i pierwszej Afrykance na tym stanowisku. I oczywiście szczepionka. W Izraelu preparat Pfizer/BioNTech notuje taką samą skuteczność jak podczas testów.

Dzień jak co dzień?

To tylko depesze. Relacjonują świat w specyficzny sposób. Dzieje się, gdy dzieje się źle. Tak naprawdę staram się czytać powieści. One opowiadają o kondycji ludzkiej. Właśnie kupiłem kilka książek Faulknera. Czytałem go na studiach i chciałem zobaczyć, jak mi teraz wejdzie. Non stop wracam do Rotha, McEwana, Chandlera.

Jeśli chcesz przeczytać genialną książkę o Ameryce Trumpa, polecam „Homeland Elegies" Ayada Akhtara. O Wielkiej Brytanii od czasów thatcherowskich – „Shuggie Bain" Douglasa Stuarta. Nowe, mocne rzeczy. Tylko to w ogóle nie jest o polityce, a o ludziach.

Angielski i Anglia. To z tego się wyłoniłeś?

W szkole miałem jedną pasję – język angielski. Nie uczyłem się niczego innego, no, grałem jeszcze w piłkę. To była obsesja, w wakacje przerabiałem całe podręczniki. Ja w ogóle lubię się uczyć. Zygmunt Bauman pisał do końca życia po to, żeby trwać, pisanie było mu potrzebne jak tlen. Dla mnie czymś takim jest uczenie się. Chcę się dowiadywać nowych rzeczy.

A angielski pokochałem za to, że pięknie brzmi, jest elastyczny, ma tysiące odmian i ciągle się zmienia. I za to, że napisano w nim najpiękniejsze rzeczy, których ciągle nie rozumiem. Wciąż uważam, że Wielka Brytania to najbardziej egzotyczny kraj w Europie, jeśli nie na świecie.

Ale wtedy była odległa i niedostępna. Prowadziły Cię tam książki.

I muzyka. Kiedy w 1979 r. Piotr Kaczkowski puszczał „Ścianę" Pink Floyd, siadałem przy odbiorniku i zasłaniałem okna. To było jak nabożeństwo. Nawet w kościele tak się nie czułem. A potem, jako student anglistyki, wyjechałem do Londynu.

Zobacz, to jest bilet na Boba Dylana. Earl's Court, 26 czerwca 1981 r. Wziąłem z Polski 150 dolarów, bilet na koncert kosztował pewnie równowartość 20, może 30 dolarów. Kupiłem, bo jak mogłem nie kupić? Jak mogłem nie pójść na trzy mecze ligi angielskiej? Wszystko mnie tam fascynowało.

I potem wróciłeś do Anglii na dłużej.

Najpierw, na wizie turystycznej, wyjechałem do Paryża. Zapisałem się na studia, zarabiałem malując ściany i roznosząc ulotki, w końcu dostałem pracę w Radio France Internationale. Poznałem paryskie przedmieścia, które wydały mi się miejscami nie do życia. Wyjechałem z Polski komunistycznej, nieprawdopodobnie ponurej, a potem lądowałem w Argenteuil czy Saint-Denis i myślałem: „Boże, oni też coś takiego mają?".

Kiedyś kolega, który wcześniej wyjechał do Anglii, zadzwonił, że w BBC szukają ludzi. Zgłosiłem się i mnie przyjęli. I tyle, cała historia. Wiem, wydaje się, że to wielka rzecz – pracować w RFI czy BBC – ale mnie to się wydarzało jakby przypadkiem. Chciałem zostać reżyserem.

Reżyserem?

Zdawałem do Fémis, słynnej szkoły filmowej w Paryżu. To zabrzmi, jakbym się chwalił, ale naprawdę byłem pierwszy pod kreską. Przyjmowali 8 osób, byłem dziewiąty, zabrakło ↦

DARIUSZ ROSIAK (ur. 1962) jest dziennikarzem, twórcą i prowadzącym „Raport o stanie świata" – najpopularniejszy polski podkast o wydarzeniach zagranicznych (do stycznia 2020 r. audycja radiowej „Trójki"). Autor książek – reportaży i biografii (m.in. „Bauman", 2019). Za „Ziarno i krew. Podróż śladami bliskowschodnich chrześcijan" (2015) otrzymał Nagrodę im. Beaty Pawlak i nominację do Nike. Dziennikarz Roku 2020 w konkursie Grand Press. Pracował m.in. w Sekcji Polskiej BBC i „Rzeczpospolitej". Stale współpracuje z „TP".

↦ półtora punktu. Myślałem, że się rzucę do Sekwany. Najgorszy moment mojego życia.

Mało, a nie byłoby dziennikarza.

Myślę, że to nie przypadek, że nie zostałem reżyserem. Bycie reżyserem, podobnie jak zawodowym sportowcem, wymaga niezwykłej determinacji i dyscypliny, tylko tego musisz chcieć w życiu. A ja jestem rozbiegany, lubię skakać z miejsca na miejsce, tu popiszę, tam coś porobię. Lepiej mi być dziennikarzem.

Tadeusz Jagodziński, wspaniały reporter i Twój kolega z BBC, opowiadał mi, że w Bush House, gdzie pracowaliście, było dormitorium, w którym podczas nocnych dyżurów można było się przespać. Mnie skojarzyło się to z bazą wojskową. Łatwiej w takim miejscu uwierzyć, że jako dziennikarz masz misję?

Wiesz, całe moje myślenie o mediach ukształtowało się w Wielkiej Brytanii. Chodzi nie tylko o BBC. Potrafiłem spędzać niedziele tak, że kupowałem „Observera", „Independenta" i „Telegrapha" – każda z tych gazet miała po sto stron – i cały dzień czytałem. To wtedy odkryłem, że można pisać o polityce, opowiadając o ludziach.

Na przykład?

W 1992 r. w Wielkiej Brytanii trwał kryzys walutowy, zdewaluowano funta. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Dzięki gazetom zaczynałem rozumieć. Nie tłumaczyły zawiłości rynków, tylko przedstawiały historie ludzi. Wiem, że to brzmi banalnie, ale mnie się kiedyś wydawało, że koniecznie trzeba mieć jakieś poglądy na wszystko. A jako dziennikarz tak naprawdę powinieneś przyglądać się ludziom. Wszystko jedno, czy są politykami, finansistami czy pisarzami. Przyglądać się – i o nich pisać. Przynajmniej takie dziennikarstwo ma sens.

U Conrada znalazłem definicję sztuki, która dotyczy każdego uważnego patrzenia i przetwarzania świata: „Samą sztukę można określić jako rzetelną próbę oddania najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobycie na światło dzienne wielorakiej i jedynej prawdy, kryjącej się w każdym jego aspekcie. Jest to próba odnalezienia w jego formach, barwach, światłach i cieniach, w postaci materii i faktach życiowych tego, co podstawowe, trwałe i zasadnicze, ich jedynej oświecającej i przekonującej cechy – samej prawdy ich istnienia".

Ładne, nie? To radykalna propozycja. Conrad pisze, że prawda istnieje.

I że wystarcza opis. Opisujesz, a zrozumienie zostawiasz innym.

No tak, ponieważ zadaniem dziennikarza – albo po prostu każdego, kto coś poznaje – jest brnięcie tak głęboko, jak się da, dotarcie jak najbliżej tego, co jest jedyną, oświecającą wszystko prawdą. A nie mówienie, że ktoś ma rację albo nie. Bo takie sądy są nieistotne.

Ten cytat pochodzi zresztą z książki, która nie powinna zostać już dziś wydana, bo nosi tytuł „Murzyn z załogi »Narcyza«". Słyszałeś o historii korespondenta naukowego „New York Timesa", Donalda McNeila Jr.? Zwolniono go za to, że prowadząc wykład o rasizmie, użył słowa „nigger" jako przykładu obrazy czarnoskórych. Za użycie słowa w przykładzie.

Mam kłopot z takimi wiadomościami. W „Tygodniku" przez kilka lat przygotowywałem skróty wiadomości religijnych. Korzystałem m.in. z serwisów KAI, agencji kontrolowanej przez episkopat, która codziennie wypuszczała depesze z tendencyjnie dobranymi newsami, np. w karykaturalny sposób pokazującymi laicyzację na Zachodzie. Boję się, że takie historie jak ta z „New York Timesa" są potem używane do wyśmiewania wrażliwości wobec potrzeb innych.

Jasne, że nie należy wyciągać rzeczy z kontekstu. Natomiast *cancel culture*, kultura unieważniania, przecież istnieje. I w takich krajach jak Stany Zjednoczone nie jest już na marginesie. Uważam, że powoduje ogromne szkody intelektualne i moralne. To jest tak pozbawione sensu, tak kompletnie wyłączone z myślenia przyczynowo-skutkowego, i tak poddane presji ideologicznej, że nie wolno się z tym godzić. Trzeba protestować.

Co powiedziawszy przyznaj, że mówienie o kimś „Murzyn" jest złe.

Jasne. Nie mówię tak, bo wiele razy słyszałem, że to rani. Nic mnie nie kosztuje, żeby mówić „czarny" albo „Afroamerykanin".

Pisałeś, że wojna kulturowa bywa efektem działania specyficznego marketingu. Że są momenty, kiedy tożsamość jest nam sprzedawana bądź oferowana tak jak pepsi czy coca-cola. A za tym idą: hejt, kategorie moralne, przyćmienie racjonalnych sądów.

Zmagamy się dzisiaj z dwoma presjami – polityki i komercji. Np. jeśli jesteś dziennikarzem, możesz opowiedzieć się po jednej ze stron, albo nie. To działa w wielu krajach, nie tylko na Węgrzech Orbána. Większość przyłącza się do jakiejś strony, bo to prostsze.

Niedawno zapytałem znajomego, po co zaczął się zajmować polityką. Odpowiedział: „Jak wejdziesz do jednej grupy, przynajmniej od tej jednej masz spokój. Jeśli nie wejdziesz do żadnej, nie zaznasz spokoju z obu stron". To prawda. Teraz w debacie nie chodzi o to, żeby się wymienić swoimi obrazami świata, przekonywać do swoich racji, tylko o to, żeby kogoś zniszczyć, zdołować, a najlepiej upokorzyć. Wykazać, że jestem lepszy.

A sfera komercji?

Dziś właściwie jedynym wyznacznikiem wartości i punktem odniesienia jestem ja i moje emocje. Te emocje są towarem. Żyjemy w przekonaniu, że każde zdanie jest równie istotne, każde ma sens i jest potrzebne. Sprzedawcy różnych rzeczy nas w tym utwierdzają. A nie każdy pogląd jest ważny, nie każdy wyraz emocji niezbędny.

Nie?

Mam bardzo ograniczoną liczbę poglądów. I nie uważam, że powinienem mieć pogląd na wszystko, bo na większości rzeczy się nie znam. Np. nie mam pojęcia, jak powinien wyglądać system podatkowy. A tymczasem wokół wszyscy wie-

dzą, która szczepionka jest najlepsza, albo jak pilotować samoloty, żeby nie spadały. Mało tego: jest to uznawane za normalne. Opinie są odłączone od faktów i wygląda na to, że niewielu ludziom to przeszkadza.

To dlatego tak teraz trafiłeś z „Raportem o stanie świata"? W ciągu kilku miesięcy stworzyłeś najważniejszą w kraju audycję z wiadomościami i komentarzami o zagranicy. Co sobotę, przez dwie godziny, słucha jej 80 tysięcy Polaków.

Myślę, że ludzie chcieli dobrych, poważnych i podanych atrakcyjnie treści o świecie. Do tego dołożyło się oczywiście – wbrew mojej woli, bo nie uważam się za męczennika PiS-u ani kogokolwiek innego – to, że zwolniono mnie z „Trójki". Wiele osób chciało mnie wesprzeć. Wykładają własną kasę na to, żebym mógł pracować. To bardzo czytelna weryfikacja.

A czym się różni od modelu merkantylnego, w którym dostajesz pieniądze od reklamodawców?

Media trzeba oceniać za to, co dają, a nie za to, w jaki sposób na siebie zarabiają. Nie mam problemu z tym, że utrzymują się z reklam. Oczywiście, jeśli w ciągu godziny lecą trzy wejścia reklamowe po osiem minut, a tak w którymś momencie zrobiło się w „Trójce", robi się to nie do słuchania.

Tylko że to jest trochę inny temat. Mnie chodzi o to, że władzę w wielu redakcjach sprawują szefowie marketingu i reklamy. Dostaję listy od różnych firm, w których piszą, że chcieliby wprowadzić jakieś treści promocyjne do „Raportu", i pytają, ile to kosztuje. Nie czy to jest możliwie, tylko ile mają zapłacić. A dlaczego? Bo najczęściej to tak działa: firma zamawia w dziale marketingu gazety: „Chcielibyśmy opublikować artykuł na temat tego produktu, tylko wolelibyśmy, żeby to nie była reklama". Płacą i dostają, co chcą.

Poparłeś jednak ostatni protest mediów.

Dlatego, że w tym, co proponował rząd, nie chodziło o opodatkowanie mediów – one są już opodatkowane. Ani o opodatkowanie gigantów internetowych – bo to jest trudne, bardzo potrzebne zadanie, które należy przeprowadzić, ale nie w taki sposób. Chodziło o atak na media nieprzychylne władzy. Uważam, że to nie rząd powinien decydować o tym, które media działają, a które padają.

Jeśli ktoś chce robić prawicowe media, niech robi prawicowe. Jak ktoś chce robić lewicowe, niech robi lewicowe. Musimy jednak móc opowiadać o świecie bez nacisków, które

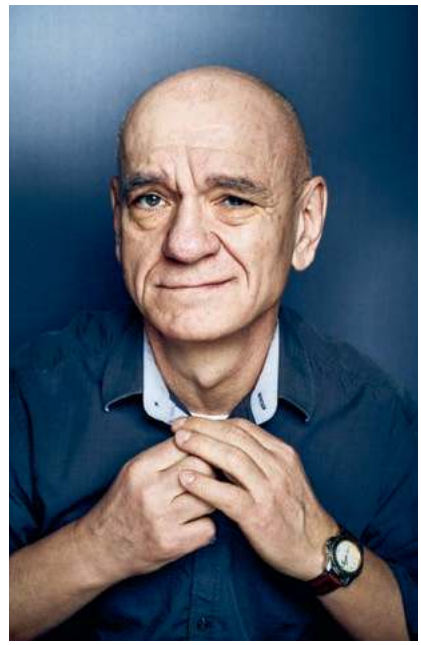

Jest takie proste pytanie: „dlaczego?". Zadają je bez przerwy dzieciaki, co doprowadza rodziców do szału. Ale to jest najważniejsze pytanie świata i stoi w centrum mojego życia.

ten obraz kompletnie rujnują, deformują. Mnie się to chyba udaje, ale jestem, jak to się mówi po angielsku: *outlier*. Kimś z boku, poza systemem.

A co to za system? Kiedy powstał?

W sensie szerszym niż same media w latach 90., kiedy kształtował się świat reaganowsko-thatcherowski, czyli neoliberalizm. To wtedy zaczęły się kruszyć więzi społeczne, i to w tempie, które dla wielu było trudne do ogarnięcia.

Brytyjski kryzys walutowy, o którym mówiłem wcześniej, powodował, że na początku lat 90. ludzie tracili 300 tys. mieszkań rocznie. Ich ceny dramatycznie spadły po to, żeby po kilku latach znów poszybować w górę. Kto wtedy kupił mieszkanie, do dziś jest milionerem. Był to czas eksplozji skrajnego indywidualizmu, postawy, która rodziła się pod koniec lat 60. jako ideologia „dzieci kwiatów". Reagan i Thatcher oparli na niej swoją politykę.

Nam w Polsce ta ideologia kojarzy się z wolnością – i słusznie – ale na Zachodzie, zwłaszcza w świecie anglosaskim, eksplozji wolności towarzyszyło burzenie pewnej umowy społecznej, w której istniała szeroka sfera dobra wspólnego. Kolejne kryzysy, zwłaszcza z 2008 i 2015 roku, ustawiły myślenie o świecie wielu ludzi. Na początku wieku w związku z rozwojem globalizacji rozpoczął się też proces ubożenia klasy średniej na Zachodzie, co ostatecznie doprowadziło do wyboru Trumpa, brexitu, nastrojów populistycznych w Europie. Skończył się czas, kiedy każde kolejne pokolenie miało lepiej. Teraz młodzi ludzie nie mają żadnej pewności jutra, a ubożejąca klasa średnia oznacza upadek demokracji liberalnej. Bo ten ustrój opiera się na większości akceptującej status quo, który gwarantuje jej rozwój.

To, co nazywasz wojną kulturową, zaczęło się w tym samym czasie?

Tak mi się wydaje. Odchodzimy od rozumienia demokracji jako rządów większości z poszanowaniem praw mniejszości, a wchodzimy w świat, w którym każda grupa społeczna negocjuje, jaką porcję władzy uda się jej wyrwać dla siebie. Przestrzeń dobra wspólnego kurczy się, myślenie w kategoriach wspólnotowych przestaje mieć znaczenie. Ważne jest to, co zdobędziemy dla siebie, co zdobędą katolicy, a co niewierzący, co zdobędą kobiety, a co mężczyźni, co zdobędą geje, a co transseksualiści, czarni muzułmanie, biali heteroseksualiści itd. Na tym zresztą polega polityka oparta na tożsamości – ona redukuje człowieka do jednego wymiaru, a jego aspiracje do zdobywania władzy.

Liczy się to, co ja chcę. „Moja mojszość" jest najlepsza. Marek Koterski w „Dniu świra" robił sobie z tego jaja, ale my już ↦

↦ żyjemy właśnie w tym świecie – nie tylko w Polsce. I jeżeli nie uda się odbudować myślenia wspólnotowego, będzie to klęska demokracji. Nie bardzo widzę siły, które dążą do takiej odbudowy.

A protesty kobiet, upominanie się o prawa mniejszości?

Tylko popatrz: ta siła – 500 tysięcy ludzi na ulicach, najwięcej od 1989 roku – została zmarnowana. A dlaczego? Bo nie przyjęto do wiadomości, że żyjemy w kraju, w którym nie da się zrobić rewolucji pod hasłem „Aborcja na życzenie" – po prostu mieszkają w nim ludzie, którzy nie akceptują takiej propozycji i jest ich prawdopodobnie większość. Można próbować realizować ten postulat, ale wtedy już nie z pół milionem ludzi.

Jeżeli nie będziemy umieli myśleć w kategoriach dobra, które wykracza poza „moją mojszość", to procesy, które nas tak rujnują, będą trwały. I nic się nie zmieni, gdy PiS przegra wybory.

Chcesz powiedzieć, że to, gdzie i wśród kogo żyjemy, jest ważniejsze od tego, jacy jesteśmy bądź chcemy być?

Gdybyśmy przyjęli, że rzeczywistość jest niezmienialna, nie byłoby żadnego postępu społecznego. Jasne, warto protestować przeciwko złu i niesprawiedliwości. Ale jeśli uprawiasz demokratyczną politykę, musisz zaakceptować, że ograniczają cię poglądy większości.

Oczywiście, możesz przyjąć, że „aborcja na życzenie" jest prawem człowieka, takim jak prawo do życia albo do sprawiedliwego procesu sądowego. Że bez względu na to, co uważa większość Polaków, trzeba tego prawa bronić. W sensie wyrażania poglądów wszystko można.

A co jest dalej?

Dalej zaczyna się polityka, czyli sfera tego, co możliwe do zrobienia. Tutaj trzeba już uważnie obserwować rzeczywistość, oddzielać to, co jest, od tego, co chcemy widzieć.

Znów poproszę o przykład.

Wracam do oddzielenia faktów od opinii. Dla milionów Amerykanów Donald Trump nie przegrał wyborów, bo zostały sfałszowane. Dla tych, którym nie zależy na leczeniu podziałów w Stanach Zjednoczonych, twarda, policzalna rzeczywistość nie ma znaczenia.

Oczywiście ja, jako dziennikarz, muszę założyć za Conradem, że istnieje coś takiego jak prawda o rzeczywistości. I że można o niej opowiedzieć. Dążę do tego przy pomocy wszystkich możliwych środków. Bez skrzywienia ideowego, partyjnego czy religijnego. Nie ma innych kryteriów poza staraniem przedstawienia świata, jakim jest.

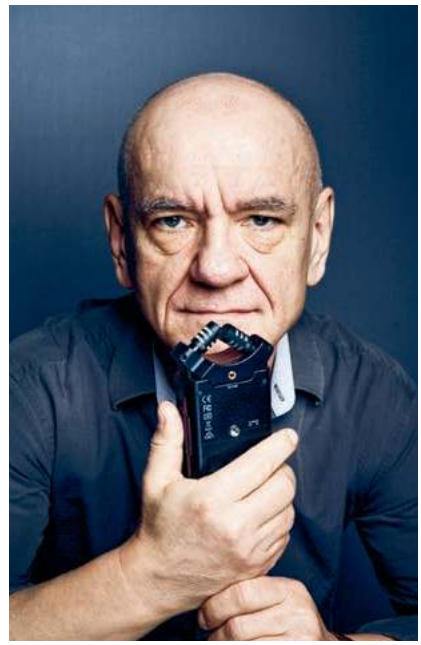

Jako dziennikarz muszę założyć za Conradem, że istnieje coś takiego jak prawda o rzeczywistości. I że można o niej opowiedzieć.

No ale przecież też masz poglądy.

Oczywiście, że mam. Biorę udział w wyborach, mam zdanie na wiele tematów, choć publicznie wygłaszam je oszczędnie, głównie dlatego, że na większości rzeczy się nie znam. Twardych poglądów mam zresztą niewiele i one się zmieniają. Myślę, że gdybyś mnie teraz spytał, co sądzę o małżeństwach jednopłciowych, to bym pewnie powiedział, że nie widzę w nich zasadniczego zagrożenia dla kogokolwiek. Dawniej myślałem inaczej.

Natomiast czym innym jest pytanie, czy lepszy będzie świat, w którym np. dziecko w wieku 15 lat będzie decydowało o swojej płci? Ten, w którym będziemy musieli zaakceptować, że dobre samopoczucie jednej osoby wymaga tego, by cała reszta przystosowała się do jej oczekiwań, bo ta osoba uważa, że tego właśnie wymaga poszanowanie jej praw. Tutaj mam inne zdanie.

Ale tak w ogóle to sądzę, że żyjemy w najlepszym z możliwych światów i nigdy w życiu ludziom nie było tak dobrze jak teraz. W każdej policzalnej sferze osiągnęliśmy postęp nieznany poprzednim pokoleniom. To, że postęp społeczny nie pociąga za sobą wzrostu indywidualnego szczęścia, to odrębna rzecz. Więc staram się na informacje patrzeć przez pryzmat tego, co wiem o innych rzeczach. Ogarniać zjawiska, które się dzieją na świecie, które się dzieją za naszego życia i próbować je jakoś opisać. Mnóstwa rzeczy nie rozumiem, ale zadanie reportera nie zawsze polega na dogłębnym rozumieniu, czasem wystarczy zauważyć, dostrzec, opisać tak, żeby było wiadomo, że one są.

A Ciebie – żeby nie było w tym w ogóle?

Wiadomo, że to jest przetworzone przeze mnie. Tylko liczy się podejście startowe. Albo wychodzisz z tego założenia, o którym wcześniej mówiliśmy, że w centrum stoję ja, moje opinie, moje przeżycia – i one są najważniejsze na świecie, albo w centrum stoi świat, opowieść o drugim człowieku, to, co się dzieje na zewnątrz ciebie.

Jest takie proste pytanie: „dlaczego?". Zadają je bez przerwy dzieciaki, co doprowadza rodziców do szału. Ale to jest najważniejsze pytanie świata. Ono stoi w centrum mojego życia, choć uważam się za średnio interesującego człowieka, nie mam o sobie za dużo do powiedzenia, nie bardzo też mam na to ochotę. Może bym nawet chciał opisywać różne rzeczy, które dzieją się w moim umyśle, które u innych eksplorują fantastycznymi historiami – ale nie bardzo potrafię. ©℗

Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 09/2021

Europa się szczepi

WIM DANEELS / BEL / DDP IMAGES / FORUM

Palety ze szczepionkami przeznaczonymi dla krajów Unii Europejskiej. Fabryka firmy Pfizer w Puurs w Belgii, 24 grudnia 2020 r.

Europejska gra o jutro

MAŁGORZATA SOLECKA

Zjednoczeni jak nigdy, bezradni jak zawsze. Aż dziw, że podczas dwóch debat nad unijną strategią szczepień przeciw COVID-19, w styczniu i lutym, żaden z europosłów nie użył tego bon motu.

Choć nie do końca oddaje rzeczywistość, dość dobrze opisuje nastroje panujące na szczytach Unii Europejskiej: frustrację, zniecierpliwienie i złość.

Izrael – 48 proc. Wielka Brytania – 23,5 proc. Stany Zjednoczone – 12 proc. Unia Europejska – 3,33 proc. Świat – 1,26 proc. W tym ostatnim przypadku liczone są również kraje, do których żaden transport szczepionek nie tylko jeszcze nie dotarł, ale nie dotrze w dającej się przewidzieć przyszłości (tych krajów jest zresztą większość, o czym Światowa Organizacja Zdrowia bez przerwy przypomina obywatelom państw wysokorozwiniętych narzekającym na wolne tempo szczepień).

Taki odsetek populacji otrzymał, według stanu na 17 lutego, przynajmniej jedną dawkę szczepionki przeciw COVID-19. Unię Europejską – potężnego gracza politycznego i ekonomicznego – od najlepiej radzących sobie w wyścigu szczepień dzieli dystans trudny do wyobrażenia.

W liczbach bezwzględnych rzeczywistość jest jeszcze bardziej bolesna: wielka Unia Europejska, z ponad 15 mln osób zaszczepionych minimum jedną dawką, przegrywa z Wielką Brytanią o prawie milion osób. I to właśnie porównania z Wielką Brytanią spędzają unijnym politykom sen z powiek. Bo choć brexit oznacza dla Londynu wiele problemów, z jednego rząd Borisa Johnsona na pewno jest zadowolony: kampania szczepień idzie sprawnie, podczas gdy w UE – przeciwnie.

Zbytni optymizm

Unia ma na to wyjaśnienie i zarzuca Wielkiej Brytanii egoizm, a firmom farmaceutycznym – konkretnie koncernowi AstraZeneca – że stosuje standardy jak w sklepie mięsnym, gdzie najlepszy i największy stek dostaje ten, kto pierwszy stanął w kolejce.

Sukces Londynu, ale też świetne wyniki Izraela i krajów Zatoki Perskiej, znacząco lepsze od europejskich postępy szczepień w Stanach Zjednoczonych, to źródło złości i frustracji, tym większe, im lepsza pamięć. O tym, że to Unia Europejska była wiosną animatorem wspólnych działań na rzecz przyspieszenia prac nad szczepionką. Że to z unijnego budżetu popłynęły do firm farmaceutycznych i ośrodków naukowych setki milionów euro, dzięki któ-

rym zniknęły bariery finansowe, a producenci mogli wjechać na autostradę prowadzącą do upragnionego celu. Część z nich zresztą rzeczywiście do niego dotarła: opracowali szczepionkę i wprowadzili ją na rynek. Wtedy jednak stało się jasne, że cel producenta to jedno, a cel państw i obywateli czekających na produkt – drugie. To nie szczepionka, preparat opracowany w laboratorium, ratuje świat, ale akcja szczepień, możliwa do przeprowadzenia wtedy, gdy osiągnięcie naukowe przeistoczy się w masowy produkt, dostępny w miliardach dawek. Na początek – choćby w setkach milionów.

„Zlekceważyliśmy kwestię braku możliwości nagłego zwiększenia skali produkcji szczepionek – przyznała podczas lutowej debaty w Parlamencie Europejskim szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. – Wystarczy posłuchać producentów, którzy mówią, że nawet jeśli na stole byłyby miliardy euro, nie byliby w stanie dostarczyć więcej" – tłumaczyła europosłom, dodając, że do wytworzenia szczepionek potrzebnych jest nawet kilkaset składników, a w cały proces zaangażowanych jest kilkadziesiąt, a nawet sto podmiotów.

„Dziś w walce z wirusem nie jesteśmy w miejscu, w którym chcieliśmy się znaleźć. Mieliśmy opóźnienia z dopuszczeniem szczepionek do obrotu, zbyt optymistycznie patrzyliśmy na masową produkcję i że to, co zostało zamówione, będzie dostarczone – biła się w piersi von der Leyen. – Nie doceniliśmy problemów związanych z masową produkcją szczepionki. W normalnych warunkach potrzeba 5-10 lat, żeby wyprodukować nową szczepionkę. My to zrobiliśmy w dziesięć miesięcy. W pewnym sensie jednak nauka wyprzedziła przemysł. Nie da się zbudować fabryki z dnia na dzień" – przypominała.

Podsumowując: UE zbytnio skupiała się na naukowym aspekcie procesu wynalezienia szczepionek, nie doceniając wszystkiego, co związane jest z produkcją. A raczej – nie doceniając wystarczająco, bo europosłowie przypominali, że część unijnych dotacji, które trafiły do koncernów farmaceutycznych, miała zostać – i została – przeznaczona na przygotowanie linii produkcyjnych. Unia będzie próbowała naprawić błąd, powołując grupę roboczą i włączając do całego procesu związanego z produkcją i dystrybucją szczepionek komisarza ds. rynku wewnętrznego, Thierry'ego Bretona.

Solidarny zakup

Czy to wystarczy? Krytycy decyzji podejmowanych przez Komisję Europejską w sprawie zakupu szczepionek przypominają, że produkcja – nawet jeśli niewystarczająca – cały czas trwa. I że nawet jeśli oczywiste było, że w pierwszych miesiącach 2021 roku podaż szczepionek będzie ograniczona, Unia Europejska w kolejce do dawek ma pozycję niewspółmiernie niską wobec swojego potencjału. Dowodem jest nie tylko procent zaszczepionych jedną dawką, ale przede wszystkim – wskaźnik liczby użytych dawek w przeliczeniu na stu mieszkańców. Izrael – 80, ZEA – 53, Wielka Brytania – 24, USA – 17. Unia Europejska – 5,2. Świat – 2,4.

Błędy zostały popełnione na etapie decyzji o zakupach i przy negocjacjach z producentami szczepionek – twierdzi część europosłów i brukselskich komentatorów.

Nikt nie ma wątpliwości – koncerny farmaceutyczne wykorzystują sytuację, ale Komisja Europejska, późno przystępując do finalizacji negocjacji w sprawie zakupu szczepionek (po Izraelu, po Wielkiej Brytanii, po Stanach Zjednoczonych, gdy koronasceptycznie nastawiony Donald Trump zainicjował i przeprowadził operację Warp Speed, która zresztą – *nota bene* – nie uchroniła USA całkowicie przed analogicznymi kłopotami z dostępnością szczepionek, z jakimi boryka się Europa, choć oczywiście na innym poziomie), znacząco ułatwiła im zadanie.

Dobra wiadomość? Poza zdeklarowanymi eurosceptykami nie słychać w tym chórze – w każdym razie nie na unijnych salonach, nie w europarlamencie – jednoznacznych diagnoz, że gdyby Komisja Europejska się nie wtrącała, państwa członkowskie poradziłyby sobie lepiej. Nawet jeśli na potrzeby krajowe takie głosy – choćby w Polsce – się niekiedy pojawiają, raczej nie ulega wątpliwości, że mechanizm solidarnego zakupu szczepionek cieszy się powszechną akceptacją, a przynajmniej – zrozumieniem. Nikt nie podjął polemiki z szefową KE, gdy mówiła, że pomysł na stworzenie unijnego mechanizmu zamówień szczepionek na koronawirusa był „dobry i konieczny", ponieważ doszło do sprawiedliwego podziału szczepionek pomiędzy poszczególne państwa.

Gdy Ursula von der Leyen zapytała, jak wyglądałaby sytuacja w poszczególnych krajach członkowskich, gdyby nie zapadła decyzja o wspólnych zakupach i solidarnym podziale szczepionek, europosłowie mogli tylko potakiwać. „Mniejsze kraje mogłyby tylko patrzeć, jak największe kupują szczepionki i szczepią swoich obywateli" – odpowiadała sama sobie, a kilku wchodzących po niej na mównicę eurodeputowanych, zwłaszcza z mniejszych i mniej zamożnych krajów wtórowało już bez ogródek: „Moglibyśmy tylko patrzeć, jak szczepią się Niemcy i Francja, a potem bogate kraje północnej Europy". Duża część krajów unijnych, niemających do dyspozycji ani potężnych środków, ani wystarczająco dużej populacji, zostałaby potraktowana jak ubodzy krewni i zmuszona do długiego oczekiwania w kolejce.

Tak – odpowiadają jednak ci, którzy punktują Ursulę von der Leyen za błędy. – Teraz sytuacja jest inna o tyle, że wszyscy jesteśmy zdani na łaskę koncernów farmaceutycznych.

W gronie liderów

Możemy w Polsce narzekać na tempo szczepień, złościć się na to, że etap zerowy, który wystartował w grudniu i miał potrwać najpierw do końca stycznia, potem – do końca lutego, potrwa najpewniej do końca marca. Możemy wytykać Agencji Rezerw Materiałowych i rządowi fatalne skutki centralizacji procesu szczepień, już skutkujące chaosem w dostawach i koniecznością odwoływania bądź przekładania szczepień seniorów przez poradnie podstawowej opieki zdrowotnej. Ale mamy przynajmniej powody do dumy. Ursula von der Leyen, rozpoczynając swoje wystąpienie w Parlamencie Europejskim, wskazała Polskę, obok Danii i Włoch, jako kraj najlepiej radzący sobie z kampanią szczepień.

Tę ocenę potwierdzają twarde dane: w połowie lutego Polska miała pierwsze miejsce wśród największych krajów UE (powyżej 10 mln mieszkańców) pod względem odsetka zaszczepionych przynajmniej jedną dawką. Wśród „wielkiej piątki" – zaliczamy się do niej obok Niemiec, Francji, Włoch, i Hiszpanii – jesteśmy bezwzględnym liderem (choć tylko w tym jednym wymiarze, bo już w odsetku w pełni wyszczepionych wyprzedzają nas Hiszpania i Włochy). Cieszy również wysoka pozycja ↦

↦ – czwarta, piąta, w zależności od spływu aktualnych danych – wśród wszystkich unijnych krajów (samodzielnym liderem jest maleńka Malta z blisko 8,58 proc. zaszczepionych pierwszą dawką).

Choć rząd w Warszawie jest postrzegany jako daleki od eurocentryzmu, opinia von der Leyen została nad Wisłą przyjęta ciepło, by nie powiedzieć – entuzjastycznie. Cytowały ją (obficie!) prorządowe media, chwalili się nią w mediach społecznościowych ministrowie, a marszałek Sejmu Elżbieta Witek, wizytując jeden z nowo otwartych szpitali covidowych na Dolnym Śląsku, opowiedziała o swoich rozmowach z „ambasadorami innych państw". Mieli jej powiedzieć, że gdyby zachorowali na COVID-19, czuliby się w Polsce bezpiecznie. „Powoływali się też na słowa przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, która wymieniła Polskę wśród krajów, które bardzo dobrze radzą sobie ze szczepieniami" – podkreśliła Witek.

Niemieckie problemy

Te pochwały smakują tym słodziej, że wypowiada je niemiecka polityk, a Niemcy ze szczepieniami radzą sobie... Cóż, w zasadzie sobie nie radzą. Jeszcze w listopadzie i grudniu wielu ekspertów wskazywało, że rząd w Berlinie precyzyjnie nakreślił strategię szczepień, że Niemcy od czerwca ćwiczyli – z udziałem wojska i straży pożarnej – schematy szczepień, że jesienią do tych ćwiczeń zaprosili statystów, by „na sucho" przetestować ścieżki, jakimi poruszać się będą wchodzący na szczepienia i opuszczający centra szczepień. Tak było, ale to tym bardziej rozjusza niemiecką opinię publiczną, z niedowierzaniem śledzącą postępy akcji nad Łabą. 3,46 proc. mieszkańców RFN zaszczepionych minimum jedną dawką (dane z 17 lutego) to nawet mniej niż we Francji i o wiele mniej niż w Polsce (4,07 proc.). Niemcy wygrywają z Francją w statystykach dotyczących wyszczepialności dwiema dawkami, ale i na tym polu przegrywają z Polską – choć tylko minimalnie. Trzecie, czwarte miejsce wśród największych krajów unijnych Niemiec, europejskiego prymusa w walce z pandemią, nie może satysfakcjonować.

Z drugiej strony, gdy wsłuchać się w ton debat w europarlamencie, zwłaszcza tej pierwszej, styczniowej, można odnieść wrażenie, że niemieckie problemy to ostatnia polisa, która została w ręku Komisji Europejskiej. Bo w styczniu jednym z kluczowych punktów zapalnych dyskusji był fakt, że Niemcy zapewniły sobie dodatkowe dostawy szczepionek, i to w czasie, gdy sprawowały prezydencję w Unii Europejskiej. Europosłowie z innych krajów, również z Polski, głośno żądali wyjaśnień, nie do końca wierząc, gdy je już otrzymali – że owszem, Niemcy rzeczywiście zdecydowały się na samodzielne zakupy, ale dodatkowe dawki otrzymają wtedy, gdy producenci wypełnią swoje zobowiązania wynikające ze wspólnego unijnego mechanizmu.

> Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen **wskazała Polskę, obok Danii i Włoch,** jako kraj najlepiej radzący sobie z kampanią szczepień.

Rzeczywiście, po kilkunastu dniach wiele można powiedzieć, ale nie to, że Berlin dysponuje większą liczbą dawek szczepionki niż pozostałe kraje UE. Jeśli coś jest w stanie tonować zniecierpliwienie pozostałych krajów, to tylko to. Zupełnie jak w memach po konkursach skoków narciarskich, w których zamiast Polaka na najwyższym stopniu podium stanął Słoweniec, Japończyk czy Norweg: „Ważne, że Niemiec nie wygrał". W lutowej debacie wątek niemieckich zakupów był już niemal niesłyszalny.

Wybrzmiewało natomiast, i to bardzo mocno, zaniepokojenie o skutki porażki, czy też – na razie – ewentualnej porażki, europejskiego programu szczepień przeciw COVID-19. Zarówno te bezpośrednie, przekładające się na problemy z utrzymywaniem ograniczeń i dalszym pogrążaniem się w marazmie i recesji gospodarek na Starym Kontynencie (a także, oczywiście, zwiększoną zapadalnością na COVID-19 i będącą jej następstwem wyższą śmiertelnością), jak i długofalowe, geopolityczne. Eurodeputowani zwracali uwagę, że skoncentrowana na problemie braku dostępności dawek dla własnych obywateli Unia Europejska traci z oczu fakt, że Rosja i Chiny prowadzą ekspansywną dyplomację szczepionkową, dostarczając do krajów rozwijających się (i nie tylko) miliony dawek. Po Sputnika i Sinovax sięgają też Węgry – na razie jako jedyny kraj unijny, ale politycy nie mają wątpliwości: jeśli dostawy od producentów, których preparaty zostały dopuszczone na unijny rynek, nie przyspieszą, rządy mogą znaleźć się pod rosnącą presją swoich obywateli.

Obywatele gotowi

Bo, przynajmniej na razie, gotowość do szczepień w wielu krajach jest ogromna. W Polsce, według publikowanych w lutym sondaży, chce się zaszczepić trzech na czterech dorosłych, a nastawienie proszczepionkowe od końca 2020 roku wręcz eksplodowało. Wśród ludzi starszych ten odsetek jest jeszcze wyższy i sięga 90 proc. Według danych opublikowanych na portalu Our World in Data, chętnych do natychmiastowego zaszczepienia się jest dwie trzecie Duńczyków, niewiele mniej Finów i Szwedów. Widać, że na chęć zabezpieczenia się przeciw COVID-19 wpływ ma generalnie wysokie zaufanie do szczepień wśród Skandynawów (podobny odsetek Norwegów również potwierdza chęć szczepienia).

W innych państwach odsetek osób deklarujących wolę szczepień jest nieco niższy, ale jeszcze długo – co najmniej kilkanaście tygodni, a może dłużej – popyt będzie przewyższał podaż. Nawet jeśli Komisja Europejska podtrzymuje postawiony na początku roku cel, jakim jest wyszczepienie do wakacji (raczej do ich końca, niż początku) 70 proc. dorosłych obywateli UE, najbliższa przyszłość, rysująca się przed instytucjami i osobami odpowiedzialnymi w krajach za programy szczepień, to raczej nerwowe oczekiwania na kolejne transporty dawek i ich skrupulatne przeliczanie, niż konieczność organizowania kampanii profrekwencyjnych czy akcji edukacyjnych o korzyściach płynących ze szczepień. Obywatele są gotowi się szczepić, ale nie ma czym.

„Nie wskazaliśmy wystarczająco jasno, że na początku nie będzie wystarczającej liczby szczepionek dla wszystkich" – przyznała z rozbrajającą szczerością kanclerz Angela Merkel w wywiadzie udzielonym stacji ZDF. Przyznała, że powolny start akcji szczepień wywołał w kraju rozczarowanie, ale zapowiedziała, że już w kwietniu punkty szczepień powinny dysponować

MAREK BEREŻOWSKI / REPORTER

Przejście podziemne w Warszawie, kwiecień 2020 r.

takimi liczbami dawek, że problemem stanie się ich zużycie.

Unia zdrowotna

Problemem jest to, że unijny mechanizm zakupu szczepionek to przedsięwzięcie daleko wykraczające poza horyzont pandemii. I jej powodzenie – bądź nie – będzie mieć olbrzymie skutki dla europejskiej integracji. Jeśli UE zawiedzie przy szczepieniach, na co zwracali uwagę przede wszystkim deputowani z partii socjaldemokratycznych, pod dużym znakiem zapytania stanie Europejska Unia Zdrowotna. Czyli projekt obliczony na niwelowanie różnic w dostępie do opieki zdrowotnej pomiędzy poszczególnymi krajami członkowskimi.

Sondaże pokazują, że nawet ponad 70 proc. obywateli UE uważa zdrowie za kwestię priorytetową i oczekuje większego zaangażowania Unii w rozwiązywanie problemów w tym obszarze. Komisja Europejska, kierowana przez Ursulę von der Leyen, zgodnie z postulatami formułowanymi w trakcie ostatniej kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego i formułowanymi przez mieszkańców krajów członkowskich oczekiwaniami uważa obszar zdrowia za jeden z priorytetów, który powinna wprost objąć polityka spójności. Politycy proeuropejscy, opowiadający się – generalnie – za pogłębianiem integracji, uważają, że solidarność w sprawach zdrowotnych między państwami członkowskimi oraz ich systemami ochrony zdrowia musi się pogłębiać, nawet zakładając, że kwestie zdrowotne pozostaną jeszcze bardzo długo kompetencją krajową.

Mechanizm wspólnych zakupów w pandemii był (jest) doskonałym poligonem, pozwalającym przetestować, co działa, a co należy poprawić. A raczej – będzie takim poligonem w momencie, gdy korzyści zaczną ewidentnie przeważać nad niedociągnięciami. Jest za wcześnie, by stwierdzić, że nie zaczną, ale znak zapytania bez wątpienia się pojawił. A przecież wspólne zakupy to, w zestawieniu z innymi planami, stosunkowo proste przedsięwzięcie.

Na wzmocnienie czeka, choćby, Europejskie Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (ECDC), które jako unijna agencja już ma mandat w zakresie przygotowywania się na pandemiczne kryzysy i zarządzania w ich trakcie, ale do tej pory jest kojarzone bardziej z działalnością badawczą, wręcz naukową – niż kompetencjami zarządczymi. Te zaś powinny objąć, zdaniem części unijnych polityków, również kwestie związane np. z koordynacją zamykania granic. Prawdziwym wyzwaniem będzie (jest już, w zasadzie) – europejski *cancer plan*. Przedstawiony 3 lutego Europejski Plan Walki z Rakiem ma zmniejszyć tempo wzrostu liczby nowych zachorowań na nowotwory (w tej chwili rocznie zapada na nie 2,7 mln obywateli UE, bez skutecznego przeciwdziałania w perspektywie 15 lat ta liczba wzrośnie o 25 proc.). Wyzwanie jest tym większe, że pandemia odcisnęła piętno również na opiece onkologicznej, bijąc przede wszystkim we wczesną diagnostykę, ale też zakłócając leczenie.

Pandemia COVID-19 przeorała myślenie nie tylko polityków, ale i obywateli, o sprawach zdrowotnych. Również na poziomie europejskim. – Zobaczyliśmy, chyba po raz pierwszy, jak mocno zdrowie jest związane ze wspólnym rynkiem. I jak bardzo kryzys zdrowotny odbija się na funkcjonowaniu gospodarki i wolnościach takich jak swobodny przepływ towarów czy osób. To niewątpliwie wzmocniło przekonanie, że Unia Europejska ma wiele do zrobienia, jako wspólnota państw, w zakresie ochrony zdrowia – mówił w styczniowej rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym" dr Andrzej Ryś, dyrektor ds. systemów opieki zdrowotnej, produktów medycznych i innowacji przy Komisji Europejskiej.

Aby ciąg dalszy mógł jednak nastąpić, aby Europejska Unia Zdrowotna nie pozostała jedynie marzeniem euroentuzjastów, walka z COVID-19, rozumiana jako maraton, nie sprint, co podkreślała Ursula von der Leyen, musi zakończyć się sukcesem. © MAŁGORZATA SOLECKA

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 9/2021
REDAKCJA: Maciej Müller | PROJ. GRAF: Marek Zalejski
SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara
OKŁADKA: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / Do lasu
WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PARTNER: Komisja Europejska

NIEMCY
Terminy sporadyczne

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

W Nadrenii Północnej-Westfalii, największym kraju związkowym, system internetowy w ogóle nie przyjmuje zgłoszeń. Zdeterminowani próbują rejestracji przez telefoniczną infolinię, co trwa godzinami.

To jest porażka – mówi wzburzony Robert Stöhr. Jest ordynatorem na oddziale ratunkowym w Diakonissenkrankenhaus, szpitalu w Lipsku. Nie ukrywa emocji, odpowiadając na pytanie o postępy w szczepieniu personelu przeciw COVID-19.

Osiemnaście dawek

Rozmowa, która odbywa się w pierwszej połowie lutego, to drugi kontakt „Tygodnika" z medykiem. Pierwszy raz to samo pytanie pada z początkiem stycznia. Stöhr wydaje się być wtedy innym człowiekiem. Zadowolony, pozuje do zdjęcia, trzymając się za ramię w miejscu, gdzie sam parę dni temu otrzymał pierwszą dawkę szczepionki. Tłumaczy, że spadła na niego odpowiedzialność poprowadzenia procesu zaszczepienia personelu szpitalnego. – W pierwszym rzucie otrzymaliśmy 400 szczepionek, czyli mogliśmy zaszczepić 200 osób z personelu – mówił wtedy. – Jak wszystko dobrze pójdzie, to kolejne kilkaset pracowników zaszczepimy do początku lutego.

Co wydarzyło się przez te kilka tygodni, że Robert Stöhr z doktora Jekylla zmienił się w pana Hyde'a? Nic, absolutnie nic. I to jest aktualnie problem programu szczepień przeciw COVID-19 w Niemczech. Od czasu pierwszej rozmowy szpital otrzymał osiemnaście dodatkowych ampułek. – Osiemnaście. Na cały szpital! – lekarz wypowiada to tonem, w którym irytacja jest już tak silna, że ustępuje rozbawieniu.

Zdeterminowani

– Nie dostaliśmy nic, bo wszystko, co od tego czasu dotarło do landu, poszło do centrum szczepień – tłumaczy. W Lipsku takie centrum przygotowano na terenie kompleksu targowego. Jeszcze w 2019 r., przed pandemią, organizowane w tym miejscu targi książki w zaledwie cztery dni odwiedziło blisko 300 tys. gości. Teraz miejsce świeci pustkami. Strona internetowa służąca do rejestracji informuje, że termin szczepienia można umówić tylko „sporadycznie". „Powodem tego jest obecnie zmniejszona ilość dostarczanej szczepionki przez Pfizer/BioNTech" – brzmi komunikat. Co to znaczy „sporadycznie"? Landowe ministerstwo zdrowia przyznaje, że często nawet 100 dawek na dane centrum szczepień to dużo. A liczba chętnych próbujących się zarejestrować liczona jest w dziesiątkach tysięcy.

Podobnie sytuacja wygląda w innych regionach Niemiec. W Berlinie pierwsze wolne terminy dostępne są od połowy marca. W Nadrenii Północnej-Westfalii, największym kraju związkowym Niemiec, system internetowy w ogóle nie przyjmuje zgłoszeń. Zdeterminowani muszą uzbroić się w cierpliwość i próbować rejestracji przez telefoniczną infolinię, co trwa godzinami.

Wlokący się ekspres

Widoczne postępy Niemcy odnoszą tylko w szczepieniu pensjonariuszy domów spokojnej starości. Blisko 400 tys., czyli połowa seniorów mieszkających w ośrodkach, otrzymało obydwie dawki szczepionki.

W RFN – stan na 18 lutego – podano łącznie 4,6 mln szczepionek. 3 mln osób ma za sobą pierwszą rundę. To 3,6 proc. niemieckiej populacji, która liczy ponad 83 mln osób. 1,5 mln z nich otrzymało dwie dawki. Przeciętnie dziennie wykonuje się ok. 124 tys. szczepień. To europejska średnia. I grubo poniżej oczekiwań niemieckiego społeczeństwa. Największy kraj w Unii, największa gospodarka, naj, naj, naj na długiej liście przeróżnych kategorii. Niemcy z zazdrością czytają informacje z Izraela, USA i Wielkiej Brytanii. To z tymi krajami chcieliby się ścigać.

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Dr Robert Stöhr

Niemieckie centra szczepień przygotowane były już w połowie grudnia. Procedury w szpitalu, w którym pracuje Robert Stöhr, pozwoliłyby zaszczepić 500 osób dziennie. Ale brakuje dawek, których kupno negocjowała Komisja Europejska. „To tak, jakbyśmy mieli nowiutki pociąg Intercity-Express, ale mogli jechać przez kraj tylko z prędkością 10 km na godzinę" – stwierdził Markus Jox, rzecznik ministerstwa spraw społecznych Badenii-Wirtembergii.

Federalne ministerstwo zdrowia zapowiada, że sytuacja będzie ulegać poprawie z tygodnia na tydzień. Z prognozy przygotowanej przez resort wynika, że po pierwszym kwartale, kiedy do Niemiec może dotrzeć 18,3 mln dawek, już w kolejnym liczba ta wzrośnie do 77 mln. Trzeci i czwarty kwartał ma przynieść ponad 200 mln szczepionek. Liczby robią wrażenie. Ale to wciąż tylko dane zapisane w excelowej tabelce.

Dr Stöhr na początku stycznia wydawał się nie przejmować debatą o opieszałości unijnego programu szczepień. – Jestem Europejczykiem – tłumaczył. Wystarczył miesiąc i jego entuzjazm wyparował. Szczepionki są potrzebne nie tylko do ochrony przed wirusem. W Niemczech są niezbędne, aby odbudować zaufanie i wiarę w Europę. ©

JOSEP LAGO / AFP / EAST NEWS

Dostawa szczepionek do jednej z przychodni POZ w Barcelonie

HISZPANIA
Na masową skalę

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Ponad milion osób otrzymało już obydwie dawki szczepionki. Wciąż jednak bardzo wiele brakuje do zrealizowania planu zaszczepienia do wakacji 70 proc. społeczeństwa.

Pod koniec grudnia do Hiszpanii docierają pierwsze dawki szczepionki Pfizer – paczki zostają obfotografowane ze wszystkich stron, a ich transport do poszczególnych regionów opisuje ze szczegółami dziennik „El País". Pierwsza w kraju szczepi się 96-letnia Araceli, mieszkanka domu opieki w Guadalajarze, zaraz po niej pracownica centrum, 46-letnia Monica. Premier Pedro Sánchez widzi w kobietach symbol „nowego, niosącego nadzieję etapu". Tak wyczekiwanego przez wymęczony pandemią kraj.

Burza śnieżna

Po widowiskowym początku przychodzi jednak spadek nastrojów. Choć strategia szczepienia jest ta sama we wszystkich regionach autonomicznych (pierwsze dawki przeznaczone są dla pracowników i mieszkańców domów opieki), tempo zależy od wewnętrznej organizacji. W niektórych regionach jest wręcz ślimacze: w Kantabrii do 4 stycznia udaje się rozdysponować jedynie 4 proc. z przydzielonych dawek. Nie wszędzie możliwe jest zorganizowanie i przeszkolenie zespołów pielęgniarskich, dodatkowym utrudnieniem okazuje się przerwa świąteczna.

A to dopiero początek: zaraz zaczną się przerwy w dostawach. Przedtem jednak przed Hiszpanią jeszcze inna, raczej nieoczekiwana przeszkoda: burza śnieżna Filomena. Kiedy zaczynają się szczepienia służby zdrowia, do niektórych szpitali w Madrycie nie docierają przydzielone dawki. Do innych nie są w stanie dotrzeć pracownicy.

– My mieliśmy szczęście, bo nasz szpital jest w centrum – mówi Javier Pertíñez Moreno, pielęgniarz ze szpitala Santa Cristina. – Przeszliśmy kurs podawania szczepionki, niestety online. I tak byliśmy dobrze przygotowani. Bardzo się stresowałem, nigdy wcześniej nie miałem kontaktu z taką szczepionką, do tego trzeba ją przechowywać w bardzo niskiej temperaturze – tłumaczy Javier, który szybko zaczyna czuć się dobrze w nowej roli. Czuje satysfakcję, bo widzi, jak podekscytowani przychodzą na szczepienie jego koledzy i koleżanki z pracy.

– Problemy? Jasne, głównie kiedy zostawała wolna dawka. Mieliśmy sześć godzin na znalezienie kogoś, kto w tej śnieżycy do nas dotrze. Po pracownikach z „pierwszej linii" szukaliśmy ciężko chorych. Wielu z nich nie jest w pełni świadoma, więc wtedy trzeba kontaktować się z rodziną, uzyskać zgodę na szczepienie. A zegar tyka.

Nowa nadzieja

Javier ze szczepieniami uwija się szybko, bo jego placówka jest mała. Jednak dobrze wie, że w niektórych szpitalach pod koniec stycznia pracownicy wciąż czekają na drugą dawkę. Przerwy w dostawach zbiegają się z bardzo dużym wzrostem zachorowań, a chwilę później znaczącym obciążeniem szpitali. Jednocześnie nie brakuje tych, którzy znajdują sposób, żeby zaszczepić się poza kolejką: lista, składająca się głównie z polityków (ale i niejednego biskupa), liczy w lutym już ponad dwieście nazwisk. Niemal wszyscy tłumaczą się podobnie: zadzwoniono do nich, bo szczepionka by się zmarnowała.

– Można zadzwonić do osoby ciężko chorej, jak to robiliśmy my, nie rozumiem, dlaczego dzwoni się do burmistrza – komentuje Javier.

Nowy miesiąc przynosi jednak sporo nadziei, o której mówił premier Sánchez – liczba nowych zakażeń zaczyna spadać, a od 9 lutego Hiszpania dysponuje już trzema różnymi szczepionkami. Oprócz kolejnych dostaw Pfizera i Moderny, którymi będą w pierwszej kolejności szczepione osoby powyżej 80. roku życia, do kraju trafia AstraZeneca, przeznaczona dla osób poniżej 55. roku życia, wykonujących konkretne zawody, w tym nauczycieli, policjantów czy pracowników więzień i strażaków.

Sagrada Família

12 lutego Hiszpania świętuje sukces: ponad milion osób otrzymało już obydwie dawki. Wciąż jednak bardzo wiele brakuje do zrealizowania planu zaszczepienia do wakacji 70 proc. społeczeństwa. Minister zdrowia Carolina Darias przekonuje jednak, że już wkrótce możliwe będzie działanie na masową skalę – w czym pomóc ma wejście na rynek szczepionek kolejnych trzech producentów. Już szuka się miejsc adekwatnych dla masowych szczepień – w Barcelonie pod uwagę brane są m.in. stadion Camp Nou i Sagrada Família. Zaczyna się też mówić o zaangażowaniu w szczepienia farmaceutów i studentów medycyny.

– Kto będzie wszystkich szczepił? – zastanawia się Javier Pertíñez Moreno. – My, pielęgniarze, już się zaoferowaliśmy, ale brakuje ludzi. No bo kto przyjdzie za mnie na dyżur? ©

ESCOFFIER FLORIAN / ABACA / PAP

Siostra André, która pokonała COVID-19

FRANCJA
Ślimak przyspiesza

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Z początku niemrawa, akcja szczepień nabiera tempa. Pomogło w tym uproszczenie procedur i zmiana antyszczepionkowego nastawienia wielu Francuzów.

W powodzi złych wiadomości ten dobry news obiegł wszystkie serwisy informacyjne nad Sekwaną. Na zdjęciach widać jej drobną sylwetkę z siwymi włosami i niebieskim zakonnym welonem. Najstarsza Francuzka – i prawdopodobnie najstarsza Europejka – siostra André, która ukończyła właśnie 117 lat, pokonała koronawirusa! Jak podał na początku lutego dziennik regionalny „Var Matin", sędziwa zakonnica, która w połowie stycznia miała pozytywny wynik testu na COVID-19, wyzdrowiała.

Grupa priorytetowa

Niestety radość miesza się ze smutkiem: w domu spokojnej starości w Tulonie na południu Francji, gdzie mieszka siostra, wykryto prawdziwe ognisko wirusa – zakażonych było 90 proc. rezydentów i duża część obsługi. W następstwie powikłań wywołanych tą chorobą zmarło dziesięć starszych osób. Nie doczekały akcji szczepień przeciw COVID-19, przewidzianych w tej placówce pod koniec stycznia.

Według danych rządowych rezydenci domów dla seniorów stanowią około jednej trzeciej osób zmarłych we Francji na COVID-19 (liczba wszystkich ofiar tej choroby przekroczyła na początku lutego 80 tys.). Dlatego to właśnie pensjonariusze z tych i podobnych placówek (np. dla osób niepełnosprawnych) oraz zajmujący się nimi personel byli, zgodnie z planem rządu, priorytetową grupą szczepień. Jak podaje dziennik „Le Monde", ta faza szczepień przebiega już sprawnie i niemal ją ukończono.

Następnie od początku stycznia szczepieniem objęto wszystkie osoby powyżej 75. roku życia, personel medyczny 50+ oraz osoby z grupy ryzyka niezależnie od ich wieku. Potem w kolejce są pozostali seniorzy. Od wiosny szczepienia mają objąć całą dorosłą populację. W sumie kampania obejmie 50 mln dorosłych mieszkańców.

Sceptycyzm

Od początku akcji szczepień, czyli od 27 grudnia do 16 lutego zaszczepiono 2,36 mln Francuzów, z czego 817 tys. otrzymało już drugą dawkę. Czy tempo szczepień jest zadowalające? Trudno powiedzieć, ale z pewnością wyraźnie przyspiesza.

Od końca grudnia przez pierwszy tydzień akcji zaszczepiono tylko... 516 osób, czyli kilkaset razy mniej niż w sąsiednich Niemczech. Prasa i opozycja nad Sekwaną grzmiały: to „kompletne fiasko", „kpiny", „państwowy skandal". Przyczyn szukano w legendarnej francuskiej biurokracji, ale też antyszczepionkowym nastawieniu Francuzów.

Ironią losu, jeszcze w grudniu 2020 r. ojczyzna Ludwika Pasteura należała do krajów europejskich najbardziej nieufnych wobec szczepionki przeciw koronawirusowi. Szczepić się wtedy chciało tylko 44 proc. Francuzów (w tym samym badaniu pracowni BVA „tak" odpowiedziało 56 proc. Polaków).

Co ciekawe, w miarę rozwoju akcji szczepień na świecie ta postawa bardzo się zmieniła – i dziś zdecydowanie ponad połowa mieszkańców Francji chce się szczepić.

Biurokracja

Do sceptycyzmu Francuzów doszła powolność urzędniczej machiny. Powodem wolnego startu ogólnokrajowej akcji nie był brak szczepionek, gdyż Francja już do końca grudnia zamówiła prawie 1,2 miliona dawek. Zawiodła logistyka (zbyt scentralizowany system dostaw, a także, według dziennika „Le Monde", brak w niektórych szpitalach „superlodówek" z temperaturą -70 st. C, koniecznych do przechowania zamrożonych szczepionek Pfizera).

Francuski rząd tłumaczył się, że powolny start jest zamierzoną strategią, bo zdecydowano się na szczepienie jedynie w placówkach medycznych, ambulatoriach i domach opieki, a zrezygnowano – w przeciwieństwie np. do Niemiec – z otwarcia specjalnych centrów szczepień. Jest też inny problem, biurokratycznej natury: początkowo wymagano od wszystkich chętnych do zaszczepienia uprzedniej wizyty u lekarza, żeby dokonali „świadomego wyboru". Wszystko to ogromnie opóźniało cały proces. Szczęśliwie dla oczekujących na szczepionkę, zasady poluzowano.

Według francuskich mediów prezydent Emmanuel Macron, zdenerwowany opieszałym startem szczepień, już w styczniu nakazał radykalne przyspieszenie. I obiecał, że do września wszyscy chętni Francuzi zostaną zaszczepieni. Do tego bardzo daleko. Czy ślimak zdąży na czas? ©

WIELKA BRYTANIA
Daleko od Unii

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Brytyjskie tempo robi wrażenie. Jak podkreślał minister ds. szczepień, w pewnej chwili było to nawet około 1000 osób na minutę.

Średnio codziennie w skali całego kraju przybywa 440 tys. zaszczepionych – choć zdecydowana większość pierwszą dawką. Wielka Brytania poszła bowiem własną drogą. Nie tylko przystąpiła do szczepień wcześniej niż jej do niedawna unijni partnerzy (już w grudniu), ale również opóźnia podanie drugiej dawki, chcąc w pierwszym rzucie zaszczepić jak największą część populacji. Na drugą dawkę Brytyjczycy czekają więc nawet do 12 tygodni.

Decyzja wzbudziła wśród ekspertów kontrowersje, jednak choć pierwsza dawka rzeczywiście nie daje pełnej odporności, to może chronić przed ciężkim przebiegiem choroby. A jeśli chodzi o liczbę zgonów, to ostatnia fala pandemii okazała się w Wielkiej Brytanii tragiczna – w styczniu jako pierwsza z europejskich krajów przekroczyła barierę 100 tysięcy zgonów z powodu COVID-19. Jest też jeszcze jeden powód brytyjskiego pośpiechu – to wyścig z kolejnymi mutacjami wirusa.

Mutacje obce i krajowe

Szczepienia Brytyjczycy zaczęli preparatem koncernu Pfizer/BioNTech. Wkrótce zaaprobowano także szczepionkę Oxford/AstraZeneca. Na wiosnę ma być stosowana szczepionka Moderny. Na początku procesu jedną z najważniejszych kwestii było przechowywanie szczepionki – ta Pfizera wymaga bardzo niskiej temperatury, szczepionkę oksfordzką można natomiast trzymać w zwykłej lodówce (jest też tańsza). Łatwość przechowywania i transportu szczepionki oksfordzkiej – dodajmy, produkowanej także na terytorium brytyjskim – pomogły w rozwinięciu szczepień na wielką skalę, nie tylko w wyspecjalizowanych ośrodkach, ale również małych przychodniach czy gabinetach lekarzy rodzinnych na prowincji.

Teraz szczególnie ważna staje się jeszcze inna właściwość szczepionki – to, jak dobrze radzi sobie z nowymi mutacjami koronawirusa. Niedawno przeprowadzono badania, które wskazywały, że szczepionka oksfordzka może nie dawać dużej ochrony przed łagodnym przebiegiem COVID-19 w wyniku zakażenia mutacją południowoafrykańską, choć przed poważnymi objawami już tak (nie wpłynęło to na zmianę rekomendacji WHO). Na razie ważne jest zapewne to, że daje bardzo dobrą ochronę przed mutacją brytyjską, która na Wyspach jest dominująca. Niemniej obawa, że pojawi się mutacja odporna na szczepionkę, spędza sen z powiek naukowcom i politykom. Stąd nie tylko tempo szczepień, ale i najbardziej restrykcyjny w Europie reżim graniczny: od połowy lutego obowiązuje m.in. kwarantanna w hotelach dla części podróżujących i trzy obowiązkowe testy na SARS-CoV-2.

Kwestia zaufania

Brytyjczycy szczepią masowo – do połowy lutego pierwszą dawkę otrzymało 15 mln osób, więc zaszczepiona była już co najmniej co czwarta osoba dorosła. Statystyka wygląda jednak nieco gorzej, gdy spojrzy się dokładniej, kto się szczepi. Szczególnie źle wypadają przedstawiciele mniejszości etnicznych, wśród których zaufanie do szczepionki okazuje się najniższe. Najmniej chętnych jest wśród społeczności czarnoskórej – ponad 70 proc. stwierdziło, że raczej nie chce się szczepić (wśród wszystkich ankietowanych, bez podziału na grupy etniczne, to 18 proc.). Niechętnych szczepionce jest też spora część osób pochodzących z Bangladeszu i Pakistanu (42 proc.). Może to wskazywać na systemowe zaniedbania wobec tej grupy oraz jej problem z dostępem do sprawdzonych informacji. Powodem bywają też kwestie religijne. Efekt? W jednym z ośrodków zorganizowanym w meczecie we wschodnim Londynie na 200 osób, które zaproszono na szczepienie, przyszły trzy. W Stoke-on-Trend na szczepienie nie przyszło 20-30 proc. osób z mniejszości etnicznych; z pozostałej części mieszkańców zaproszenie do szczepień odrzuciło zaledwie 2-3 proc.

JON SUPER / AFP / EAST NEWS

Premier Boris Johnson w ośrodku muzułmańskim Al Hikmah

Żeby przełamać nieufność wobec szczepionki, premier Boris Johnson odwiedził na początku lutego społeczny ośrodek muzułmański Al Hikmah w Batley w Yorkshire, gdzie prowadzone są szczepienia. Kampanię zachęcającą rozpoczęli też duchowni wielu wyznań, w tym imamowie. Gra toczy się o wysoką stawkę, bo szczepienia będą sukcesem i pozwolą na otwarcie kraju i gospodarki tylko wtedy, gdy będą masowe.

A jesienią...

Do połowy lutego brytyjski rząd chciał zaszczepić wszystkich powyżej 70. roku życia, osoby z grup szczególnego ryzyka, pensjonariuszy domów opieki i ich opiekunów oraz pracowników służby zdrowia. I ten cel osiągnął. Do końca kwietnia szczepionkę mają otrzymać wszyscy powyżej 50. roku życia oraz osoby młodsze ze wskazaniami medycznymi.

A co potem? Wszyscy mają nadzieję, że nastąpi powrót do normalności. Pewności jednak nie ma, za to brytyjskie władze mówią, że konieczne może być podanie trzeciej, uzupełniającej dawki jesienią. ©℗

Szczepić niesprawiedliwie się nie opłaca

MARCIN ŻYŁA

Unia Europejska, choć najpierw zaszczepi swoich obywateli, utrzymuje, że na prowadzonych przez nią negocjacjach z koncernami farmaceutycznymi skorzystają wszyscy.

Skupieni na pandemii, mogliśmy nie zauważyć, że 14 lutego Gwinea ogłosiła epidemię eboli. Na wywołaną przez ten wirus gorączkę krwotoczną zmarło już pięć osób. Niby niewiele, lecz w zachodniej Afryce pamięć o poprzedniej zarazie jest zbyt świeża, aby ignorować zagrożenie. W ciągu kilku dni do stołecznego Konakry miała dotrzeć pierwsza partia szczepionek. Tak, to również informacja, którą wielu przeoczyło: od roku przeciw eboli produkuje się już trzy różne preparaty.

Ostatni w kolejce

To właśnie Afryce – a ściślej: doświadczeniom zebranym tu podczas walki z ebolą – zawdzięczamy szybkie prace nad szczepionką przeciw COVID-19. Wykorzystaną w preparacie firmy AstraZeneca metodę wektorową (w której „przepis" na przygotowanie antygenu podaje się w postaci innego wirusa) testowano wcześniej w Kongu. Izolowania zagrożonych miejscowości i regionów uczono się w Sierra Leone. A gdyby nie testowane w Liberii procedury współpracy władz krajowych ze Światową Organizacją Zdrowia (WHO), wymiana informacji o nowym koronawirusie trwałaby na początku pandemii znacznie dłużej. Pomimo korupcji, niedoinwestowanych służb czy braku dróg, kraje, które przeszły „chrzest eboli", pod wieloma względami były przed rokiem lepiej przygotowane do walki z nową chorobą niż Europa.

Paradoks polega na tym, że w Gwinei, gdzie teraz trwają dwie epidemie, przeciw COVID-19 zaszczepiono dotąd tylko 55 osób. Prognozy Economist Intelligence Unit – brytyjskiego instytutu zajmującego się białym wywiadem – wskazują, że stopień zaszczepienia populacji umożliwiający powrót do życia sprzed pandemii większość państw Afryki osiągnie najwcześniej na początku 2023 r. – jeśli w ogóle. Podobnie zła sytuacja dotyczy Wenezueli, Afganistanu, Ukrainy, Korei Północnej czy Nowej Gwinei.

Powody opóźnienia? Dopiero rozkręcająca się produkcja szczepionek, kłopoty z ich transportem i przechowywaniem. Oraz pieniądze, które wzbudzają najsilniejsze emocje. Pośród skarg na niesprawiedliwy dostęp do preparatów słychać bowiem oskarżenia o egoizm, wysuwane pod adresem „bogatego Zachodu". Kłopot w tym, że – jak to bywa często, gdy sięga się po argumenty moralne – im cięższa ich waga, tym mniej w nich precyzji.

Chować czy wstrzykiwać

„Świat stoi na krawędzi katastrofalnej moralnej porażki, a cena za tę porażkę zostanie zapłacona życiem i środkami do życia w najbiedniejszych krajach świata" – mówił w styczniu szef WHO Tedros Adhanom. Wypomniał zamożnym państwom brak solidarności i wezwał je, aby zamiast trzymać rezerwy szczepionek w magazynach (rekordzistką jest Kanada, która kupiła prawie 11 dawek w przeliczeniu na obywatela), udostępniły je innym. Choć rozwijające się regiony świata, zwłaszcza te położone w pasie tropikalnym, COVID-19 doświadczył lżej niż nasz region, w słowach urzędnika słychać było apel o logikę: im bardziej równomiernie będziemy szczepić świat, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że lokalne epidemie spowolnią uzyskanie odporności przez wszystkich.

A sprawa jest pilna: w ciągu pierwszych dwóch miesięcy największej (i pierwszej tego rodzaju) akcji szczepień w dziejach świata wykonano 148 mln wkłuć. Ciekawostka: gdyby od najbliższego poniedziałku w tym tempie dawki dostawali wyłącznie dorośli mieszkańcy Polski, w porze piątkowego obiadu wszyscy byliby już zaszczepieni.

Polska – podobnie jak inne kraje Unii Europejskiej, Japonia, Australia, Wielka Brytania czy wspomniana Kanada – i tak jest w sytuacji uprzywilejowanej. Mniej więcej połowa dostępnych dawek szczepionek została zarezerwowana dla mieszkańców państw zamożnych: – 15 proc. populacji świata. Do grupy tej dołączą też Rosja i Chiny, które rozwijają produkcję własnych szczepionek.

Sama Unia kupiła ok. 1,7 mld dawek – było to drugie największe zamówienie. Najważniejszym nabywcą jest COVAX, koalicja stworzona przez kilka organizacji międzynarodowych pod patronatem WHO. Jej celem jest zapewnienie dostępu do szczepień 92 państwom o niższych dochodach. Dzięki temu mechanizmowi [pisaliśmy o nim w „TP" nr 5/2021 – red.] na koronawirusa ma zostać uodporniona jedna piąta ich mieszkańców (głównie grupy ryzyka). I właśnie w tym miejscu zaczyna się linia obrony Unii

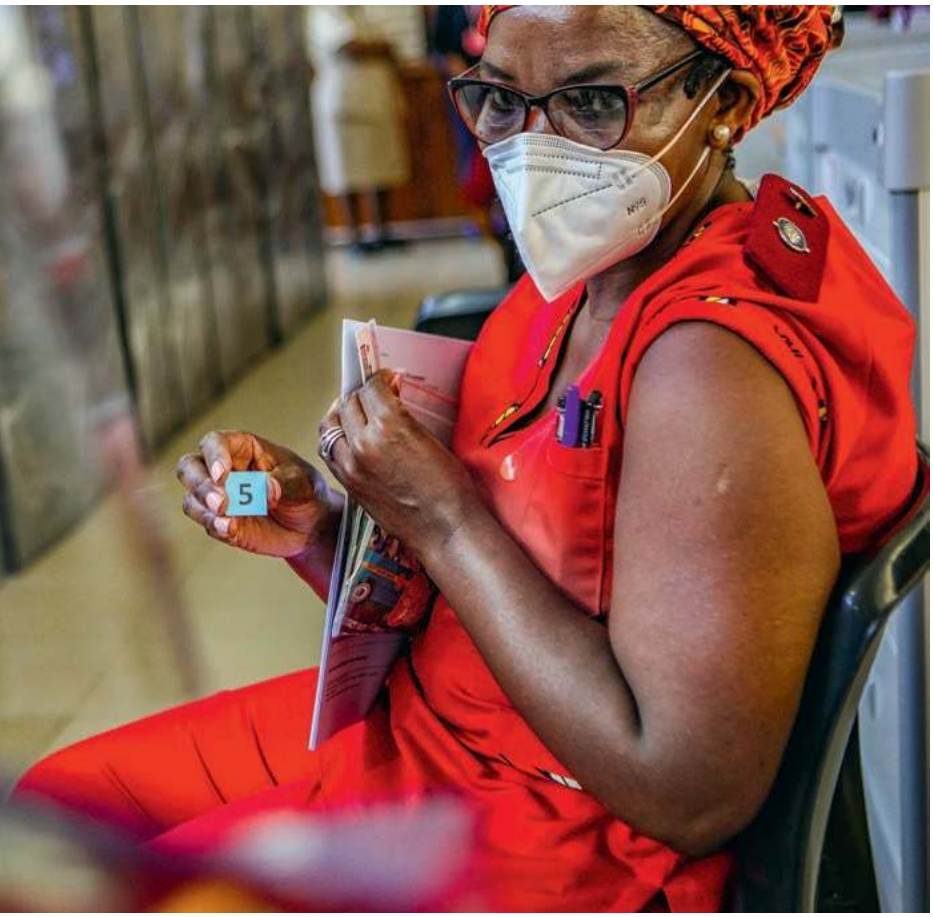

SHARON SERETLO / GALLO IMAGES / GETTY IMAGES

Szczepienia pracowników służby zdrowia w RPA. Szpital akademicki Chris Hani Baragwanath w Johannesburgu, 17 lutego 2021 r.

Europejskiej – która, choć najpierw zaszczepi swoich obywateli, utrzymuje, że na prowadzonych przez nią negocjacjach skorzystają wszyscy.

Gdy wydamy, nie stracimy

W listopadzie 2020 r. Unia wpłaciła na mechanizm COVAX pół miliarda euro. 400 mln z tej kwoty to długoterminowa pożyczka Europejskiego Banku Inwestycyjnego (EIB), zaś 100 mln to grant Komisji Europejskiej. „Razem z poszczególnymi krajami członkowskimi przekazaliśmy jak dotąd ponad 850 mln euro na rzecz COVAX, co czyni z Unii największego darczyńcę" – wyliczała kilka miesięcy temu Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji. Prezes EIB Werner Hoyer nazwał zaś „moralnym imperatywem", aby żadne państwo nie zostało pozbawione dostępu do szczepionki ze względu na koszty (od początku pandemii EIB wydał na zmniejszenie jej skutków – w tym pracę nad szczepionkami – astronomiczną sumę 27 mld euro).

Prezes wielkiego banku mówiący o moralności może wzbudzać podejrzliwość. Jednak niezależnie od szczerości Hoyera, na ekonomistów z Zachodu podziałały prognozy Międzynarodowej Izby Handlowej, organizacji zrzeszającej izby przemysłowo-handlowe. Według niej nierówności w dostępie do szczepień mogą spowodować łączne straty w wysokości od 1,5 do 9,2 bln dolarów amerykańskich, a połowę tej sumy zapłacą podatnicy w państwach Zachodu. Tak silnie powiązane są ze sobą gospodarki różnych regionów świata – w analizie uwzględniono tak różne czynniki jak łańcuchy dostaw, ruchy migracyjne czy ograniczenia w wydobyciu surowców naturalnych – że szczepić niesprawiedliwie po prostu się nie opłaca.

Czemu najpierw my

Jeszcze na początku pandemii COVID-19 kraje członkowskie Unii uzgodniły, że zakup szczepionek będą z producentami negocjować wspólnie. Korzyści z takiego rozwiązania – niższe ceny preparatów – wydawały się oczywiste. Do porozumienia przystąpili wszyscy, choć nie było obowiązkowe. Zresztą wciąż umożliwia ono państwom członkowskim indywidualne negocjacje z producentami, z którymi Unia nie podpisała umów. Skorzystał z tego rząd Węgier – i kupił 2 mln dawek rosyjskiej szczepionki Sputnik V.

Choć wspólnie, każdy dba też o siebie. Czy to dziwne? Stella Kyriakides, unijna komisarz ds. zdrowia i bezpieczeństwa żywności, tłumaczy: takie są prawa rynku. To pieniądze z Brukseli, inwestowane m.in. w zwiększenie zdolności produkcyjnych firm farmaceutycznych, sprawiły, że dostawy szczepionek mogły się rozpocząć tuż po zatwierdzeniu preparatów przez Europejską Agencję Leków. „Potrzebujemy przejrzystości co do tego, dokąd trafiają zabezpieczone przez nas szczepionki, i dopilnowania, by dotarły do naszych obywateli. Odpowiadamy właśnie wobec europejskich obywateli i podatników – to podstawowa zasada" – mówiła Kyriakides. Choć jej komentarz odczytywano w kontekście wywołanego opóźnieniami dostaw preparatu AstraZeneca sporu Unii z Wielką Brytanią, wyjaśnia on także, że strategię „płacimy, więc mamy pierwszeństwo" stosuje się też w odniesieniu do społeczeństw globalnego Południa.

Unia twierdzi, że zwiększenie możliwości producentów szczepionek przyniesie korzyść nie tylko Europejczykom. Z pełną sakiewką i pół miliardem obywateli Bruksela jest w praktyce największą siłą zdolną wpływać na politykę koncernów farmaceutycznych. Napisać, że negocjuje także w imieniu państw rozwijających się, byłoby przesadą, ale faktem jest, że zawierane z koncernami tzw. zaawansowane umowy kupna mówią m.in. o zakazie ograniczeń eksportu do państw trzecich. To w praktyce gwarancja dostępności szczepionek – choć nie od razu, za to dla wszystkich.

Zanim szczęśliwie zaszczepimy przeciw COVID-19 wszystkich dorosłych mieszkańców planety, minie dużo czasu. Będziemy jeszcze świadkami opóźnień dostaw, sporów o przydział i kolejność, a nawet „szczepionkowego nacjonalizmu". Na pewno nie będzie to proces sprawiedliwy, na pewno silniejsi będą rozpychać się skuteczniej. Wciąż jest jednak szansa, że w szkolnej skali ocen zasłużymy przez ten czas na mocną czwórkę. Jak na debiut całej ludzkości w tym przedmiocie – nie jest tak źle. ©℗

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Kino Kijów wznowiło działalność w reżimie sanitarnym po zamknięciu spowodowanym epidemią koronawirusa. Kraków, 12 lutego 2021 r.

Wirus zostanie z nami na długo

WOJCIECH FELESZKO, IMMUNOLOG:

Musimy zaszczepić taką liczbę ludzi, by ci, których układ odpornościowy nie zareaguje, nie byli zagrożeni przez krążącego wciąż koronawirusa.

MACIEJ MÜLLER: Polska zaszczepiła już ponad 4 proc. populacji. Ale kiedy będzie widać efekty tej akcji?

WOJCIECH FELESZKO: Spójrzmy na inne kraje. Stany Zjednoczone zbliżają się do 15 proc. wyszczepionej populacji. Dotychczas na COVID-19 zachorowało tam – biorąc pod uwagę także tych niewyłapanych przez system – już ponad 80 mln ludzi (szacunkowe dane CDC). Kiedy do tego dodać 50 mln podanych dawek szczepionki, mamy w sumie prawie 130 mln osób z przeciwciałami. I już widzimy trend spadkowy, liczba dziennych zakażeń spada. Oczywiście może to wynikać z innych działań, ale wydaje się, że jeśli liczba zaszczepionych i ozdrowieńców sięgnie 30-40 proc. populacji, spadek aktywności koronawirusa zacznie być widoczny. Niestety nie oznacza to końca walki.

Do zaszczepionych możemy po prostu dodać liczbę ozdrowieńców?

Dla potrzeb oszacowania odporności stadnej – tak. Dam przykład: według naszych szpitalnych wytycznych nie musimy testować osób, które przechorowały COVID-19 w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Traktujemy je jako osoby odporne. Nie ma pewności co do tego, jak długo utrzymują się przeciwciała po przechorowaniu – jedni mówią o kilku miesiącach, inni o roku. Na pewno jednak, szacując liczbę osób odpornych na zachorowanie, możemy w perspektywie roku dodawać ozdrowieńców do sumy zaszczepionych.

Do jesieni jako społeczeństwo uodpornimy się?

Na pewno nie jako całość. Wirus z nami zostanie, będą tliły się ogniska zakaźne wśród ludzi, którzy się nie zaszczepili albo nie mogli tego zrobić. Przewiduję jednak, że do wakacji poczujemy znaczącą ulgę i rozluźnienie reżimu w różnych obszarach życia. Z dzisiejszej perspektywy może tego nie widać, bo akurat borykamy się z ograniczeniem dostaw szczepionek. Ale w poczekalni są już trzy następne: amerykańskie J&J i Novavax oraz niemiecka CureVac. Do wakacji podaż preparatów będzie ogromna i akcja szczepień pójdzie nieporównywalnie sprawniej i szybciej niż teraz. Szczepiąc w obecnym tempie, do wakacji zaszczepimy około 20 proc. Polaków, co wraz z pokaźnym odsetkiem ozdrowieńców, czyli około 15 proc. osób, da właśnie spodziewane 30-40 proc.

Ale czy fakt, że pojawiają się kolejne warianty wirusa, nie zagraża tym celom? Czy wirus jest w stanie „przeskoczyć" szczepionkę?

Mutacje są czymś normalnym, to naturalne, że wirus chce przeżyć atak, który na niego przeprowadziliśmy. Naukowcy snuli hipotezy, że wirus będzie mutował w takim kierunku, żeby stać się łagodniejszym, przynosić mniej poważne objawy. Ale to były pobożne życzenia. Jeśli chodzi o wariant brytyjski, jest to mutacja, która zwiększa zakaźność, ale wiadomo już, że szczepionka na pewno wobec niego uodpornia. Groźniejszy jest wirus brazylijski i jego odmiana południowoafrykańska. Szczepionka AstraZeneca wykazuje wobec nich niższą, około 50-procentową skuteczność. Badania wykazały jednak, że nawet przy połowicznej skuteczności, jeśli chodzi o odporność na zakażenie, wysoka pozostaje skuteczność w zapobieganiu ciężkiemu przebiegowi choroby i hospitalizacji. A o to w gruncie rzeczy chodzi – żeby koronawirus nie zagrażał ludzkiemu życiu i nie paraliżował systemów ochrony zdrowia.

Mutacje traktuję poważnie, ale nie uważam za wielkie zagrożenie. Przede wszystkim dlatego, że technologia mRNA pozwala na szybkie wprowadzenie zmian w szczepionce i wycelowanie jej w inny

szczep wirusa. Wakcynolodzy przekonują, że w miarę rozprzestrzeniania się zmutowanych form możemy w nowszej szczepionce zmieścić też RNA nowego wirusa. Podobnie postępujemy w przypadku szczepionki na grypę: jest ona wielowalentna, czyli skierowana przeciw kilku szczepom patogenu.

Tylko że trzeba będzie powtarzać szczepienia populacyjne...

To nas i tak nie ominie. Jeśli wirus będzie dalej mutował, a zapewne będzie, szczepienie trzeba będzie co jakiś czas odnawiać. Przypuszczam, że najdalej za dwa lata wszyscy będziemy musieli dostać booster – dawkę przypominającą, skierowaną przeciw aktualnie dominującemu szczepowi koronawirusa.

Już wiadomo, że dochodzi do tzw. zachorowań przełamujących u ludzi, którzy wcześniej otrzymali dwie dawki szczepionki.

Żadna szczepionka nie daje pełnej ochrony. To normalne, że kilka-kilkanaście procent populacji na nią nie odpowiada. Sztuka polega na tym, żeby udało się wyszczepić taką liczbę ludzi, by ci, których układ odpornościowy nie zareaguje, nie byli zagrożeni przez krążącego w populacji wirusa. Wydaje mi się, że osiągnięcie odporności stadnej jest już w naszym zasięgu. A przynajmniej widać światełko w tunelu.

Proszę wziąć pod uwagę ważny aspekt: jeśli nie wyszczepimy całego globu, to powstanie ryzyko, że gdzieś, w jakimś odległym zakątku globu, powstanie ognisko koronawirusa, który zmutuje tak, że znowu będzie stanowił zagrożenie. Dlatego bogate kraje muszą w sposób solidarny podzielić się szczepionką z uboższymi. W naszym własnym interesie!

Szczepionka chroni przed poważnym przebiegiem choroby, ale czy zatrzymuje transmisję wirusa?

To nie jest jeszcze do końca jasne. Wiadomo, że szczepionka AstraZeneca chroni przed transmisją. W przypadku szczepionek mRNA (Pfizera i Moderny) nie mamy tej pewności. To kolejny argument za tym, żeby wyszczepić jak największy odsetek populacji. Wtedy nawet jeśli wirus będzie infekował, nie zagrozi niczyjemu życiu. Jedno jest pewne: SARS-CoV-2 pozostanie z nami na długo.

PIOTR RATAJSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. WOJCIECH FELESZKO jest pediatrą, specjalistą immunologii klinicznej i chorób płuc, pracuje w Klinice Pneumonologii i Alergologii Wieku Dziecięcego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Kiedy będziemy mogli przestać nosić maski, stosować obostrzenia sanitarne?

Ze smutkiem stwierdzam, że jeśli chodzi o moją pracę, to prawdopodobnie nigdy. Tym bardziej że są z tego wyraźne korzyści: od początku pandemii zaobserwowaliśmy wyraźne zmniejszenie liczby zakażeń sezonowych, takich jak grypa czy wirusy przeziębienia (rinowirusy, wirusy RS i inne). W życiu codziennym też zapewne część obostrzeń będzie jeszcze długo funkcjonować. Wielu z nas wsiadając do autobusu czy wchodząc do sklepu będzie na wszelki wypadek zakładało maskę.

Ale też przypuszczam, że w ciągu kilku miesięcy odczujemy znaczącą poprawę sytuacji. Dla mnie, jako pediatry, symbolicznym momentem będzie otwarcie szkół, także ponadpodstawowych i uniwersytetów. Uważam, podobnie jak pediatrzy na całym świecie, że tak radykalne ograniczenie nauki stacjonarnej było na wyrost. Doniesienia naukowe na temat transmisji wirusa wśród dzieci raczej przeczą konieczności zamykania szkół, a koszty społeczne i emocjonalne były ogromne. Codziennie spotykam w pracy bardzo poważne dolegliwości psychiatryczne u dzieci wynikające z zamknięcia, uzależnienia od komputera i lęku. Dorośli jako tako radzą sobie z rzeczywistością *home office*, ale w przypadku dzieci czy nastolatków ograniczenia edukacyjne, brak kontaktów socjalnych, stymulacji ze strony rówieśników – wiążą się z ogromną szkodą. Nie mogę się doczekać, kiedy rząd otworzy szkoły i uniwersytety. Odetchniemy wszyscy.

Czy nie powinniśmy szczepić także dzieci?

Dyskusja na ten temat nie ustaje, ale nie ulega wątpliwości, że najbardziej zagrożeni są starsi ludzie i to ich trzeba w pierwszej kolejności zabezpieczyć. Tym bardziej że wielu z nich przez miniony rok bało się wychodzić z domów. Zasługują na to, żeby zacząć normalnie żyć.

Szczepionka była testowana na dorosłych, na razie nie mamy danych o jej skuteczności u młodszych. Ale badania kliniczne już trwają. Więc to kwestia czasu, kiedy granica wieku będzie przesuwana z 18 lat na 16, 12, później na 6. W ciągu roku będziemy mieli zapewne zarejestrowane szczepionki dla dzieci.

Co by Pan sugerował rodzicom?

Zaszczepić najpierw siebie, a potem dziecko, zwłaszcza w sytuacji, kiedy rodzina będzie chciała gdzieś wyjechać. Wizyta w hotelu, na wyciągu narciarskim, w aquaparku, jedzenie w barze... Linie lotnicze będą zapewne żądały od pasażerów okazania dowodu szczepienia. W pewnych obszarach szczepienie przeciw COVID-19 przyjmie formę obowiązkową. Mam na myśli biznes, medycynę. Jaką restaurację wybrałby pan na rodzinny obiad? Tę, w której personel jest zaszczepiony, czy taką, gdzie nie ma takiej pewności?

Czy grozi nam trzecia fala zachorowań?

Według mnie przechodzimy ją teraz, chociaż nie jest tak wyraźna, jak na przykład w Wielkiej Brytanii. Z perspektywy mojego szpitala mogę powiedzieć, że chorych dzieci jest znacząco mniej niż w listopadzie i grudniu. Mogliśmy ograniczyć liczbę łóżek „covidowych". Niewątpliwie trzecia fala przetacza się teraz przez Wielką Brytanię czy USA. W Polsce mamy na razie surową zimę, siedzimy w domach, jesteśmy dość zdyscyplinowani i siłą rzeczy ograniczamy kontakty społeczne – to pomaga trzymać wirusa pod kontrolą. Nie można jednak wykluczyć, że po zniesieniu kolejnych restrykcji, np. otwarciu lokali, krzywa zakażeń znowu wzrośnie.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MŰLLER

TYGODNIK POWSZECHNY

Suwerenni

Paweł Bravo, Joanna Mazur-Polańska, Anna Dziurdzikowska, Bartek Dobroch, Jacek Ślusarczyk, Edward Augustyn, Iwona Kuciel, Katarzyna Kubisiowska

Monika Ochędowska, Łukasz Lamża, Marcin Żyła, Agnieszka Iskra, Marta Filipiuk-Michniewicz, Artur Strzelecki, ks. Adam Boniecki, Grzegorz Jankowicz, Edyta Płachta

Tomasz Fiałkowski, Agnieszka Grzywa, Grażyna Makara, Patryk Stanik, Zuzanna Radzik, Karolina Przewrocka-Aderet, ks. Jacek Prusak, Michał Kuźmiński, Maciej Müller

1%

W 2020 r. przekazali nam Państwo rekordowe **309 938,71 zł** w ramach odpisu jednego procenta podatku.

Dziękujemy!

To bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność

jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania"), kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Wdzięczność

wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za potwierdzenie, że „Tygodnik" jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

Wyzwanie

Początek roku 2021 postawił przed nami kolejne, nieoczekiwane wyzwania. Redakcja „Tygodnika" po 76 latach musi opuścić swój dotychczasowy adres – Wiślną 12. Od pierwszych dni stycznia trwają poszukiwania nowej siedziby, w którym to procesie bardzo Państwo pomagają.

OGŁOSZENIE OPP // FOT. GRAŻYNA MAKARA / POSTPRODUKCJA EDWARD AUGUSTYN

dzięki Wam!

Ewelina Burda, Michał Okoński, Sylwia Frołow, Przemysław Wilczyński, Grzegorz Bogdał, Piotr Sikora, Anna Goc, Wojciech Pięciak, Wojciech Jagielski, Aleksander Kardyś

Kalina Błażejowska, Andrzej Leśniak, Anna Karolewska, Mateusz Gawron, Gabriela Rosińska, Marek Rabij, Anita Piotrowska

Artur Sporniak, Rafał Woś, Anna Pietrzykowska, Marta Bogucka, Piotr Mucharski, Maciej Szklarczyk, Maja Kuczmińska, Łukasz Kwiatek, Marek Zalejski

Ale przeprowadzka to nie jedyne wyzwanie, jakie stawia przed nami nowy rok. Przede wszystkim będziemy zajmować się tym, co jest podstawową misją Fundacji.

Plany

W nadchodzącym roku jeszcze bardziej chcemy skupić się na ochronie i zabezpieczeniu dziedzictwa „Tygodnika Powszechnego" – poprzez cyfryzację archiwów oraz powstanie nowej strony internetowej. Dzięki nim będą mogli Państwo czerpać ze stale powiększającego się zbioru tekstów, które przez lata ukazały się na łamach „Tygodnika Powszechnego".

Czekają nas festiwale – Conrad i Copernicus. Rozwijamy nasz autorski ogólnopolski projekt wspierania czytelnictwa, czyli „Lekcje czytania".

Podjęliśmy także kolejną produkcję filmową – „Ukos światła" w reż. Wojciecha Szumowskiego.

Misję

realizujemy także przez tematyczne dodatki do naszego pisma, współwydawanie wydań specjalnych „TP", współprodukcję Podkastu Powszechnego, a także różnych innych multimedialnych form publicystyki.

Najważniejszy

jednak dla nas jest „Tygodnik", pismo, które dzięki Państwu co roku zwiększa swój zasięg. To Wy – nasi Czytelnicy – dajecie nam niesłabnące wsparcie oraz pokazujecie, że warto. „Tygodnik" jest suwerenny dzięki Wam.

Zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego oraz „Tygodnika Powszechnego"

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

Więcej informacji:
powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

1%

WALENIE GŁOWĄ W ŚCIANĘ

ROBERT WIKTOR FIDURA-PORYCKI:

Do świadomości, że zostałeś seksualnie wykorzystany, nie jesteś w stanie się przyzwyczaić.

ARTUR SPORNIAK: Po obejrzeniu filmu „Najdłuższy proces Kościoła" zrezygnowałeś z członkostwa w radzie Fundacji św. Józefa wspierającej ofiary pedofilii, powołanej przez episkopat.

ROBERT WIKTOR FIDURA-PORYCKI: Zgadza się.

W wysłanym do abp. Wojciecha Polaka uzasadnieniu napisałeś m.in.: „Dowiaduję się o kolejnych sprawach, których nie umiem nazwać cywilizowanym językiem. Okazuje się, że Dzięga, jak i emeryt Głódź, ale także ponad 90 proc. biskupów, skoncentrowali swoją działalność na dyskredytacji nieumarłych, na torpedowaniu pomocy". Nie wiedziałeś o tym wcześniej?

Zdawałem sobie sprawę, że nie wszyscy nastawieni są na pomoc ofiarom. Ale nie podejrzewałem, że skala jej hamowania jest aż taka. I Franciszek to powtarza, i powtarzał to Benedykt XVI, że to najważniejszy problem Kościoła, że zero tolerancji dla nadużyć seksualnych wobec bezbronnych, że trzeba z tym zrobić porządek, bla, bla, bla... I okazało się, że w Polsce to jest właśnie „bla, bla, bla". Wszystkie mądre słowa płynące stamtąd – tutaj nie znajdują posłuchu. Świetnie to nastawienie oddaje tytuł publikowanego na stronie „Więzi" cyklu Zbigniewa Nosowskiego „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie". Taka właśnie jest podstawa polityki Konferencji Episkopatu Polski w sprawie problemu wykorzystywania seksualnego nieletnich przez duchownych.

Przypadek ks. Dymera [więcej pisze o nim na kolejnych stronach ks. Jacek Prusak – red.] przeważył szalę?

Ja tę sprawę wcześniej znałem, ale reportaż Sebastiana Wasilewskiego precyzyjnie uporządkował wszystkie fakty. Czasem sobie wiesz o pojedynczych faktach, ale nie widzisz całości. Dopiero jak ktoś ci je uporządkuje, jesteś porażony.

Film „Najdłuższy proces Kościoła" pokazał, że rozstrzyganie spraw związanych z krzywdzeniem w Kościele dzieci zależy od dobrej woli biskupa. Jeśli jej nie ma, nic nie jest w stanie sprawy ruszyć do przodu.

Zgadza się: to wyłącznie chciejstwo albo niechciejstwo biskupa. Niby też o tym wiedziałem, ale w pełni dotarło dopiero teraz do mnie, że przez wiele lat Kongregacja Nauki Wiary popędzała Głódzia, by rozpoczął proces drugiej instancji, a Głódź to po prostu olewał i nic go za to nie spotyka. Ten system okazuje się niewydolny. Fajnie wygląda w zapisach, ale w życiu nie działa.

Są już formalne mechanizmy, by karać biskupów, ale wciąż trwa to bardzo długo. Zrozumiała jest niechęć do firmowania zachowań episkopatu. Ale fundacja jednak robi wiele dobrego. Po Twojej dymisji o. Grzegorz Kramer napisał: „Robert, proszę, nie rezygnuj. Niestety to nie działa. Zostań, bądź kimś, kto w tej radzie boli, jest wyrzutem". Taki argument nie ma sensu?

Ma sens. Ale sumienie mi już nie pozwala w tym uczestniczyć.

Być wyrzutem, być gorzkim lekarstwem?

Pacjent musiałby chcieć je przyjąć. Walenie głową w ścianę jest fajne do czasu, kiedy zdasz sobie sprawę, że sam sobie szkodzisz. Nie ma ze strony episkopatu – *in gremium*, nie mówię o pojedynczych biskupach, jak przede wszystkim prymas – ani woli rozmowy z nami, ani woli jakiejkolwiek zmiany. Wszystko jest na zasadzie: prawo na to pozwala. Nie ma woli dobrowolnego zadośćuczynienia przez instytucję. ↦

Robert Wiktor Fidura-Porycki, Warszawa, 19 lutego 2021 r.

ALBERT ZAWADA DLA „TP"

↦ **Jednak Fundacja św. Józefa jest w tym myśleniu wyjątkiem. Podobno Ty podsunąłeś jej pomysł przewodniczącemu episkopatu.**
Szczegółów jej powstania nie znam.

Ale przed szczytem przewodniczących episkopatów w Watykanie zaplanowanym przez papieża na luty 2019 r. abp Stanisław Gądecki spotkał się właśnie z Tobą.
Dowiedziałem się o tym szczycie i przeczytałem, że papież zalecił przewodniczącym episkopatów, aby wcześniej spotkali się z pokrzywdzonymi. Napisałem maila. Otrzymałem odpowiedź, że nie zgłosiłem mojej sprawy. Odpisałem, że przecież zgłosiłem sprawę do odpowiedniego biskupa. I otrzymałem z sekretariatu Gądeckiego odpowiedź, że jednak niekoniecznie chcą się spotkać, bo mój sprawca nie żyje. Ostatecznie się jednak zgodzili. Rozmowa trwała prawie dwie godziny. Jednym z moich postulatów było zorganizowanie funduszu przeznaczonego na pomoc pokrzywdzonym. Potem usłyszałem, że to był podobno pierwszy impuls do założenia Fundacji św. Józefa. Ale nigdy o to nie pytałem, więc nie wiem.

Potem poproszono mnie, bym uczestniczył w pracach przygotowawczych.

Prymas Polak?
Tak. Pytano mnie, jak ja, jako osoba pokrzywdzona, widzę pomysł fundacji itd. Współpraca była bardzo fajna. Potem prymas poprosił, bym wszedł do rady fundacji. Zgodziłem się, zdając sobie sprawę, że to mnie zdemaskuje, bo w dokumentach do KRS trzeba podać swoje prawdziwe imię i nazwisko. Wcześniej opowiadając o swoich doświadczeniach używałem pseudonimu.

W rozmowie z Katolicką Agencją Informacyjną postulujesz, by biskupi „pod odpowiedzialnością karną" musieli zgłosić wszystkie sprawy, jakie mają w archiwach, także najdawniejsze. Po co?
O ile jakoś tam posuwają się do przodu sprawy nowe, zwłaszcza od roku 2017, kiedy to został w prawie państwowym wprowadzony obowiązek zgłaszania przypadków seksualnego wykorzystywania, o tyle stare sprawy pozostają takimi „trupami w szafie". Bez ich ujawnienia Kościół nigdy się nie oczyści.

ALBERT ZAWADA DLA „TP"

ROBERT FIDURA (ur. 1967) jako małoletni został w 1981 r. wykorzystany seksualnie przez duchownego. Pod pseudonimem Wiktor Porycki w październiku 2018 r. opowiedział o doznanej krzywdzie biskupowi miejsca, a następnie udzielił wywiadu portalowi polsatnews.pl. Później na łamach „Więzi" opublikował kilka artykułów dotyczących oceny działań Kościoła, widzianych z perspektywy osób pokrzywdzonych. Był katechetą i dziennikarzem prasy lokalnej, jest także znawcą i pasjonatem heraldyki.

Kolejny Twój postulat – przyznanie pokrzywdzonym statusu strony w sprawie (dodajmy: bo wtedy będą mogli być na bieżąco informowani o postępach procesu) – władny jest spełnić tylko papież.
Wiem, że biskupi nie mają uprawnień, by zmieniać prawo kanoniczne, które do tej pory takiego statusu strony pokrzywdzonym nie daje. Stronami paradoksalnie są sprawca i jego przełożeni. Niemniej nie widzę problemu, by papież zmienił przepisy. Prawo to nie dogmaty.

W 2017 r. z udziału w Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich zrezygnowała Irlandka Marie Collins, która w dzieciństwie była wykorzystana przez księdza. To pokazuje, że także w Watykanie są ściany, od których ofiary się odbijają.
Mam świadomość, że moja dymisja jest tylko gestem. Biskupi pewno w ogóle się nim nie przejęli. Może wręcz myślą, że pozbyli się jednego problemu – faceta, który kopał ich po kostkach. Wiem, że moje postulaty to raczej marzenia niż program do realizacji w tej chwili w Polsce. Z drugiej strony – nie biorę pod uwagę, że to może być nierealne. Bo w takiej sytuacji musiałbym machnąć ręką, zamknąć się w chałupie i nic nie mówić.

Obchodzony w Kościele w tym roku 19 lutego Dzień modlitwy i pokuty za grzech wykorzystania seksualnego małoletnich skomentowałeś: „Będą się modlić i pokutować, a jednocześnie odmawiają nieumarłym odszkodowania… Ot, moralność". Priorytetem teraz powinny być odszkodowania?
Ten wpis odnosił się do konkretnej diecezji i konkretnej sprawy. Dotyczył diecezji kaliskiej i sprawy braci Pankowiaków, których historię opowiedział ostatni film Sekielskich, „Zabawa w chowanego". Chodzi o kwestię 500 tys. odszkodowania w procesie cywilnym wytoczonym diecezji przez Pankowiaków.

Sprawę odszkodowań Kościół powinien przemyśleć. Najlepiej, gdyby skopiował rozwiązania zachodnie, np. z Kościoła w Niemczech, gdzie ofiarom przyznaje się bez procesu sądowego zadośćuczynienie w wysokości 50 tys. euro. Gdy poszkodowany uważa, że to mało, oddaje sprawę do sądu. To jest, moim zdaniem, najlepsze rozwiązanie, z tej przyczyny, że proces sądowy zawsze wiąże się z kolejnym rozdrapywaniem ran z przeszłości, a prawnicy kościelni wiele zrobią, by cię zdyskredytować (wiem, że taka ich praca, ale miłe to nie jest). Nie widzę zatem lepszego rozwiązania niż dobrowolne wypłacanie odszkodowań przez Kościół.

W Niemczech najpierw Kościół wypłacał tylko po 5 tys. euro, ale z czasem sami biskupi podnieśli wymiar odszkodowania. Możliwe to było przede wszystkim dlatego, że w tamtym Kościele świeccy mają o wiele więcej do powiedzenia.
Zdaję sobie sprawę, że sytuacja w polskim Kościele w porównaniu z jakimkolwiek zachodnim jest zupełnie inna. Jednak mnie cały czas przyświeca motto, które ks. Paweł Rytel-Andrianik powtarzał jak mantrę, gdy był jeszcze rzecznikiem episkopatu: „Ofiary są najważniejsze". Skoro ofiary są najważniejsze, to skupmy się na nich. Oszczędźmy im wywlekania po raz kolejny tych wszystkich

spraw czy słuchania argumentu wysuwanego przez kościelnych adwokatów: „Po tylu latach od owych wydarzeń pan już się przyzwyczaił”.

Ty się przyzwyczaiłeś?

Do tego nie jesteś w stanie się przyzwyczaić. I tak już będzie do końca.

Byłeś molestowany jako 14-letni chłopak?

Tak, to było pierwsze molestowanie. To był ksiądz diecezjalny, który był moim katechetą. Miało to miejsce dwa razy podczas przygotowywania mnie do bierzmowania. Byłem wtedy też ministrantem, więc z dwóch powodów kręciłem się przy kościele. On mnie wyczuł. Zorientował się, że jestem pogubiony, że mam problemy w domu. Zaprzyjaźniliśmy się. Przez jakiś czas traktowałem go jak najbliższego przyjaciela. Bardzo umiejętnie mnie oswoił, a potem wykorzystał.

Otwarcie o tym mówisz, działasz na rzecz ofiar – imponująco sobie z tym radzisz. Masz przepis dla innych?

Nie ma przepisu. Nie ma tutaj jednej ścieżki, każdy to przechodzi inaczej. To siedziało cały czas, dawało o sobie znać, pojawiały się sny...

Już nie siedzi?

Dalej siedzi, ale jestem na psychoterapii. A z nią jest jak w tym dowcipie: „Jeden pyta drugiego: – Dalej się moczysz w łóżko? – Tak, ale chodzę na psychoterapię i teraz już wiem, dlaczego”. Ja też już wiem, dlaczego – mam to trochę oswojone.

Drugi przypadek całkowicie wyparłem. Miałem wtedy jakieś 17-18 lat. To był zakonnik. Szukałem autorytetu, przyjaciela – kogoś bliskiego. Zaprzyjaźniliśmy się. I znowu trafiłem niestety na zwyrodnialca. Zaprosił mnie do domu na parę dni. Pojechałem, naiwniak. Tam się nic wielkiego nie stało, po prostu spałem na łóżku polowym, a on do mnie w nocy przyszedł i próbował się do mnie dobierać. W momencie, gdy mu wycharczałem – bo trudno powiedzieć, że powiedziałem: „zostaw mnie w spokoju!”, wrócił do siebie na łóżko. Do niczego więcej nie doszło. To była tylko próba. I ja ją tak skutecznie wyparłem ze świadomości, że przypomniałem sobie o tym po trzydziestu paru latach.

Moja dymisja jest tylko gestem.
Biskupi pewno w ogóle się nim nie przejęli. Może wręcz myślą, że pozbyli się jednego problemu.

Pierwszy przypadek też wyparłeś?

Nie, tkwił w mojej świadomości. Drugi natomiast w podświadomości. I dopiero w październiku zeszłego roku sobie go uświadomiłem. W dziwnych zresztą okolicznościach. Szukałem w internecie jakiegoś niedużego fotela, żeby sobie go postawić w przedpokoju. Przeglądałem różne modele na stronach różnych sklepów meblowych i nagle zobaczyłem dokładnie taki sam fotel, jaki stał u niego – z taką samą tapicerką. To odpaliło podświadomość. Wcześniej w internecie widziałem zdjęcia tego człowieka i odczuwałem niepokój, jakiś taki dziwny lęk, ale zupełnie nie wiedziałem, dlaczego. Tak skutecznie potrafi to zejść w podświadomość – i dlatego głupie są pytania ludzi: „Nagle po tylu latach mu się przypomniało?”. Tak, nagle po tylu latach się przypomina.

Stąd Twój postulat, aby nie było przedawnienia?

Tak.

Czy ten zakonnik żyje?

Obaj nie żyją.

Zgłosiłeś obu?

Najpierw zgłosiłem sprawę pierwszą w 2018 r. do właściwej kurii diecezjalnej. Po roku zostałem zaproszony na spotkanie i dostałem informację, że uznają, iż mówię prawdę, ale ze względu na to, że ów ksiądz nie żyje, teczka wędruje *ad acta* i że się będą za mnie modlić. Typowe głaskanie po główce.

W przypadku tego zakonnika sprawę zgłosiłem w październiku ubiegłego roku. Po zgłoszeniu zadzwonił do mnie prowincjał i powiedział, że zgodnie z ich wewnętrznymi przepisami on musi to zgłosić ich generałowi. To ostatnia informacja, którą mam.

Publicznie ujawniłeś, że jesteś ofiarą molestowania. Czy taki coming out pomaga?

Mnie pomógł, chociaż cholernie się bałem. Mieszkam w małej miejscowości, która ma około 600 mieszkańców.

Jak ludzie zareagowali – wiedzą o tym?

Tak. Dwie sytuacje. Niedaleko mieszkający młody chłopak około trzydziestki przyszedł do mnie i powiedział, że u swojej ciotki, a mojej sąsiadki przez płot, będzie robił urodziny. Będzie trochę głośniej i czy mi to nie będzie przeszkadzać. Odpowiedziałem, że urodziny ma się raz w roku, trudno, hałasujcie, wytrzymam. Powiedział: „Wpadnij, bardzo cię zapraszam”. „Ok” – odpowiedziałem. I w tym momencie on powiedział: „Czytałem twój wpis na FB. Jestem pełen podziwu”. Mnie szczęka opadła. Nie spodziewałem się, że ktokolwiek to tutaj czyta. Poszedłem na te urodziny. Siedział tam inny chłopak – narąbany już jak messerschmitt, chyba nawet nie wiedział, gdzie jest i co się dzieje. Ale gdy mnie zobaczył, wybełkotał: „O, pedał przyszedł”. Poza tą jedną negatywną reakcją nie spotkało mnie do tej pory nic złego.

Czy skrzywdzeni powinni szukać pomocy?

Według mnie tak.

U kogo?

U psychoterapeutów.

Powinni zgłaszać?

Powinni.

W Kościele?

Też. Niekoniecznie muszą to robić sami. Może im ktoś towarzyszyć: prawnik czy ktoś bliski. Czy powinni się ujawniać, to tutaj nie chcę dawać żadnych rad, bo to różnie wygląda.

Mimo naszej rozmowy powinni też zgłaszać w Kościele?

To pozwoli zobaczyć hierarchom skalę zjawiska.

A im coś da?

Mnie dało wyzwolenie – pozwoliło mi zrzucić garb, który nosiłem przez prawie 40 lat. Nie znam osoby, która dałaby sobie radę z tą traumą sama.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Zabójcza protekcja

KS. JACEK PRUSAK SJ

Śmierć ks. Andrzeja Dymera, choć sprawiła, że umknął on ziemskiej sprawiedliwości, nie stanowi amnestii dla tych, którzy go chronili.

„Najdłuższy proces Kościoła" – taki tytuł nosił dokument pokazany w programie „Czarno na białym" stacji TVN24. Opowiada o przestępstwach seksualnych ks. Andrzeja Dymera – prominentnego kapłana archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej, cenionego za biznesowo-menadżerską obrotność dyrektora Instytutu Medycznego im. Jana Pawła II w Szczecinie. Oraz o tuszowaniu tych przestępstw przez kościelnych hierarchów.

Informacje o molestowaniu chłopców przez ks. Dymera nie są niczym nowym – pojawiły się w latach 90., proces kanoniczny rozpoczął się w 2004 r., a w 2008 r. skazał go kościelny trybunał (złożył jednak apelację od wyroku). Jego sprawę znakomicie opisał niedawno redaktor naczelny „Więzi" Zbigniew Nosowski w śledztwie dziennikarskim zatytułowanym chyba jeszcze celniej niż reportaż TVN24: „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie". „Wspólnym wysiłkiem dwóch archidiecezji – szczecińskiej i gdańskiej – Polska usiłuje pobić rekord świata w długości trwania postępowania kanonicznego. Zmagania o akt kościelnej sprawiedliwości w sprawie ks. Andrzeja Dymera trwają już 25 lat" – pisał Nosowski, pytając: „Jak długo jeszcze kościelne instytucje będą się bawić w tę sądową ciuciubabkę?".

Śmierć na raty

Następnego dnia po emisji reportażu TVN24 dowiedzieliśmy się, że 58-letni ks. Dymer zmarł. Chorował na nowotwór, jak informują media – filmu na swój temat nie był w stanie obejrzeć.

Trudno było wówczas nie pomyśleć, że nieustanne odwlekanie, zamiatanie pod dywan i przeciąganie spraw o molestowanie nieletnich, jakie wydaje się w Kościele normą, jest nie tylko – co było bezdyskusyjne i wiele razy na tych łamach powtarzane – źródłem powracającego, niedającego się zamknąć i zaleczyć cierpienia ofiar. Otóż, jakkolwiek to nie zabrzmi, ono demoralizuje też sprawców. Sytuuje ich bowiem w miejscu, w którym nieustannie i bez perspektywy widzialnego końca skazani są na zaprzeczanie wszystkim dookoła i samym sobie. Taka strategia na przetrwanie ma swoją cenę, bo jeśli sprawca nie jest psychopatą, będzie się zmagał z poczuciem winy i wstydu, i będzie musiał je tłumić, by funkcjonować.

Jeśli silnemu, przewlekłemu stresowi, jaki taka sytuacja powoduje, towarzyszy choroba – zwłaszcza nowotworowa i o słabej prognozie – to sprawca choruje i duchowo, i fizycznie, szybciej w ten sposób wchodząc w umieranie. Rzekome chronienie sprawcy, „bo przecież jest chory – albo w podeszłym wieku", oprócz, powtórzmy, wtórnego krzywdzenia ofiar i niesprawiedliwości wobec nich, paradoksalnie staje się też negatywne dla niego samego. Fałszywie zatroskani o niego hierarchowie fundują mu śmierć na raty. Śmierć na raty, którą sprowadza też na siebie sam – bo poza wymiarem psychosomatycznym chodzi tu tak naprawdę o wymiar moralno-duchowy i kwestię zbawienia.

Kiedy Benedykt XVI w „Liście pasterskim do katolików w Irlandii" zwrócił się do sprawców słowami: „Sprawiedliwość Boga wymaga, byśmy zdali sprawę z naszych uczynków, niczego nie ukrywając. Uznajcie otwarcie waszą winę, spełnijcie wymogi sprawiedliwości, ale nie traćcie nadziei na Boże miłosierdzie", nie miał na myśli zdążenia ze spowiedzią przed śmiercią. Nie odnosił się też wyłącznie do sprawców, ale również do tych, którzy ich chronią kosztem ofiar.

Spowiedź niczego nie załatwia

Jak zauważa portal Więź: „Nic nie wskazuje, aby przed śmiercią ks. Dymer kogokolwiek przeprosił, pokutował czy zadośćuczynił". Kuria szczecińsko-kamieńska wydała krótki komunikat, informujący, że przed śmiercią ks. Dymer został „zaopatrzony sakramentami świętymi". Dostrzegam tu przejaw błędnego rozumienia wyznania grzechów na spowiedzi bez uznania ich przed ofiarami. Owszem, Kościół przez wieki uznawał, że wystarczy, jeśli grzesznik wyzna swoje grzechy na spowiedzi, a samo zadośćuczynienie może mieć już charakter czysto symboliczny. Problem w tym, że takie symboliczne zadośćuczynienie nie ma żadnego wpływu na ofiary. Mamy do czynienia z myśleniem: niech się przyzna na spowiedzi, odbędzie jakąś pokutę i dalej funkcjonuje, a skoro choruje, a nawet umiera, jest to już wystarczająca pokuta. Czego więc chcieć jeszcze?

Można się zastanawiać, co mógł ks. Dymer zrobić na łożu śmierci. Nie wiemy, jak wyglądały jego ostatnie chwile – czy był przytomny, czy nie. Gdyby jednak podczas spowiedzi upoważnił spowiednika do upublicznienia jego win i prośby o przebaczenie, sytuacja byłaby inna. Tak się jednak nie stało. Komunikat, który podkreśla, że ks. Dymer przed śmiercią się wyspowiadał, niczego nie załatwia. My nadal nie wiemy, czy przed śmiercią uznał swoje winy w stosunku do ofiar. Nie powie nam, a przede wszystkim ofiarom tego nikt, bo spowiednik obarczony jest tajemnicą spowiedzi.

Śmierć więc zabrała ze sobą ks. Dymera, patrząc zaś na to, jak jego przełożeni chronili go przez tyle lat, nie sposób nie odnieść wrażenia, że uczynili jego spotkanie z Bogiem trudniejszym, a nie łatwiejszym, bo głosu ofiar nie da się w ten sposób uciszyć. Pozostawiając zmarłego Bożemu sądowi, tym, którzy go chronili, trzeba przypomnieć, że sami muszą uznać swoją winę, jeśli mamy wierzyć, że Kościół uczy się na błędach i naprawdę dba o ofiary. Bo na pewno nie mogą liczyć na „tanie miłosierdzie".

Pobudka z kościelnej śpiączki

Cała ta sprawa wywołuje zgorszenie i gniew. Powinien on zostać skanalizowany do konstruktywnego protestu, którego celem będzie obudzenie i sprawców, i tych, którzy ich kryją, z kościelnej śpiączki. Ta złość nie tylko jest zrozumiała – jest ona logiczna i jest oznaką zdrowia, zarówno u ofiar, jak i u tych, którzy są ich rzecznikami. Dlatego nie ma potrzeby wstydzić się tej złości, ani mieć z jej powodu poczucia winy. Na pewno też nie można interpretować jej w kategoriach grzechu czy słabości. Ta złość jest zrozumiałą reakcją na krzywdę. Powinna być wykorzystana do tworzenia relacji i narzędzi, które chroniłyby ofiary, a sprawców zmuszały do uznania swo-

KRZYSZTOF HADRIAN / AGENCJA GAZETA

Od lewej: ks. Andrzej Dymer, metropolita szczecińsko-kamieński abp Andrzej Dzięga oraz biskupi pomocniczy Marian Kruszyłowicz i Henryk Wejman na poświęceniu szpitala rehabilitacyjnego im. św. Karola Boromeusza Instytutu Medycznego Jana Pawła II w Szczecinie, 19 czerwca 2017 r.

jej odpowiedzialności za ich krzywdę. Oznacza to domaganie się transparentności, upublicznianie braku tej transparentności, stwarzanie przestrzeni ofiarom do opowiedzenia o swojej krzywdzie, a od strony teologicznej – bycie świadomym swojej odpowiedzialności za Kościół i nieoddawanie go wyłącznie w ręce zdemoralizowanego kleru. Słowem: domagajmy się, aby w sprawach radzenia sobie z pedofilią w Kościele większy udział miały osoby świeckie.

Chodziłoby zatem po pierwsze – o tworzenie gremiów kościelnych, w których osoby świeckie uczestniczyłyby na tych samych prawach, co osoby duchowne, jeśli chodzi o rozpatrywanie skarg ofiar i ocenę oskarżeń w stosunku do potencjalnych sprawców. Po drugie, o przyznanie pokrzywdzonym statusu strony w sprawie, która ich dotyczy. I po trzecie – o zniesienie przedawnienia w karaniu tych wykroczeń i ścisłego przestrzegania terminów w prowadzeniu sprawy.

Jeśli złość przekształci się w protest: „nie chcę mieć z tą instytucją nic do czynienia!", będzie on zrozumiały, ale nie dokona istotnych zmian w Kościele. Owszem, do głosu może dojść poczucie bezsilności. Ktoś może powiedzieć, że w wyjaśnianie sprawy ks. Dymera zaangażowani byli nie tylko świeccy, ale także księża, a nawet prowincjałowie zakonów (dominikańskiego i franciszkańskiego), i nic to nie dało. Wystarczyło, że kolejni biskupi szczecińsko-kamieńscy nie chcieli jej rozstrzygać. Teraz sytuacja się jednak zmieniła – papież Franciszek zmienił prawo: zobowiązał biskupów do działania, a opieszali mogą być pociągani do odpowiedzialności. Skandaliczne zamiatanie pod dywan oczywistego przypadku mogło być możliwe ćwierć wieku temu, dzisiaj już nie. Problem nie polega bowiem na tym, że przełożeni kościelni nie stosują obecnego prawa w stosunku do nowych ofiar, tylko na tym, że nie chcą go stosować do ofiar dawnych, ponieważ w tamte sprawy są o wiele bardziej uwikłani dzięki relacjom ze sprawcami.

Poza tym widzimy, że np. działania dziennikarsko-śledcze Zbigniewa Nosowskiego, bez oficjalnego wsparcia Episkopatu, przynoszą jednak owoce. Gdyby redaktor naczelny „Więzi" nie czuł słusznego gniewu, nie byłoby cyklu „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie".

Poczucie bezsilności może potęgować powolne działanie Watykanu, do którego te sprawy ostatecznie trafiają. Dodajmy na marginesie, że nie jest żadnym usprawiedliwieniem tłumaczenie, iż wydawanie wyroków przeciąga się, bo urzędnicy watykańscy są zasypani sprawami, których liczba lawinowo rośnie. Skoro jest tak dużo przypadków, trzeba powołać więcej ludzi do ich badania. Tyle tylko, że w Watykanie także są różne grupy nacisku i różna może być przepustowość służbowej drogi biegnącej przez nuncjaturę w Warszawie. To pokazuje, że model władzy w Kościele wciąż jest dysfunkcyjny mimo reformowania prawa.

Bulwersująca jest sprawa wstrzymania ogłoszenia wyroku w sprawie ks. Dymera przez gdański sąd metropolitalny, wydanego, jak się dowiadujemy, 12 lutego, czyli tuż przed zapowiedzią filmu „Najdłuższy proces Kościoła" – tylko dlatego, że sprawca zmarł i nie może się bronić. Żyją przecież przełożeni, którzy go bronili, i żyją ofiary, które czekają na sprawiedliwość. Nie jest zatem tak, że wraz ze śmiercią sprawcy umarła też sprawa. Ci, którzy chronili ks. Dymera, nie mogą teraz jego śmierci traktować jako amnestii. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

O. Marcin Babraj OP, klasztor ojców dominikanów. Kraków, październik 2013 r.

Archiwum Pana Boga

JAN GRZEGORCZYK

Marcin Babraj wiedział, że nikt tak nie potrafi mówić o Bogu jak ci, którzy Go odnaleźli.

Pierwszego lutego podano wiadomość o śmierci Ryszarda Szurkowskiego. Obok Lubańskiego idola mego dzieciństwa. Kiedy o piętnastej wchodziłem do domu, telefon od Romka Bieleckiego z „W drodze": „Przed kilkoma minutami zmarł ojciec Marcin Babraj"...

Od kilkunastu lat przebywał w krakowskim klasztorze. Jakby poza rzeczywistością. Cierpiał na zanik pamięci.

Mistrz. Ten, który wyznaczył mi życiową ścieżkę.

Homo viator

W 1973 r. założył miesięcznik „W drodze". Rozmawiał o nim w gronie kleryków od połowy lat 60. Byli wśród nich: Jacek Salij, Jan Andrzej Kłoczowski, Jan Spież, młodziutki Jan Góra. Przekonali ówczesnego prowincjała do swej idei, ale władza odrzucała wnioski o pozwolenie na wydawanie czasopisma.

W okresie odwilży gierkowskiej podjęto na nowo starania, używając argumentu, że na ziemiach zachodnich nie ma pisma takiego jak „Znak" czy „Więź", więc gdyby w Poznaniu powstało, skorzystałoby państwo i Kościół. Czy ten argument zadziałał? A może urok osobisty ojca Konrada Hejmy („ministra spraw zagranicznych", jak go nazywał Babraj), który załatwiał wszystkie sprawy z władzami?

Ojciec Hejmo prowadził wtedy w poznańskim duszpasterstwie niezwykle popularne Trybuny Duszpasterskie na wzór „Trybun obywatelskich towarzysza Szydlaka". Toczono na nich dyskusje o hipisach, seksie, wierze, ateizmie... Po latach, kiedy Hejmę oskarżono o współpracę ze służbami, próbowano podawać to jako przykład „kreciej roboty". Dla Marcina takie oskarżenia były bzdurą.

A więc w marcu 1973 r. stał się cud i władza dała pozwolenie. Babraj wiele myślał nad tytułem pisma. Pewnego dnia wpadła mu w ręce powieść Huysmansa „W drodze". „To jest to! Dobry biblijny tytuł oddający prawdę o kondycji człowieka, będącego w drodze do domu Ojca". Parę dni później dostał list od ojca Jacka Salija z propozycją takiego samego tytułu. Podobno jeszcze innym przyszedł do głowy ten pomysł. Można zaryzykować twierdzenie, że tytuł był owocem zbiorowego objawienia...

Donosy do prymasa

Klasztor i kościół akademicki w Poznaniu, gdzie mieściła się redakcja, był żywym ośrodkiem ekumenicznym. To między innymi zadecydowało o otwarciu miesięcznika nie tylko na Braci Odłączonych, ale również na inne religie, na ludzi poszukujących, wątpiących. Nie wszystkim dominikanom takie soborowe otwarcie się podobało... nie podobał się szczególnie filosemityzm.

– Zaraz na początku naszego istnienia drukowaliśmy teksty Juana Ariasa inspirowane przez teologię wyzwolenia – opowiadał mi ojciec Marcin. – To był znakomity kostium dla pokazania sytuacji w peerelowskiej Polsce. Pewnego dnia otrzymałem w tej sprawie wezwanie do księdza prymasa. Poszliśmy z Kłoczem i Konradem. Wyjaśniłem mu nasze intencje. Spotkało się to z jego aprobatą. Wróciliśmy do klasztoru na Freta, a tam bracia pytają: „Marcin, co powiedział prymas?". Mówię,

że jestem zobowiązany do tajemnicy. A na to Jacek Salij, który lubił sobie pożartować: „Słuchajcie, Marcin wszystko mi zdradził. Na biurku prymas miał po lewej stronie cały stos donosów na nas. Ale powiedział: »Nie martwcie się, psy szczekają, karawana jedzie dalej«". Jeden z ojców, który miał wyraźnie coś wspólnego z tymi donosami, zasłonił się gazetą i tak się trząsł, że gazeta niemal wypadła mu z rąk.

Wydawanie pisma było grą z cenzurą. W grudniu 1984 r. – krótko po zamordowaniu ks. Popiełuszki – Marcin Babraj zamieścił „Litanię do św. Barbary". Cenzura puściła. W litanii z 1944 r. były bardzo aktualne apostrofy: „święta Barbaro, w więzieniu wolna...", „święta Barbaro, męstwo torturowanych, na śmierć nieustraszona...". W odwecie władza zamknęła pismo, a konkretniej: wyrzucono je z drukarni. Na siedem miesięcy.

Wcześniej, w 1979 r., cenzura zablokowała tekst Karola Wojtyły, więc Marcin zdecydował się nie drukować całego numeru, w myśl zasady, że papieża się nie cenzuruje. Został wezwany przez decydenta w Urzędzie do Spraw Wyznań, Aleksandra Merkera. Ten próbował go zastraszyć: „No tak, takie dobre pismo, a przestaje istnieć". Zawiesił głos i czekał na efekt. „Panie dyrektorze, są wartości wyższe niż istnienie pisma" – padła odpowiedź.

Krótki kurs dojrzewania

Urodził się w 1933 r. na Wołyniu w miasteczku Berezne. Na chrzcie otrzymał imię Andrzej. W marcu 1940 r. siedmioletniego Jędrusia wraz z matką i jego dwiema siostrami wywieziono do północnego Kazachstanu. Zamieszkali w Krasnej Polanie.

Codziennym zajęciem chłopca było zbieranie na stepie krowiego łajna. Gromadzili się w domu Emilii Komnackiej, która zwoływała ludzi na różaniec, na godzinki. Kiedy wracali do Polski, pozostający tam ludzie mówili, że przetrzymają najgorsze, byleby mieć księdza.

– Myślę, że moje powołanie – wspominał – miało tam swoje korzenie... Ten bezkres stepów i niebo nad nim – świątynia Boga. Pamiętam, jak ogromne wrażenie robił na mnie widok zesłanych tu Czeczenów i Inguszów – kaukaskich górali, muzułmanów – którzy rozkładali na stepie płaszcze, klękali i modlili się do Allaha.

Wrócili do Polski w 1946 r. Pojechali do Inowrocławia, gdzie mieszkała jedyna siostra matki. – Przyjęła nas z otwartymi ramionami – wspominał. Wkrótce dostali wiadomość, że ojciec zginął rozstrzelany w 1942 r. Był więziony kilka miesięcy na Pawiaku za udział w Związku Walki Zbrojnej. Matka pojechała do Warszawy na ekshumację, zidentyfikować ciało męża... Wróciła zupełnie siwa.

Wojenne przeżycia nie złamały Andrzeja. Moja znajoma, sąsiadka Babrajów w Inowrocławiu, wspomina go jako pogodnego, inteligentnego, przystojnego. I w wiecznym pędzie. Nie do zatrzymania.

W 1953 r. zdał na polonistykę w Poznaniu. Na początku studiów przeżywał kryzys wiary, buntował się przeciwko wszelkim przejawom bizantynizmu w Kościele. Do dominikanów trafił dzięki koleżankom ze studiów. Spotkał tam ojca Joachima Badeniego – arystokratę z ciała i ducha, który miał wielki wpływ na jego decyzję o wstąpieniu do zakonu.

W 1958 r. zaczął pracować w poznańskim „Przewodniku Katolickim". Był pod wielkim urokiem naczelnego, ks. Romana Mielińskiego. Poznał tam wybitne osobowości, które w przyszłości będą podporą dla „W drodze", jak ojca Karola Meissnera (pod jego wpływem początkowo myślał o wstąpieniu do benedyktynów), Romana Brandstaettera, a także Kazimierę Iłłakowiczównę, która kiedyś była sekretarką marszałka Piłsudskiego i twierdziła, że bardziej czuje się urzędniczką niż poetką.

W 1962 r. wstąpił do dominikanów. W 1969 r., po święceniach, wrócił do „Przewodnika Katolickiego". Było to wtedy znakomite czasopismo o zasięgu ogólnopolskim. Niestety, wskutek ludzkiej małości, o której w szczegółach „nie wypada mówić" (słowa ojca Marcina), zwolniono ks. Mielińskiego. Babraj na znak protestu odszedł z redakcji. Zbiegło się to z otrzymaniem pozwolenia na wydawanie „W drodze". W październiku 1973 r. wyszedł pierwszy numer.

Mówić o Bogu

Marcin – polonista rozmiłowany w literaturze – wiedział, że o Bogu nie można mówić w sposób zużyty. Największe prawdy powielane przez martwe wargi na ambonie i w piśmie nic nie zdziałają... Nikt tak nie potrafi mówić o Bogu jak ci, którzy go odnaleźli. Do takich należeli Anna Kamieńska, Brandstaetter, Andrzej Kijowski, który w „Dopiskach do »Wyznań« św. Augustyna" napisał: „Boga szuka tylko ten, kto chce Go znaleźć, a kto Go chce znaleźć, już Go znalazł".

Profil pisma był rozpięty między konserwatyzmem a liberalizmem. Nigdy nie można było zadowolić wszystkich. W założeniu było ono adresowane głównie do świeckich, i to studentów, ale czytali je wszyscy. Posiadało prenumeratorów, którzy mieli lat dwadzieścia, i takich, którzy mieli sto.

Jacek Salij radził Babrajowi, by „pełnił w piśmie rolę proboszcza troszczącego się o pokarm zdrowej nauki dla swoich owieczek". Marcin, erudyta, dostarczał miesięcznikowi teksty największych pisarzy i teologów, takich jak Simone Weil, Yves Congar, Abraham Joshua Heschel, Paul Evdokimov, Romano Guardini...

To, co dla jednych było poszukiwaniem w wierze, dla innych stanowiło bluźnierstwo. Przykład: opowiadania Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którego „W drodze" publikowało jako pierwsze oficjalne wydawnictwo w Polsce. Po ukazaniu się jednego z nich oburzona siostra zakonna napisała: „Prawda – dewiza zakonu dominikańskiego umarła". Marcin musiał się nasłuchać, ale wielka atencja dla Herlinga sprawiła, że drukował go nadal.

Jako ówczesny pracownik „W drodze", pamiętam walkę o tekst Tadeusza Żychiewicza „Pochwała niedoskonałości", który wedle opinii przeciwników siał zamęt. „Bogu nie stawia się pytań" – argumentowali, a jak wiadomo, pan Tadeusz uwielbiał to robić. Tekst w końcu poszedł z komentarzem Jana Andrzeja Kłoczowskiego, który, choć też widział w tekście „herezje", tłumaczył, że klasyków się nie poprawia, co najwyżej komentuje.

Ale bywało, że zamieszczaliśmy też herezje „nie-klasyków", chrześcijan bez Kościoła. Szczególnie pod koniec lat 80., kiedy to próbowaliśmy znaleźć harmonię między „Kościołem nauczającym" a „słuchającym".

Pochwała sprzeczności

Jednym z filarów „W drodze" był Roman Brandstaetter. Mówił, że największą wartością człowieka są drzemiące w nim sprzeczności. Autor jedynej w polskiej literaturze epopei o Bogu „Jezus z Nazarethu" przed wojną był syjonistą przeklinającym Żydów przechodzących na chrześcijaństwo. Spotkanie z Chrystusem przeżył w Jerozolimie w 1944 r. i nazwał je „najwspanialszą smugą Światła". Czytelnicy go uwielbiali. ↦

– Kiedyś przyobiecał – wspominał ojciec Marcin – że da mi do miesięcznika esej „Czterech jeźdźców Apokalipsy". Uradowany przygotowałem już okładkę i pewnego dnia widzę ten tekst w „Tygodniku Powszechnym". Zatelefonowałem do pana Romana i powiedziałem, że jest nielojalny i nieuczciwy. Zawrzał. Zagroził mi w liście, że jeśli natychmiast nie odwołam swojej obelgi, zrywa ze mną wszelkie kontakty. Napisałem do niego list apostolski... Zadzwonił do mnie i zaproponował spotkanie. W trakcie picia becherovki napisał mi dedykację w najnowszym wydaniu „Jezusa z Nazarethu": „Kochanemu ojcu Marcinowi, w dniu pojednania (Jom Kippur)".

Marcin gromadził wokół siebie osoby, które aczkolwiek wyznawały prawdę o „Bogu poszukiwanym", niekoniecznie się nawzajem tolerowały. Na przykład Brandstaetter nie znosił Kamieńskiej... Powtarzał, że wierzy teraz w Matkę Boską Częstochowską tak, jak kiedyś wierzyła w Stalina.

– Tak, mówił o niej „zetempówka" – potwierdził smutno Marcin. – Ale kiedy umarła i powiedziałem mu o tym podczas przypadkowego spotkania na ulicy, stanął jak wryty... Anna Kamieńska, którą znałem, była człowiekiem bardzo wrażliwym i autentycznym, głęboko przeżyła swoje nawrócenie.

Góra i sto kartonów

Jednym z najbardziej znanych wychowanków literackich ojca Marcina był Jan Góra, twórca spotkań lednickich.

– Na początku kazał mi jechać do Krakowa i napisać sprawozdanie z tygodnia ekumenicznego – opowiadał Góra. – Wypociłem solidny, natchniony tekst. Idę do niego zadowolony, zerknął i mówi: „Co tak piszesz, jakbyś ludzkość pouczał, co to jest ekumenizm? Napisz pokorną notatkę prasową". Marcin był akuszerem moich pierwszych opowiadań o klasztorze. Potrafił być bezlitosny, ale redaktorem był świetnym. Niestety, sam nic wielkiego nie napisał, hamował go nadmierny samokrytycyzm. A do pisania trzeba mieć swoistą bezczelność, przekonanie, że to, co mi się w nocy przyśniło czy zdarzyło po drodze do toalety, ma wartość uniwersalną...

Nie pozostawił po sobie książek, znaczących tekstów. Wolał pełnić rolę akuszera. Tłumaczył się prozaicznie: że nie ma czasu na pisanie. Zgromadził za to mnóstwo ciekawych listów, notatek, materiałów zatrzymanych przez cenzurę... Mówił mi, że tych kartonów ma ze sto.

Nie pozostawił po sobie książek, znaczących tekstów. **Wolał pełnić rolę akuszera i promować innych.**

Góra nie mógł mu wybaczyć, że to wszystko usycha i gnije. „Marcin, daj mi te kartony, już ja będę wiedział, co z tym zrobić" – ciągle go prowokował. Z miłością. „Tylko ja mogę nad tym zapanować – opędzał się od niego Marcin. – Zrobię to. To trzeba roztropnie...". Nie zdążył.

Odebrane dziecko

Na początku lat 90. wydawnictwo i miesięcznik zaczęły kuleć. Wolny rynek zawitał także do Kościoła. Dyrektorem „W drodze" został ojciec Maciej Zięba. Babraj został na stanowisku naczelnego miesięcznika. Nie było jednak szans na współpracę ludzi do niedawna tak sobie bliskich. Powody? – bardzo złożone. Efekt wojny dominikańsko-dominikańskiej. Świeccy pracownicy redakcji śpiewali: „Gdzie miłość wzajemna i dobroć"... Niestety pieśni pobożne nic nie pomogły.

– Ojcze, czemu nie może być tak jak w „Tygodniku", gdzie Turowicz był od początku, jest i będzie? – pytałem. – Są rzeczy ważniejsze niż pismo, Jasiu... Są wartości, ludzie.

Odszedł z „W drodze" w lipcu 1995 r. „Odebrano mu jego dziecko" – mówili jedni. „Marcinowi nie dało się pomóc" – argumentowali drudzy. Przeniesiono go z Poznania do Warszawy, na Służew. Tam z pokorą zajął się prowadzeniem gazetki parafialnej: „Dominik nad Dolinką". A potem trafił do Krakowa.

– Nic nie dzieje się bez woli Bożej – wyznał mi po latach. – Ja naprawdę nie żyję jakimś bólem. Moje życie wypełniły wyprawy do Kazachstanu i nie tylko...

Co roku wyprawiał się w Tatry, pomimo chorych kolan i bioder. Mówił, że tam jest bliżej do Boga. Uwielbiał siedzieć na Rusinowej Polanie i patrzeć na horyzont.

„Czy odmawiałem już jutrznię?"

Ojciec Grzegorz Chrzanowski opowiadał mi, jak zaprowadził Andrzeja Madeja, oblata żyjącego w Turkmenistanie, do Marcina. Ten rozpoznał swego dawnego przyjaciela, serdecznie powitał. Madej namawiał go usilnie, żeby opublikował swoje wspaniałe zapiski z Kazachstanu. „Tak, tak" – zapewniał Marcin i nagle poprosił go o numer telefonu, żeby mógł się z nim kontaktować. Zapisał na karteczce i odłożył na biurko. Po chwili sięgnął po nią i mówi: „Widzisz, Andrzeju, myślę o tobie. Mam twój telefon na wierzchu". I wtedy Madej zrozumiał, że Babraj nigdy tych planów nie sfinalizuje.

– Kiedy jechałem do Poznania w 2000 r., by zostać dyrektorem wydawnictwa „W drodze" – wspominał Chrzanowski – ojciec Marcin uśmiechnął się i życzył mi powodzenia. Mówił, że to wielkie dzieło. To było dla mnie bardzo ważne, że założyciel wydawnictwa, jego ikona i legenda, życzy mi dobrze... Nie było w nim rozgoryczenia. Kiedy wróciłem po paru latach, zauważyłem jego zaniki pamięci. Codziennie pytał braci, jaki dzień i czy odmówił już jutrznię. Potem było coraz gorzej.

Mimo dramatycznego startu potrafił stworzyć w życiu tyle dobra. Tyle wielkich rzeczy zbudować. Kiedy umarł i staliśmy w milczeniu przy jego łóżku, panował głęboki spokój, miałem poczucie, że odszedł dobry człowiek. Dobry i spełniony. Wyraźnie to czułem.

Babraj nigdy nie odpieczętował „roztropnie" swoich kartonów. Najważniejsze, że je napełnił. Życiem, ludźmi, których łapał przy każdej okazji dla miesięcznika i dla Boga. Rozmawiał z człowiekiem i nagle: „To ważne, co powiedziałeś: koniecznie napiszesz mi o tym tekst".

Jeden z przyjaciół, do którego zadzwoniłem, by poinformować o śmierci Marcina, zaczął: „Wiesz, moja najważniejsza rozmowa z nim... Gadamy kiedyś w Warszawie, otworzyłem się, a on nagle mówi: Dobrze, potraktujemy tę rozmowę jako spowiedź. A teraz dopełnimy normalnych warunków... Byłem totalnie zaskoczony". Ojciec Marcin przeczuwał, że jego rozmówca do konfesjonału by się nie zgłosił.

Człowiek był drogą Marcina. Droga była całym jego życiem. Miesięcznik „W drodze" był tylko etapem wędrowania. Wszystkie kartony zostały złożone w archiwum Pana Boga.

© JAN GRZEGORCZYK

ZUZANNA

Radzik: *Czuwaj, dzika dziewczynko*

Jak to się stało, że jako dorosła kobieta mam tyle różowych rzeczy? Ucieczka przed różem była ucieczką przed dziewczyńskością. I co za tym idzie, przed całą listą tego, czego nie wolno, a raczej nie wypada. A teraz nagle, gdy już panuję nad sytuacją, gdy już bezpiecznie mi (w miarę) być kobietą, mogę też sięgnąć po róż bezpiecznie. Już nie zagraża, nie spycha w zwiewność, grzeczność i wszystko to, czego się kiedyś bałam. Najlepiej intensywny. Tyle go wokół. Okładka zeszytu, dwa ręczniki, lakier do paznokci, no i jedyne dwie szminki, które czasem noszę, są właśnie dziewczęco różowe. W szafie szalik ukochany, spodenki gimnastyczne, sukienka jedna malinowa, druga pudrowa, trzecia... z tą trzecią to jest nawet historia.

Jechałam na konferencję poważniejszą, niżbym chciała. Wstyd przyznać, ale wtedy pomaga *power dress*. Może być obcas, może być dobrze skrojony żakiet. Pożyczone, znalezione w szafie, nowe. Byle sprawiło, że mogę stawić czoło wyzwaniu. Nie po nią poszłam do sklepu, ale... co za kolor! Kiedy już leciałam następnego dnia w żarówiaście różowej sukience przed kolano, zrozumiałam, że będzie mnie widać na kilometr w morzu garniturów i garsonek. Nie o to chodziło. A potem uspokoiła mnie myśl, że dziś ważna rocznica. Na miejscu zaczęłam słowami: „Dziś jest setna rocznica wywalczenia przez Polki praw wyborczych. Dlatego siedzę przed wami w tak różowej sukience. Świętujmy ten dzień, czyniąc obecność kobiet w życiu publicznym widoczną". A właściwie, użyłam słowa *bold*, jak w edytorze tekstu: wytłuszczoną, soczystą.

W tym kierunku zniosły mnie myśli, gdy w sobotnie popołudnie czytałam książkę dla kobiet, o kwiecistej okładce. Grzebałam tak sobie w duszy, we własnym pokoju, na własnej kanapie, beneficjentka zdobytych przez kobiety praw. Leżałam i czytałam o potulnych dziewczynkach, o tym, co nas karci i dyscyplinuje od wewnątrz. O kobiecym męczeństwie, które daje poczucie znaczenia, szantażując bliskich zaciąganym długiem poświęceń. Przeglądam się w tych postaciach, widzę wokół siebie przyjaciółki, które właśnie z tym się zmagają. Niczym w nowej książce Rebekki Solnit, którą reklamuje cytat: „O ile zdołałam ustalić, być kobietą oznacza wiecznie coś robić źle. A przynajmniej tak jest w patriarchacie".

Z kolei bycie dziewczynką polega chyba na robieniu wszystkiego dobrze. Jeszcze nie masz siły wrzasnąć ***** ***. A świat ciśnie i wie lepiej, jaka masz być. Raport fundacji Kosmos dla Dziewczynek o barierach, na które dziewczynki natrafiają w edukacji systemowej, pokazuje to jasno. Wszystko to kłębi mi się w głowie: dorosłe kobiety noszące w sobie potulne, grzeczne dziewczynki i te dzisiejsze dziewczynki, które, jak piszą autorki raportu, mają moc i potrzebują tylko odrobiny wsparcia od kosmosu. Wsparcia, by nie nauczyły się być grzecznymi, wtłoczonymi w stereotypowe role (a tylko takie są w podręcznikach). By nie uwierzyły, że kobieta ma niższy status społeczny (znów podręczniki). Żeby nie były zbyt przejęte dobrymi stopniami ze wszystkiego i znalazły czas na to, żeby odważnie odkrywać swoje pasje. Nienawidzącymi swojego ciała lub mającymi niską samoocenę wyglądu (81 proc. dziewczyn w wieku 10-17 lat). Chwalonymi za wygląd, a nie za inne wysiłki, dokonania i zasługi (tak twierdzi 57 proc. badanych).

Noszą mnie te myśli, więc idę posprzątać w kuchni. W kolejnej przerwie na myślenie odpalam żelazko. Oprócz sukienek i różu całe życie uciekałam też od prac domowych. Wróciły niedawno, nie jako łańcuch na ludzi płci żeńskiej, którego się tak bałam, lecz medytacyjny moment skupienia i dbałości o siebie. Kręcę się po domu, żeby lepiej myśleć. Natalia de Barbaro – bo to jej książka obok raportu o dziewczynkach dręczy mnie w sobotę – jako wyjście z potulnej dziewczynki proponuje przemianę w dziewczynkę dziką.

Myślę o tym, prawie czterdziestoletnia ja, w różowej sukience prasująca pościel i ręczniki (niektóre również różowe), bo teraz już mogę, teraz to nie zagraża. Myślę, że miałam swoją dziecięcą metodę na dzikość: żeńską drużynę harcerek! Nie, żeby nie było tam patologii hierarchicznego systemu, czy pilnowania długości spódniczek. Ale ile może system, gdy mając 10 lat budujesz z drewna własne łóżko na miesiąc leśnego życia? A potem już tylko gorzej: sikanie na ściółkę, czołganie się pod obóz sąsiadów przez zroszoną łąkę, nagie nocne dziewczyńskie kąpiele w jeziorze, gdy już jesteś w kadrze (i masz normalnie te 16 lat). Wolność, brykanie. Republika dziewczyn z igłami i korą w niemytych od kilku dni włosach. Chucpa jedenastolatek żądających spotkania z burmistrzem, bo dostały poważne zadanie na zwiadzie. Dopiero co minął Dzień Myśli Braterskiej, święto wszystkich skautek i skautów. Czuwaj, dzika dziewczynko, we mnie, w nas! ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Janowie Lubelskim, Wydział I Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie o sygn. akt I Ns 8/19 z wniosku Gminy Janów Lubelski o stwierdzenie nabycia spadku po Elżbiecie Ewie Kędra, córce Ryszarda i Albiny, ur. 23 marca 1973 r. w Turobinie, ostatnio stale zamieszkałej w Janowie Lubelskim, zm. 13 stycznia 2017 r. w Janowie Lubelskim.

W skład spadku wchodzi udział we współwłasności nieruchomości objętej księgą wieczystą nr ZA1J/00070255/6, stanowiący prawo użytkowania wieczystego oraz części budynku i urządzeń znajdujących się w budynku wielorodzinnym zlokalizowanym przy ul. 8 Września, 23-300 Janów Lubelski, na działce o nr. ewidencyjnym 3158/6.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej Elżbiety Ewy Kędra, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Janowie Lubelskim i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

BĘDZIEMY SIĘ KŁÓCIĆ DO KOŃCA ŚWIATA

HANNA RADZIEJOWSKA, DYREKTORKA ODDZIAŁU INSTYTUTU PILECKIEGO W BERLINIE:

Chcemy opowiadać Niemcom o tym, co dla nas ważne. I co jest ważne także dla nich.

ŁUKASZ GRAJEWSKI: Otwarcie oddziału Instytutu w Berlinie było powiązane z otwarciem wystawy stałej o Witoldzie Pileckim. Teraz planujecie jej znaczną przebudowę. Dlaczego?

HANNA RADZIEJOWSKA: Problem polega nie tylko na tym, że dla niemieckich odbiorców jej treść jest trudna, bo dla Polaka pewnie też jest trudna. Problemem w Niemczech jest przede wszystkim fakt, że to i trudne, i nowe. Badaliśmy, czego zwiedzający dowiadują się po raz pierwszy. Okazało się, że praktycznie wszystkiego. I tego, jak Polska wyglądała przed wojną, i historii Kresów. Niemcy oczywiście coś słyszeli o pakcie Ribbentrop-Mołotow, ale rok 1939 to historia nieznana: Intelligenzaktion [operacja przeciw inteligencji, w ramach której w latach 1939-40 zginęło kilkadziesiąt tysięcy Polaków – red.], początki Auschwitz, historia polskich Żydów, historia Polskiego Państwa Podziemnego, Armii Krajowej... No i samo *clou* – historia Pileckiego. Jest tak dużo elementów i jeśli wszystkie są dla odwiedzających nowe, to trzeba się zastanowić, jak przekazać ludziom tę historię w sposób czytelny.

Na pewno uprościć.

Tak, ale nie tracąc treści. Praca ze szkołami i ze zwiedzającymi podsuwa nam nowe pytania i pomysły. Dlatego zaczęliśmy badania stanu wiedzy wśród młodych Niemców, ale nie na zasadzie ankiety z pytaniem o rok bitwy pod Grunwaldem. Wymyśliliśmy warsztaty, na których będziemy oglądać fragmenty polskich i niemieckich seriali i filmów historycznych. Planujemy badanie nie tylko

MARCIN BIELECKI / PAP

Wystawa „Ochotnik. Witold Pilecki i jego misja w Auschwitz" w Instytucie Pileckiego w Berlinie, 31 sierpnia 2020 r.

Polska obecność w Berlinie

PÓŁTORA ROKU TEMU, we wrześniu 2019 r., w centrum niemieckiej stolicy – 200 metrów od Bramy Brandenburskiej – otworzono oddział Instytutu Pileckiego, polskiej państwowej instytucji, która zajmuje się badaniem i popularyzacją XX-wiecznej historii. Niemiecką placówkę prowadzi Hanna Radziejowska – 40-letnia animatorka kultury, pochodząca z rodziny o korzeniach polsko-żydowskich (potomkini ocalałej z Zagłady). Wcześniej była związana m.in. z Muzeum Woli i Muzeum Powstania Warszawskiego. W berlińskiej siedzibie Instytutu można zobaczyć stałą wystawę poświęconą Witoldowi Pileckiemu, którą Radziejowska przygotowała wraz z Jackiem Fairweatherem, brytyjskim dziennikarzem i autorem książki o Pileckim pt. „Ochotnik" (pol. wyd. Znak 2020). Instytut organizuje debaty, seminaria i lekcje dla uczniów związane z polską historią i kulturą XX wieku. © ŁG

znajomości faktografii, ale także zestawu skojarzeń.

Równocześnie znakomicie rozwijają się działania z młodzieżą. Mamy codziennie warsztaty i lekcje online, dość rozległą współpracę z nauczycielami z całych Niemiec. Zgłosił się do nas Senat Berlina [rząd miasta-landu – red.], który wprowadza do swoich wytycznych zalecenie, żeby nas odwiedzano. Zostaliśmy powoli włączeni w krwiobieg edukacji. Takie rzeczy uważam za jedne z najważniejszych.

Ale to nie jest też tak, że zasadniczy problem braku wiedzy o polskiej historii w Niemczech rozwiążemy, realizując rozbudowaną edukację pozaszkolną. Bo generalnie problemem jest nie tylko brak wiedzy o II wojnie światowej. Problemem jest głębsze zrozumienie w ogóle historii i kultury Polski. Przecież to istotne, żeby młodzi Niemcy czytali także Gombrowicza, Miłosza, Herberta albo przynajmniej wiedzieli o ich istnieniu.

Czy to nie nazbyt utopijne? W Polsce oprócz garstki intelektualistów też nikt nie czyta Thomasa Manna.

Polemizowałabym. Obserwowałam moją młodszą o 10 lat siostrę, również w jej szkole obowiązywał pewien kanon kultury i historii Europy i świata, podobnie jak w moich czasach szkolnych. Zresztą Miłosz i Herbert byli tłumaczeni także w Niemczech, i to znakomicie, ale wciąż funkcjonują na obrzeżach europejskiej kultury. Za dużo spraw w relacjach polsko-niemieckich opiera się na wrażeniach i publicystyce. Mamy ciekawe badania, jak „Barometr polsko-niemiecki", ale najwyższy czas, aby przebadać też wiedzę i świadomość w Niemczech na głębszym poziomie.

Pogłębioną edukację zapowiadają też inicjatorzy miejsca pamięci o polskich ofiarach II wojny światowej, które ma powstać w Berlinie. Popiera Pani ten pomysł?

Jestem wielką zwolenniczką budowy pomnika połączonego z miejscem edukacji. To pozwoli opowiadać również o tym, co było po wojnie, o naszych wysiłkach powojennych. Marzę o tym, żeby było więcej instytucji, które będą w Niemczech opowiadać o różnych aspektach polskiej historii lub kultury. Niemcy mają w Polsce dużo swoich organizacji o różnym profilu. I to jest dobre, bo dzięki temu ludzie w Polsce mają dostęp do różnych perspektyw, które funkcjonują w Niemczech. To jest świetnie wymyślone.

Polska tego nie robi. Wasz berliński oddział jest w zasadzie wyjątkiem.

Są Instytuty Polskie, które są częścią korpusu dyplomatycznego. I jest Instytut Pileckiego w Berlinie. Cieszyłabym się, gdyby jeszcze inne polskie instytucje założyły tu swoje placówki.

Skoro jesteście takim rodzynkiem, to pewnie jest oczekiwanie, żeby odwiedzało Was dużo niemieckich VIP-ów.

To teraz trudne, bo kilka miesięcy po otwarciu naszej placówki zaczęła się pandemia. Był taki moment latem 2020 r., gdy pojawił się Arndt Freytag von Loringhoven, nowy ambasador Niemiec w Polsce.

Jakie odniósł wrażenia?

Mieliśmy miłą i ciekawą rozmowę. To była dobra wizyta, dobrze rokująca na przyszłość. Choć zdaję sobie sprawę, że wynikała z sytuacji politycznej.

Podobno odegraliście dla niego rolę „czyśćca", żeby mógł wyjechać na placówkę do Warszawy?

Słyszałam takie określenie, ale dla nas ta sytuacja była po prostu szansą na pokazanie mu naszej wystawy.

A wysłaliście zaproszenie do kanclerz Angeli Merkel? Bo mówi się, że zaprosiliście, ale ktoś jej odradził.

Jak by to powiedzieć... W niemieckiej polityce i dyplomacji jest czasem odczuwalna wstrzemięźliwość, a miejscami ↦

↦ może nawet niechęć wobec współpracy. Przykładowo w rozmowach z dyplomatami słyszeliśmy argumentację, że przekazanie zdigitalizowanej kartoteki członków NSDAP jest „uderzeniem w niemiecką rację stanu"... Nam tę kartotekę w cyfrowej wersji zaproponowało, jako gest dobrej woli, Bundesarchiv, Archiwum Federalne. Widać, że po drugiej stronie to trudne tematy.

Zastanawiam się czasem, dlaczego niektóre polityczne, państwowe instytucje w Niemczech traktują nas, jakbyśmy byli zagrożeniem. Zwykle uważa się, że to Polacy są wrogo nastawieni do Niemców.

Z pewnością dla wielu problemem jest fakt, że zostaliście powołani za rządów PiS.

Jesteśmy instytucją publiczną finansowaną z budżetu, ale za budżetowe pieniądze została również wydana książka „Dalej jest noc" – bo nie tylko Centrum Badań nad Zagładą Żydów jest ośrodkiem Polskiej Akademii Nauk, ale sama książka dostała specjalny półmilionowy grant – i także za budżetowe pieniądze zbudowano Muzeum POLIN. Oczekiwałabym, żeby patrzono na to, co robimy. Działamy, więc można się do nas odnieść merytorycznie.

Problem ten był widoczny już podczas inauguracji Pani placówki w 2019 r. Z Polski przyjechało dużo gości oficjalnych, także wicepremier Piotr Gliński. Zabrakło natomiast przedstawicieli niemieckich i berlińskich władz.

Byli zaproszeni i nie przyszli. Pojawiły się argumenty, że zaproszenia dostali za późno, podczas gdy były one wysyłane z dużym wyprzedzeniem. Może nasze otwarcie było zaskoczeniem dla Niemców. Ale w sumie dla nas też, bo przygotowaliśmy wszystko to w pół roku, spiesząc się, by zdążyć na 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej.

Gdy pracowałam w Muzeum Powstania Warszawskiego, miałam podobne doświadczenia. Na początku jego działalności w niemieckiej prasie źle pisano o Muzeum i traktowano je jako zagrożenie, coś o antyniemieckim wydźwięku. Czy każda polska instytucja, która opowiada o polskim doświadczeniu historycznym, jest potencjalnie wymierzona w Niemcy? Dla mnie to dziwne podejście.

Teraz, po ponad roku naszej działalności w Berlinie, myślę, że udaje się to przełamywać. 90 proc. naszych odbiorców to Niemcy. Na debacie, którą zorganizowaliśmy przy okazji Dnia Pamięci o Ofiarach Holokaustu, były Michaela Küchler, rządowa pełnomocniczka ds. pamięci o Holokauście, oraz Deborah Hartman, dyrektorka muzeum Dom Konferencji w Wannsee. Mieliśmy 300 osób. Współpracujemy z wieloma instytucjami, naukowcami, twórcami. Jest wymiar polityczny i jest wymiar społeczny, relacji codziennych. I ten drugi obszar to naprawdę wiele wspaniałych spotkań, dyskusji i współpracy. Może właśnie to jest najważniejsze – budować przez oddolne długotrwałe relacje?

Czy instytucje i osoby, które się do Was zgłaszają, też pytają o związki z polskim rządem?

Na początku takich pytań było dużo. Z czasem widzą, co robimy, uczestniczą w naszych wydarzeniach i tych pytań jest mniej. Usłyszałam przykładowo, że jesteśmy sympatyczną, uśmiechniętą twarzą reżimu (*śmiech*).

Co mówicie tym, którzy krytykują Was za to, że jesteście instytucją państwową?

Powtarzam tę odpowiedź jak katarynka: w ubiegłym roku komisja kultury w Sejmie debatowała na nasz temat. Tam zasiadają posłowie wszystkich opcji i wszyscy nas chwalili. Można wejść na stronę Sejmu i przeczytać stenogram. Jak mówił Piłsudski: „Nie jestem tutaj dla lewicy czy prawicy, jestem dla całości". Poza tym w Niemczech jest też wiele państwowych instytucji, fundacji finansowanych z budżetu federalnego czy landowego, z którymi polska strona współpracuje.

Odwiedził Was ktoś z polskiej opozycji?

Jeszcze przed restrykcjami koronawirusowymi był Leszek Balcerowicz. Poza tym przylatują rządowe delegacje do Berlina, które mają na liście wizyt nasz Instytut. W życiu nie poznałam tylu polityków, co przez ten rok.

Czy interesuje ich życiorys Pileckiego?

Politycy są zazwyczaj bardzo zmęczeni. Miałam jednak kilka wizyt, podczas których było widać duże zainteresowanie.

To kto był taki aktywny?

Bardzo przyjemna była wizyta Szymona Szynkowskiego vel Sęka [sekretarz stanu w MSZ – red.]. Był tak zainteresowany, że poprosił nawet o wysłanie wszystkich tekstów na maila. No po prostu marzenie kuratora (*śmiech*).

Planujecie także wystawę dotyczącą współczesnych wydarzeń na Białorusi. Jak to się ma do Waszej podstawowej działalności?

Witold Pilecki jest patronem wszystkich korespondentów wojennych. Działał w najtrudniejszej do wyobrażenia sytuacji i dawał świadectwo, podobnie jak Emanuel Ringelblum [twórca archiwum getta warszawskiego – red.]. Ten pomysł podsunęło Muzeum Auschwitz i Jack Fairweather: że Witold Pilecki mógłby być patronem konkursu na międzynarodowego korespondenta wojennego.

Albo wzorem dla białoruskich aktywistów, którzy relacjonują przebieg protestów?

Dokładnie. Pilecki jest patronem dawania świadectwa w skrajnych warunkach. Pochodził zresztą z terenów dzisiejszej Białorusi. A dla nas ważne jest nie tylko pokazywanie polskiej perspektywy na wiek XX, lecz także szerzej: perspektywy Europy Środkowo-Wschodniej.

Również w Polsce Pilecki nie jest bohaterem pierwszoplanowym. Skąd poczucie, że jego historia przebije się w Niemczech?

Raport Pileckiego został po raz pierwszy wydany w Polsce w 2000 r. To pokazuje, jak późno przywróciliśmy tę historię w naszym kraju. Systemy autorytarne wymazują pamięć i odbierają historię. Demokratyczne wartości opierają się także na tych dwóch fundamentach, historii i pamięci. Polskie doświadczenia mają tyle elementów uniwersalnych. Dlaczego Pilecki ma być tylko bohaterem Polski? Jest jednym z większych bohaterów w Europie. Choć zdaję sobie sprawę, że na słowo „bohater" szczególnie w Niemczech ludzie dziwnie reagują. On jest świadkiem, ale też człowiekiem, który reagował na zło i robił wszystko, aby je powstrzymać.

Mamy już inne ikoniczne postacie, jak choćby Władysław Bartoszew-

ski czy Jan Karski. Zastanawiam się, na ile wiedza o takich postaciach dociera do przeciętnego Kowalskiego w Polsce czy Schmidta w Niemczech.

Nie potrafimy opowiadać naszej historii tak, żeby była czytana na świecie. Kto pisze o Polsce? Timothy Snyder i Jack Fairweather. Historie Ireny Sendlerowej czy Karskiego również były odkrywane przez ludzi na świecie i dopiero wtedy wracały do Polski. To też pokazuje, jakie mamy kompleksy, i że brakuje nam odwagi, aby dostrzegać pewne rzeczy i je badać.

Chcecie zajmować się także badaniem nierozliczonych zbrodni niemieckich z czasów II wojny światowej. Dlaczego?

To było moje odkrycie w 2014 r., gdy prowadziłam jeszcze Muzeum Woli w Warszawie. Organizowaliśmy wiele działań animacyjnych z mieszkańcami i podczas tych akcji zawsze chcieli oni opowiedzieć o rzezi Woli. Ta dzielnica to dziś wielki plac budowy w Warszawie, ale z drugiej strony wciąż widoczne są tam miejsca zbrodni, takie niedookreślone „niemiejsca".

Zaczęłam się wtedy zastanawiać, czym jest trauma w przestrzeni miejskiej, w lokalnej społeczności. Wola to miejsce, gdzie w sierpniu 1944 r. w trzy dni wymordowano kilkadziesiąt tysięcy ludzi. To była kara za wybuch powstania warszawskiego. Byłam świeżo po lekturze „Eichmanna w Jerozolimie" Hannah Arendt, gdzie dużo pisze ona o sprawiedliwości, o potrzebie karania zbrodniarzy, przez co ofiary odzyskują swoją godność. Arendt krytykowała, że z procesu Eichmanna zrobiono proces nad całym antysemityzmem, a tak naprawdę kluczem dla niej było to, że konkretny człowiek musiał ponieść odpowiedzialność i zderzyć się z czynami, których dokonał. Wtedy, w 2014 r., zrobiliśmy wystawę na podstawie zeznań Heinza Reinefartha, kata Woli, i innych żołnierzy niemieckich.

Za zbrodnie podczas powstania warszawskiego nikt nie został ukarany.

Może cztery osoby, z czego dwie dostały po siedem lat, a dwie po pół roku. Dla mnie to odwrotność tego, o czym mówi „Eichmann w Jerozolimie". Każdy, kto czyta po raz pierwszy o zbrodniach podczas II wojny światowej, myśli, że gdy wojna się skończyła, wszyscy winni zostali pewnie ukarani. Tak podpowiada nasze poczucie sprawiedliwości. A potem odkrywa, że tak się nie stało. I to nie jest tylko historia Woli i Warszawy. To historia małych miejscowości, wsi, gdzie terror wobec ludności cywilnej był codziennością. To także historia Holokaustu. Ukarano zaledwie 10 proc. załogi Auschwitz-Birkenau, tego największego obozu zagłady i obozu koncentracyjnego. Wśród załóg innych obozów było to 3-5 proc. ukaranych.

ŁUKASZ GRAJEWSKI

HANNA RADZIEJOWSKA:

Badaliśmy, czego zwiedzający naszą wystawę dowiadują się po raz pierwszy o Polsce. Okazało się, że praktycznie wszystkiego.

Zbieramy i digitalizujemy zasoby archiwum w Ludwigsburgu [centralne archiwum dokumentujące zbrodnie III Rzeszy – red.], archiwa landowe i pomniejsze. W dokumentach ze śledztw widać, jak były prowadzone: czasem lepiej, czasem gorzej, ale praktycznie wszystkie kończyły się uniewinnieniem podejrzanych. Ta historia ma również poważne skutki psychologiczne: ofiara, która nie zaznaje sprawiedliwości, doświadcza tzw. podwójnej wiktymizacji.

Tego nie da się już nadrobić. Przychodzi do Was ambasador von Loringhoven i nie możecie mu powiedzieć, że jego ojciec jest przykładem nierozliczonych zbrodni...

Moim zdaniem jego ojciec nie.

Przecież do ostatnich dni wojny wspierał machinę III Rzeszy, służył w bunkrze Hitlera.

Tak, to jest współuczestnictwo w systemie Trzeciej Rzeszy, ale nie był zbrodniarzem wojennym. Trzeba rozróżniać. Byli ludzie, którzy pełnili różne funkcje w aparacie terroru III Rzeszy i byli winni konkretnych zbrodni. I był Wehrmacht, który oczywiście też dokonywał zbrodni, ale istnieje tu pewna gradacja. Skupiam się na tym pierwszym poziomie, np. lokalnych szefach Gestapo i żandarmerii.

I co chcecie z tym robić?

Podam przykład: dotarliśmy do syna szefa żandarmerii, który stacjonował w Sokołowie. On ma całe archiwum ojca, z listami, dokumentami itd. Bardzo chce nam pomóc i przekazuje nam te dokumenty. Ale widać, że się boi. Jak dzwoni, to z zastrzeżonego numeru, jak nam coś wysyła, to nie ma jego adresu. Kontaktujemy się z nim przez księdza we wsi.

Czego się obawia? Nikt go nie pociągnie do odpowiedzialności za ojca.

Zapewne jakąś rolę odgrywa emocjonalna więź z ojcem. Ale z drugiej strony widzę u niego zrozumienie, że to ważne materiały dla badania tego, co się wydarzyło. Ta sytuacja pokazuje nam również, że po wojnie ci ludzie, zbrodniarze, zachowali listy, dokumenty, rozkazy. Nie było żadnego nacisku ze strony państwa niemieckiego, aby te rzeczy pozyskać.

Co chcecie osiągnąć takimi działaniami?

Aspekt karny jest zamknięty, ale nie są zamknięte badania historyczne. Uważam, że należy przywrócić twarze – z jednej strony ofiarom, ale i nazwać tego, kto dokonał zbrodni. Bo to jest szara strefa w polskiej pamięci. W jakimś mieście stacjonowała niemiecka żandarmeria i był jakiś komendant, który po wojnie zniknął z pamięci. Jeśli te rzeczy nie zostały nazwane, to znaczy, że zabrakło sprawiedliwości. Dziś sprawiedliwością może być edukacja i badania naukowe. To trudny proces, który trwa i wymaga otwartości oraz rzetelności. ↦

Ale jeszcze raz zapytam: co chcecie z tymi wynikami zrobić?

W tym roku zaczynamy duży międzynarodowy program o sprawiedliwości w czasach powojennych, który zakończy się publikacją. Z kolei w obszarze edukacji pracujemy np. nad grą komputerową, w której gracz wciela się w prokuratora działającego we Flensburgu w latach 60. XX w.: jako uczeń Fritza Bauera [jednego z niewielu prokuratorów w zachodnich Niemczech, którzy poważnie traktowali ściganie zbrodniarzy wojennych – red.], a zarazem reprezentant pokolenia '68 i idealista, ma tydzień na to, aby złożyć jeszcze raz dokumenty w sprawie Reinefartha. Gra, oparta na archiwach, przypomina rozwiązywanie zagadki kryminalnej, ma różne możliwe zakończenia, wszystko zależy od gracza.

Celem tej gry jest próba nie tylko mądrego opowiedzenia samej historii, losów mieszkańców Woli, ale opowiedzenia jej przez zaproszenie do odkrywania jej samemu, do myślenia i zadawania pytań.

Nie obawiacie się, że może wyniknąć z tego nowy skandal, że polska rządowa instytucja chce uczyć Niemców, jak mają się rozliczać?

To nie tak, że zaczynamy tu coś nowego. Badania na temat nieukaranych zbrodni to szeroki nurt w niemieckiej nauce. Nie mam poczucia, że nasza działalność kogoś zaskoczy. Gdy o tym mówimy, jest to tutaj przyjmowane z absolutnym zrozumieniem.

Chcemy skupić się na polskich aspektach. I chcemy opowiadać o czymś, co dla nas ważne. I co jest ważne dla Niemców. W pewnym sensie nasza działalność, ale też dyskusja wokół pomnika polskich ofiar niemieckiej okupacji w Berlinie, to część większego procesu w Niemczech: odkrywania, czym były zbrodnie III Rzeszy. Na początku demokratyczne Niemcy przepracowywały Holokaust. Dom Konferencji w Wannsee powstał w 1992 r., Pomnik Pomordowanych Żydów Europy stanął w Berlinie dopiero 15 lat temu. A muzeum Topografia Terroru otworzyło się w pełnym wymiarze dopiero kilka lat temu.

Każde z tych otwarć poprzedziło wiele lat debat.

W niemieckiej polityce i dyplomacji jest czasem niechęć do współpracy. Słyszeliśmy argument, że przekazanie nam zdigitalizowanej kartoteki NSDAP to „uderzenie w niemiecką rację stanu".

Oraz awantur. W tym kontekście dyskusje i kontrowersje wokół pomnika polskich ofiar nie są czymś nadzwyczajnym. A naszą działalność widzę jako uzupełnianie tego procesu badawczego. Najpierw problem trzeba gruntownie zbadać. W Polsce szuka się cudownego rozwiązania problemów. Zróbmy film i wszystko się zmieni... Zanim przykładowo w „popkulturze" wieku XIX Sienkiewicz napisał „Trylogię", potrzebna była cała szkoła badawcza w Krakowie, która analizowała okres upadku Rzeczypospolitej.

Nierozliczenie zbrodni wojennych przez samych Niemców to największy problem relacji polsko-niemieckich?

O tę wojnę będziemy się kłócić do końca świata. To była apokalipsa. Niejeden spór będzie nas tu jeszcze rozgrzewał.

Ważne jest dla mnie, aby w Niemczech uczono o Polsce – tak jak uczy się o Francji. Bo polskie doświadczenie wieku XX jest wyjątkowe i kluczowe dla zrozumienia obu totalitaryzmów. Podobnie jak w ogóle doświadczenie całej Europy Środkowo-Wschodniej.

Zachodnie społeczeństwa nie widziały Holokaustu z bliska. Dam taki przykład: na Zachodzie ikoną jest Anne Frank, to wielka i tragiczna historia. Zwróćmy uwagę, że gdy już niemal wszyscy Żydzi w Polsce zginęli, a Ringelblum zakopał swoje archiwum, to wtedy Anne Frank zaczęła pisać dziennik i ukrywać się wraz z całą rodziną. I cały świat uczy się tej historii bogatej rodziny ukrywającej się w trzypokojowym mieszkaniu, ale nie ma świadomości, jak Holokaust wyglądał w Polsce, na wschodzie Europy. Archiwum Ringenbluma w Niemczech jest wciąż nieznane, to *terra incognita*. Ważne są pomniki, ale istotne jest też konkretne działanie, które przywróci równowagę w świadomości historycznej o wschodzie i zachodzie Europy. Ten podział jest wciąż obecny.

Powstała już seria polsko-niemieckich podręczników do historii. Na razie nie wiadomo, czy zostaną wdrożone.

To dobre podręczniki i ważna inicjatywa, choć pamiętajmy, że podręczniki są dodatkową propozycją dla poznania polsko-niemieckiej historii. Sam proces ich tworzenia, rozmowy historyków to wielka wartość. Natomiast przed nami jest badanie podręczników do historii przygotowujących do niemieckiej matury, które są używane na co dzień w szkołach. W kompendiach dla niemieckich maturzystów nie ma np. w ogóle Solidarności. Jest tylko Okrągły Stół. Bez edukacji w szkołach możemy robić tysiąc projektów, a następne pokolenia będą mieć dalej zerową wiedzę o Europie Środkowo-Wschodniej.

Gdyby miała Pani możliwość dodania jednej strony o Polsce do niemieckich podręczników, co by to konkretnie było?

Podzieliłabym tę stronę na kilka fragmentów.

Dostaje Pani trzy okienka.

Pierwsze okienko jest o przedwojennej Polsce. Jaki obszar, ludność, ogromny wysiłek modernizacyjny, że była Gdynia, równocześnie nawiązanie do Bauhausu...

Już się miejsce skończyło. Poproszę kolejne okienko.

To II wojna światowa, gdzie od początku są zbrodnie, jak Intelligenzaktion. Dałabym informacje o Państwie Podziemnym i AK, która do końca walczyła. Oraz powstanie w getcie, Ringelbluma, powstanie warszawskie. I że po wojnie wpadliśmy w komunizm.

A trzecie okienko?

To powstanie Solidarności, ale z informacją, że wcześniej był rok 1968, 1970 i 1976.

Rozmawiał w Berlinie

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Sahib Chan stoi przed domem ze swoimi dziećmi. Za nim motorynka, dzięki której zarabia na życie. Czarahi Kambar, luty 2021 r.

Byle przeczekać zimę

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KABULU

Nasilająca się znowu wojna i kryzys gospodarczy wywołany przez koronawirusa uderzają w Afganistan. Teraz prognozowana jest susza. W nędzy żyje coraz więcej ludzi.

Motorynka stoi zaparkowana przy glinianym domu. Nie jest pierwszej młodości. To główne źródło dochodu 25-letniego Sahiba Chana. Wozi nią produkty spożywcze, takie jak mąka czy ryż, z pobliskiego bazaru do sklepów, często w okolicznych wsiach. Zarabia nam tym grosze – dziennie od 100 do 200 afgani (równowartość od ok. 5 do 10 zł) – ale przynajmniej można za to kupić trochę jedzenia. Wszystko pod warunkiem, że ma zlecenie.

Zimą zawsze było mniej pracy, ale Sahib Chan nadrabiał to w trakcie pozostałych miesięcy. Jednak w zeszłym roku sezon był martwy za sprawą kryzysu wywołanego przez epidemię. Handlarze na bazarach i ci z hurtowni woleli sami rozwozić swoje towary, by trochę przyoszczędzić. Ucierpieli na tym drobni dostawcy, tacy jak Chan.

– Podczas kwarantanny nie było pracy. Siedzieliśmy w domach od rana do nocy – mówi.

Sahib Chan mieszka od 12 lat w Czarahi Kambar. To jeden z ok. 50 obozów uchodźców wewnętrznych, które znajdują się w niemal sześciomilionowym Kabulu, stolicy Afganistanu. Mieszkańcy Czarahi Kambar podejmują się każdej pracy. Jedni czyszczą buty na ulicy; drudzy sortują śmieci i sprzedają te, za które można coś zarobić; niektórzy są dostawcami. Często robią wszystkie te rzeczy naraz, także ich synowie i córki.

Z powodu braku pracy Chan, jego żona i piątka dzieci spożywają tylko dwa posiłki dziennie. Posiłek oznacza zazwyczaj kawałek chleba na osobę. Chan mówi, że przez niedożywienie ma problemy z żołądkiem. – Jeśli pięć, sześć osób z naszej rodziny nazbiera wystarczająco dużo plastiku, to kupimy kilogram ziemniaków. Dzięki temu możemy w ciągu tygodnia zjeść dwa posiłki, które nie są chlebem – stwierdza.

Chciałby mieć pracę choćby trzy razy w tygodniu, bo to wystarczyłoby, żeby nakarmić rodzinę. Nie może jednak liczyć nawet na to, ponieważ w Afganistanie w ogóle trudno znaleźć zatrudnienie. Bezrobocie wynosi niemal 38 proc. Chan liczy, że gdy nadejdzie wiosna, będzie mu łatwiej znaleźć jakieś zajęcie. ↦

Najtrudniejsza pora roku

Sahib Chan stoi w pobliżu domu, a wokół niego biegają jego kilkuletnie dzieci. Bawią się głównie w błocie, a także latawcami zrobionymi z patyków i torebek foliowych. Większość z nich jest brudna i ma zdarte ubrania, zazwyczaj biegają w poniszczonych klapkach. Choć zima w tym roku jest wyjątkowo ciepła, bo w lutym temperatura w mieście dochodzi aż do 20 stopni Celsjusza, to nocą spada w okolice zera.

Dla mieszkańców obozu Czarahi Kambar ta pora roku jest najtrudniejsza. Nie stać ich na ciepłe ubrania, porządne buty ani na piece, którymi mogliby ogrzać swoje nieszczelne domy. – Opalamy za pomocą plastiku i starych butów, które pozbieramy na ulicy – mówi Chan.

Nie we wszystkich oknach są szyby, często zastępują je niedopasowane płyty pilśniowe. Niska jakość materiałów powoduje, że duże opady śniegu lub deszczu robią w nich dziury, a obozy zamieniają w bajora pełne błota. Nie wszyscy wytrzymują niskie temperatury. W 2012 r. w obozie Czarahi Kambar zamarzło przynajmniej piętnaścioro dzieci. – Z tego powodu praktycznie co roku tracimy ich kilkoro – przyznaje Chan.

Tym razem jednak pogoda była łaskawa dla mieszkańców i do tragedii nie doszło, bo zimy praktycznie nie było.

Połowa potrzebuje pomocy

Ulice Kabulu są dziś pełne ludzi. Od dawna nie ma śladów po zeszłorocznej kwarantannie. Sklepy i lokale usługowe działają, nikt nie zakłada masek ani nie musi obowiązkowo pozostawać w domu. Według oficjalnych danych dziennie odnotowywanych jest tylko od kilkunastu do dwudziestu kilku nowych zakażeń koronawirusem w skali kraju. Liczba wykonywanych testów w ciągu doby jednak oscyluje wokół tysiąca. Do wielu miejsc lekarze nie docierają. Kabul został otwarty jeszcze latem zeszłego roku.

Mimo to skutki kryzysu wywołanego przez COVID-19 są odczuwalne cały czas. Od 70 do 90 proc. mieszkańców tego 40-milionowego kraju żyje dziś poniżej progu ubóstwa. To znaczy, że na przeżycie musi im wystarczyć mniej niż dwa dolary dziennie. Według danych ONZ co czwarty Afgańczyk cierpi z powodu głodu. Od początku 2020 r. niemal podwoiła się liczba ludzi w potrzebie – obecnie wynosi łącznie 18,4 mln. Prawie połowa afgańskich dzieci będzie w tym roku niedożywiona.

„Czterdzieści lat wojny i przesiedleń, w połączeniu ze wstrząsami klimatycznymi, a teraz także COVID-19, sprawiły, że prawie połowa ludności potrzebuje natychmiastowej pomocy" – mówił podczas wystąpienia online Ramesh Rajasingham na początku lutego. Pełni on obowiązki asystenta sekretarza generalnego ONZ ds. humanitarnych i zastępcy koordynatora ds. pomocy w sytuacjach kryzysowych.

Na kontynuację działań humanitarnych w Afganistanie potrzeba 1,3 mld dolarów. W dniu wystąpienia Rajasinghama państwa zagraniczne przekazały raptem 38 mln dolarów.

Załapać kilka dniówek

35-letni Mohammad Sarwar nie martwiłby się tym, że tej zimy jest tak mało pracy, gdyby nie to, że podobnie jak Chanowi wcześniej przepadł mu cały sezon. – Przez to nie udało mi się zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, by mieć na jedzenie w ciągu zimy – mówi Sarwar.

Raz dziennie jego rodzina – żona i piątka dzieci – mogą pozwolić sobie na ziemniaki z marchewką. Na śniadanie i kolację jedzą chleb.

Sarwar pracuje w budowlance, zajmuje się wykończeniem wnętrz. Przy dobrej koniunkturze za taką pracę zdarza mu się otrzymać niezłą dniówkę, jak na płace robotników w Afganistanie. Gdy dwa lata temu podpisał kontrakt, nie dość, że pracował codziennie, to jeszcze dostawał 1000 afgani (równowartość 48 zł) za dzień. Niewykwalifikowany robotnik zazwyczaj otrzymuje trzy razy mniej. Wówczas Sarwar odpowiadał za wykończenie wszystkich mieszkań w budynku.

– Nie tylko ja miałem pracę dla siebie, ale też zatrudniałem ludzi, żeby to wszystko zrobić. A teraz nawet nie mogę załapać się na kilka dniówek w tygodniu – przyznaje Sarwar.

Jeśli jest zapotrzebowanie na jego usługi, to wystarczy mu sześć miesięcy intensywnej pracy w ciągu roku, żeby jakoś związać koniec z końcem także przez pozostałe miesiące. Dwa lata temu przepracował aż dziewięć miesięcy, co wspomina niemal z rozrzewnieniem. – Mieliśmy dużo jedzenia – mówi i uśmiecha się spod wąsa.

To jednak przeszłość. Zeszły rok był beznadziejny, a ten, choć rozpoczął się od dobrej pogody, nie jest lepszy.

Oczekiwanie

Mohammad Sarwar stoi na moście w południowej części Kabulu. Codziennie przychodzą tu osoby szukające pracy, które liczą, że zostaną zatrudnione przez właścicieli budynków lub kierowników budowy przynajmniej na jedną dobę. Na moście można nająć robotników niewykwalifikowanych, ale też takich z konkretnym fachem, jak elektryków czy malarzy.

Niektórzy oczekujący na pracę przyjeżdżają na rowerach, w koszykach wioząc swoje niezbędne narzędzia. Sarwar wynajmuje nieduże pomieszczenie, gdzie wraz z innymi robotnikami przechowuje sprzęt. W worku ma narzędzia, które zabiera ze sobą do pracy.

Na most codziennie przychodzi kilkadziesiąt osób. Gdy spotykam Sarwara chwilę po czternastej, na moście jest już tylko kilkunastu pracowników liczących, że jeszcze dostaną jakieś zlecenie. Na koniec udaje się to kilku. Reszta wraca do domu z niczym.

Teraz w ciągu całego tygodnia Sarwar zazwyczaj pracuje tylko przez dzień lub dwa. Otrzymuje stawki nawet dziesięciokrotnie niższe w porównaniu z tymi, które zarabiał dwa lata temu. Przez to ledwie starcza mu na autobus, by dojechać na most, a potem wrócić do domu.

– Żyjemy bez nadziei, niezależnie od tego, czy jest się bogatym, czy nie, bo ciągle trwa wojna, a przyszłość jest niepewna – mówi mężczyzna. – Nikt nie chce ryzykować i inwestować swoich pieniędzy w takich okolicznościach. A jeśli nie ma inwestycji, to my jesteśmy bezrobotni.

Mówi o robotnikach stojących wokół niego. Dodaje, że jeśli sytuacja się uspokoi, będzie więcej szans na zatrudnienie. Ale czy się uspokoi? – Nie wierzę, że wojna się skończy, co najwyżej może się toczyć na mniejszą skalę i będzie mniej przemocy – stwierdza gorzko.

Biedni, więc bezpieczni

W domach z gliny i w namiotach na terenie Czarahi Kambar zamieszkują tysiące ludzi pochodzących głównie z południowego Afganistanu. Od lat mieszkańcy tych terenów są nękani nieustającymi starciami między talibami a siłami rządowymi.

Powyżej: Mohammad Sarwar ma swoje narzędzia zawsze w pogotowiu. Liczy, że wkrótce ktoś go zatrudni. Kabul, luty 2021 r.

Dzieci w obozie Czarahi Kambar żyją w strasznej biedzie. Ich rodziców nie stać nawet na ciepłe ubrania i zimowe buty. Luty 2021 r.

Sahib Chan spędził w Czarahi Kambar niemal połowę życia. Mieszka tu wraz z rodziną i krewnymi – łącznie to jakieś 70 osób. Z rodzinnej prowincji Helmand wyjechali wszyscy. Mimo pogarszającej się sytuacji w Kabulu – spowodowanej codziennymi zamachami z użyciem bomb pułapek i strzelanin, a także trudną sytuacją ekonomiczną – Chan nie żałuje, że wyjechał z Helmandu. – Wolę być tutaj. Są bomby i bywa niebezpiecznie, ale nie w naszym obozie. Tu wszyscy się znamy – przyznaje.

Obóz nie ma żadnych straży. To rzadko spotykany widok w Kabulu, który pełen jest posterunków, wysokich i grubych cementowych murów oraz uzbrojonych ochroniarzy pilnujących budynków lub przewożących osobistości w konwojach.

Chan tłumaczy, że z powodu panującej nędzy Czarahi Kambar nie jest celem, który interesowałby złodziei czy zamachowców. Jak podliczyła afgańska telewizja ToloNews, w pierwszej połowie lutego w całym kraju z powodu bomb pułapek i zabójstw zginęły 172 osoby, a 148 raniono. Do wielu z tych incydentów doszło właśnie w Kabulu. Ich ofiarami padają często przedstawiciele władz, struktur siłowych, dziennikarze i aktywiści.

Sarwar mówi, że bardziej niż wybuchów boi się biedy: – Bomby pułapki i ataki talibów zabijają nas bezpośrednio. Natomiast bieda i bezrobocie robią to pośrednio, to dużo straszniejsze.

Susza na horyzoncie

Chan i Sarwar liczą jednak po cichu, że wkrótce sytuacja się ustabilizuje i ten rok, mimo słabego początku, będzie lepszy niż feralny 2020.

Choć dla mieszkańców obozu Czarahi Kambar łagodna zima była wybawieniem, to nie wróży na przyszłość nic dobrego, szczególnie że w 2020 r. spadło mało deszczu. Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji ostrzega, że po recesji i w sytuacji pogarszającego się bezpieczeństwa w kraju w kolejnych miesiącach może jeszcze wystąpić susza, przez co nawet jedna trzecia mieszkańców Afganistanu będzie zagrożona głodem.

Trzy lata temu zimą także brakowało śniegu, później opady deszczu też były nieznaczne. W kraju, gdzie aż 60 proc. społeczeństwa utrzymuje się z rolnictwa, a 80 proc. upraw zależy od tego, czy jest dość wody z opadów, doprowadziło to do katastrofy. Z powodu suszy 250 tys. ludzi musiało opuścić swoje domy. Tym samym wpływ suszy na przesiedlenia ludności był większy niż trwający cały czas konflikt zbrojny. Spowodowała, że w ciągu jednego roku dwukrotnie wzrosła liczba ludzi w potrzebie.

Teraz, po tylu następujących po sobie kryzysach, kolejna susza może mieć równie opłakane skutki.

– W przeciwieństwie do innych, którzy z niecierpliwością wyczekują śniegu i deszczu, jesteśmy bardzo szczęśliwi, że jest tak ciepło. Nas nie stać na to, żeby przetrwać mrozy – rzuca Chan.

Wsiada na motorynkę, bo musi coś pilnie załatwić. Może nareszcie dostanie jakieś zlecenie.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Współpraca ALISZER SZACHIR

Plac zabaw, Nairobi, 2018 r.

Kawangware jest wszędzie

TEKST I ZDJĘCIA: ARTUR GUTOWSKI
Z NAIROBI (KENIA)

Już niedługo dwie trzecie mieszkańców nowych miast w Afryce będzie zasiedlać uboższe dzielnice. Oto spacer po jednej z nich.

Kiedy kilka lat temu Moffat przybył do Kawangware, nie wiedział, z jakimi trudnościami będzie się mierzył. Od dłuższego czasu śledził kenijskie statystyki dostępu do wody, edukacji, a przede wszystkim opieki medycznej. Okręg Kawangware – położony w zachodniej części Nairobi, ponad czteromilionowej stolicy Kenii – wypadał w nich najgorzej. Wielu jego mieszkańców to analfabeci. Z powodu źle funkcjonującej kanalizacji często chorują. Ich wiedza na temat chorób, także tych przenoszonych drogą płciową, jest znikoma.

Moffat postanowił to zmienić. Dzięki poznanym na studiach ludziom z Wielkiej Brytanii, USA czy Francji zebrał fundusze i założył FreMo – klinikę, w której odtąd każdego roku rodzi się ponad 200 dzieci. – Największą aspiracją jest znalezienie rozwiązań dla przeszkód, które napotykasz osobiście lub jako społeczność. To największa pasja, która wymaga wizji, celu i wsparcia – mówi mi Moffat.

Klinika

Do Moffata najlepiej pojechać taksówką – do niedawna Kawangware było jedną z najbardziej niebezpiecznych dzielnic Nairobi. Wciąż lepiej nie rzucać się tu w oczy, nie afiszować z aparatem fotograficznym czy zegarkiem na ręku. Dzielnica rozrosła się dzięki położeniu w pobliżu lotniska. Ziemia kosztuje krocie, to raj dla sprytnych biznesmenów.

Droga jest żwirowa i trzeba trzymać się blisko pobocza, bo kierowcy prowadzą nieostrożnie. Zatrzymane auto otaczają zaraz obnośni sprzedawcy: oferują orzeszki ziemne, kawę, kawałki pomarańczy. To sposób, aby zarobić parę szylingów na dzienną porcję *ugali*, tradycyjnego kenijskiego dania złożonego z kaszki kukurydzianej ugotowanej na gęsto.

Moffat ma 37 lat, łagodne rysy twarzy i ok. 180 centymetrów wzrostu. Żonaty od 12 lat, ma trójkę dzieci: Franka, Irvintę i Bradleya. – Dla mnie rodzina to nie coś, ale wszystko – powtarza. Jest chrześcijaninem, dużo mówi o religii i duchowości: – Od poczęcia do śmierci książka jest już napisana i umieszczona w bibliotece. Życie nie dzieje się przez przypadek, ale z jakiegoś powodu. Każde wydarzenie jest przygotowaniem na to, kim mam się stać.

Pytam Moffata o FreMo. Mówi, że codziennie przychodzi tu kilkanaście ciężarnych matek, często pozostawionych samych sobie. Wymagają opieki, dużego nakładu pracy, ale poczucie satysfakcji wynagradza trud. Ma problemy z personelem. Nieraz nakrył kogoś „pod wpływem". Gdy o tym mówi, głośno przełyka kawę, a jego twarz nabiera rezygnacji. Potem energicznie wstaje i oznajmia, że chciałby pokazać mi mój pokój. Będzie nim niewielkie przechodnie pomieszczenie zaraz za laboratorium.

W środku skromnie: łóżko, szafka, związana w supeł moskitiera, na ścianach plakaty z informacjami o HIV i AIDS. W kącie wielka szafa z prezerwatywami. Dzięki fundacji Moffata Kenijczycy mają szansę na profilaktykę i być może wielu z nich zapobiegnie zarażeniu się tą chorobą. Powszechny jest nie tylko wirus

HIV, ale też pasożyty. Nieleczone mogą powodować bolesną śmierć.

Pastor

Gdy wschodzi słońce, dźwięki zapowiadają pierwszy poranek w Kawangware. Rozwarstwiają się jeden po drugim, jak „zgrzytająca" symfonia: rozmowy w różnych dialektach, łomot młotków uderzających o metal, trzeszczenie zdezelowanej spawarki, ujadanie psów. Chaos dźwięków, totalny harmider.

Jest siódma, do kliniki dotarły już pierwsze ciężarne matki. Moffat przedstawia Meshaka, pracownika fundacji, który będzie moim przewodnikiem. Meshak wygląda na 40 lat, ma troje dzieci, a uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Nie rozstaje się z papierosem. Pali sportsmany, najtańsze w całej Kenii – paczka kosztuje 100 szylingów (równowartość 3,40 zł). W Kawangware papierosy kupuje się na sztuki, więc na dymek za 5 szylingów może sobie pozwolić każdy.

Mijamy robotników. Widząc nas, przerywają pracę i pozdrawiają. Ściskamy dłoń starszej kobiety sprzedającej mango, spotykamy dziesięciolatka proszącego o szylingi. Tak wyglądają ulice Kawangware.

W oddali ktoś skanduje „Jesus, Jesus, Jesus!". Kościół, oddalony od budynku FreMo o jakieś sto metrów, jest wypełniony po brzegi. Wygląda jak hala koncertowa z mnóstwem poustawianych plastikowych krzeseł. Podczas nabożeństwa pastor kilka razy zbiera datki, jest w tym wręcz nachalny. Głośniki trzeszczą. Właśnie przeprowadzane są egzorcyzmy. Z tłumu wybierane są osoby z depresją, zaburzeniami dwubiegunowymi, myślami samobójczymi, a nawet HIV. Tu nie ma psychologa. Jest pastor – i tyle.

Meshak prowadzi mnie na złomowisko. Kilku mężczyzn zbiera tu miedź. Są też dzieci. Pracują w wielkich tumanach kurzu i metalicznych opiłków. Ich skóra pokryta jest pyłem, ma srebrny odcień. Dzieci proszą o pieniądze. Są uzależnione od kleju: podkrążone oczy, wyciągnięte ręce, wychudzone postacie.

Ulica

Powietrze jest gęste od oparów. W Kawangware mieszka prawie 150 tys. ludzi. Każdy, nawet najmniejszy skrawek ziemi pełni jakąś funkcję. Chodzenie tu jest formą sztuki: pełno rowów, kałuż, kolein. W każdym zaułku mała „firma", która podtrzymuje ten świat: rzeźnicy, sklepy z węglem, fryzjerzy, bary, stoiska warzywne.

Wiele niedokończonych budynków popada w ruinę. Meshak wyjaśnia, że zabrakło na to pieniędzy. W Kawangware mało kto ma pieniądze i je pomnaża. Jeszcze 15-20 lat temu w miejscu dzielnicy były drzewa i łąki. Bogaci wykupili w tamtym okresie ziemię i teraz sprzedają za wielokrotność tej kwoty.

Obok siedziby FreMo mieszka Kuria. Jego dom, jak większość w okolicy, zbudowany jest z falistej blachy pomalowanej na jasną zieleń. Temperatura w środku jest nie do wytrzymania, dlatego mężczyzna, podobnie jak większość mieszkańców dzielnicy, spędza czas poza domem. Kuria to 70-letni rastafarianin, który prócz palenia jointów przemalowuje auta i ręcznie tworzy ich rejestracje. Zdradza mi swój punkt widzenia na świat: – Jedna rasa, rasa ludzka. Bez podziałów na kolor skóry czy wyznanie.

Idąc ulicami, można zauważyć osoby żujące *khat*. To używka, a raczej narkotyk (w wielu sąsiednich krajach nielegalna), od której uzależnionych jest wielu Kenijczyków. Żuje się łodygi, które wpływają pobudzająco na mózg. *Khat* żują wszyscy. Kelnerki, uliczny fryzjer i pucybut, policjant na służbie, prostytutki. *Khat* jest tani, porcja kosztuje 50 szylingów (1,70 zł). Gdy działa, człowiekowi wydaje się, że jest w stanie zrobić wszystko.

■■■

Kontrasty i napięcia, widoczne w Nairobi, będą z biegiem czasu coraz silniejsze – nie tylko w Kenii. W latach 1990–2014 populacje takich dzielnic jak Kawangware wzrosły w Afryce ponad dwukrotnie, do ok. 200 mln ludzi. Do 2030 r. połowa ludności kontynentu będzie mieszkać w miastach. Według ONZ dwie trzecie nowych mieszkańców będzie zasiedlać uboższe dzielnice. Takie jak Kawangware. ©

Z lewej: pastor podczas egzorcyzmu; parafianie uczestniczący w rytuale powtarzają słowa duchownego. Z prawej: kobiety chętnie zmieniają fryzury, ale najtaniej wychodzi kupić włosy w sklepie. Do wyboru są przedłużające pasma czy dredy. Nairobi, 2018 r.

MIASTO DWÓCH CZYSTEK

Niemal 30 lat temu wojna w Jugosławii obeszła się brutalnie z Mostarem, głównym ośrodkiem Hercegowiny. Zabytki można odbudować, trudniej relacje między ludźmi.

PRZEMYSŁAW KAWALEC

Nie było w Jugosławii drugiego miasta, które bardziej uosabiało ideę „braterstwa i jedności" narodów tworzących ten kraj. Ideę propagowaną przez Josipa Broza-Titę – człowieka, który po II wojnie światowej przez długich 35 lat nie tylko autokratycznie rządził, lecz swoją osobą spinał to państwo i jego składowe części.

Będący stolicą historycznej Hercegowiny (dziś podzielonej między Federację Bośni i Hercegowiny oraz Republikę Serbską, które tworzą razem państwo ze stolicą w Sarajewie), Mostar był tyglem kultur. W 1991 r. jego skład narodowościowy był następujący: najwięcej żyło tu Muzułmanów (dziś zwanych też Boszniakami) i Chorwatów (po ok. 35 proc.), potem byli Serbowie (19 proc.) i osoby deklarujące narodowość jugosłowiańską (10 proc.). Nic dziwnego, że Mostar sły-

ROGER HUTCHINGS / GETTY IMAGES

Uszkodzony podczas działań wojennych most w Mostarze, 12 czerwca 1994 r.

nął z dużej liczby małżeństw mieszanych. Według niektórych źródeł stanowiły nawet jedną trzecią wszystkich małżeństw – najwięcej w całej Jugosławii.

Dziś to jednak czas przeszły. Wojna kompletnie zmieniła oblicze tego miejsca, dzieląc je na część chorwacką i muzułmańską, z których każda żyje osobnym życiem.

Zabezpieczanie terenu

30 lat temu trwał proces rozpadu Jugosławii. W 1991 r. niepodległość ogłosiły Słowenia, Chorwacja i Macedonia. Na przełomie lutego i marca 1992 r. w Bośni odbyło się referendum niepodległościowe. Za opuszczeniem Jugosławii opowiedziało się ponad 99,5 proc. głosujących, przy czym – co ważne – byli to niemal wyłącznie Muzułmanie i Chorwaci. Bośniaccy Serbowie zbojkotowali referendum, bo już wcześniej, w listopadzie 1991 r., zdecydowali o pozostaniu we wspólnym państwie jugosłowiańskim (przeprowadzając w tej sprawie własne referendum). Wojna była kwestią czasu – i w końcu, na początku kwietnia, wybuchła.

Ale w Mostarze wojną pachniało już od kilku miesięcy. We wrześniu 1991 r. do miasta wkroczyło kilka tysięcy żołnierzy Jugosłowiańskiej Armii Ludowej (JNA). Oficjalnie mieli ochraniać wojskowe lotnisko przed „chorwackimi ekstremistami". W istocie ich zadaniem było zajęcie pozycji na wzgórzach wokół miasta i przygotowanie się do oblężenia.

Cała akcja była sterowana z Belgradu. „Milošević [Slobodan, prezydent Serbii – red.] chciał, by JNA obsadziła linię rzeki Neretwy i wsparła w ten sposób serbską ludność w Hercegowinie. Celem tego posunięcia miało być zabezpieczenie »wszystkich terenów zamieszkałych przez Serbów« aż do ostatecznego rozpadu Jugosławii" – napisze potem Michael Dobbs w książce „Precz z Wielkim Bratem. Upadek imperium radzieckiego". Nieprzypadkowo rezerwiści, których skierowano do Mostaru, pochodzili z Serbii i Czarnogóry – republik, które wraz z „zabezpieczonymi terenami" Chorwacji i Bośni miały stworzyć nowe państwo.

Mostar nie był miastem etnicznie serbskim, ale był punktem strategicznym, z którego można było kontrolować całą Hercegowinę i południową Chorwację. W październiku 1991 r. to właśnie stąd startowały serbskie samoloty bombardujące Dubrownik – trwała już wtedy wojna serbsko-chorwacka.

Dla miejscowych Chorwatów takie wzmocnienie serbskiej obecności w Mostarze było niczym innym jak okupacją. Powołali więc Chorwacką Wspólnotę Herceg-Bośni, czyli formę samoorganizacji narodowej, będącą zalążkiem przyszłej chorwackiej republiki w Bośni i Hercegowinie.

Ostrzał i odwet

3 kwietnia 1992 r. Chorwaci wysadzili cysternę stojącą obok koszar JNA. Wydarzenie to uznaje się za początek wojny w Mostarze. W odpowiedzi siły serbsko-czarnogórskie, dowodzone przez gen. Momčila Perišicia, zaczęły ostrzał miasta.

Zadbano przy tym, aby jak najmniej ucierpieli mostarscy Serbowie. Wielu uprzedzono, że gdy usłyszą strzały, mają uciekać do Nevesinja – serbskiego „bastionu" oddalonego o 40 km. Zapewniano ich, że to chwilowa ewakuacja i niedługo wrócą do domów.

Chorwacki historyk Dragan Markovina, który jako dziecko był świadkiem tych wydarzeń, wspomina: „W nocy z 5 na 6 kwietnia ukryliśmy się w schronie. Przed świtem po cichu opuścili nas jednak praktycznie wszyscy sąsiedzi Serbowie. Spakowali do samochodów, ile się tylko dało, i ruszyli do Nevesinja. Przez następne tygodnie, aż do połowy czerwca, byliśmy pod codziennym ostrzałem. Pomiędzy kolejnymi atakami przez radio przemawiał gen. Perišić, informując, co i o której godzinie zbombarduje, jeśli nie oddamy mu miasta".

Trzy tygodnie później, 29 kwietnia, prezydium Bośni (na czele z Aliją Izetbegoviciem) powierzyło obronę Mostaru Chorwackiej Radzie Obrony (HVO). Była to w owym czasie jedyna formacja zbrojna, która mogła tu przeciwstawić się JNA. Muzułmanie traktowali ją jako siłę sojuszniczą, dlatego do niej licznie wstępowali. Przynajmniej na początku.

Tymczasem, mimo sojuszu z Muzułmanami, Chorwaci potajemnie pertraktowali z Serbami. Prezydent Herceg-Bośni, Mate Boban, spotkał się w austriackim Grazu z liderem bośniackich Serbów Radovanem Karadžiciem w sprawie podziału kraju na strefy wpływów. Jednym z punktów spornych był Mostar: Serbowie chcieli, aby granica serbsko-chorwacka przebiegała wzdłuż rzeki Neretwy, i aby tym samym połowa miasta pozostała po ich stronie. Chorwaci z kolei upierali się, że cały Mostar powinien przypaść im.

Walki trwały więc nadal. Do połowy maja JNA opanowała cały wschodni brzeg Neretwy. Serbowie ogłosili przez radio, że „dawny Mostar przestał istnieć", a zajęte terytoria „stanowią teraz teren Serbskiego Mostaru". Twór ten nie istniał jednak długo, bo już miesiąc później w wyniku chorwackiej ofensywy Serbowie zostali wyparci. Dziennikarz Darko Juka wspomina: „Wycofując się, zburzyli wszystkie mostarskie mosty oprócz Starego [Mostu], i to tylko dlatego, że serbski żołnierz, który miał go wysadzić, został zabity".

Wcześniejsze działania JNA wobec ludności nieserbskiej obudziły żądzę zemsty, ↦

↦ której ofiarą padli teraz pozostali w mieście Serbowie. Ci, którzy nie uciekli, zostali wypędzeni lub trafili do prowizorycznych obozów koncentracyjnych. Tadeusz Mazowiecki, specjalny wysłannik ONZ ds. praw człowieka, napisał potem w raporcie, że liczba Serbów w Mostarze spadła z przedwojennych ponad 20 tys. do zaledwie czterystu.

Czas kroatyzacji

Dopóki trwały walki z Serbami, relacje Chorwatów i Muzułmanów były w miarę poprawne. Jednak gdy Serbów wyparto, zaczęły się problemy. Chorwaci nie chcieli dzielić się Mostarem i odwoływali się do historii (że Mostar był częścią Banowiny Chorwackiej, autonomicznego regionu Jugosławii utworzonego w 1939 r.).

Od razu przystąpili też do kroatyzacji miasta. Portal Tacno.net tak o tym później pisał: „Na budynkach wywieszono flagi Herceg-Bośni, (...) jako środek płatniczy wprowadzono chorwackiego dinara, Univerzitet Džemal Bijedić został przemianowany na Sveučilište u Mostaru [*sveučilište* to chorwackie określenie uniwersytetu – red.], a językiem wykładowym został chorwacki, z powodu czego 42 profesorów-Muzułmanów opuściło uczelnię. Język chorwacki narzucono też w szkołach".

W ślad za tym szła marginalizacja Muzułmanów. Ed Vulliamy, autor książki „Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki", zeznawał potem przed trybunałem w Hadze: „Mate Boban wielokrotnie powtarzał, że Mostar jest stolicą Herceg-Bośni, i zapowiedział, że dla Muzułmanów nie będzie miejsca we władzach miasta". Słowa te miały paść w październiku 1992 r., gdy Mostar był pod wojskową i cywilną kontrolą HVO (której Boban był zresztą naczelnym wodzem).

Jednak miesiąc później w mieście utworzono 4. Korpus Armii BiH (armii zdominowanej przez Muzułmanów). Był to pierwszy krok w kierunku zatrzymania chorwackiej ekspansji.

Cel: nowy Mostar

Otwarty konflikt wybuchł wiosną 1993 r.

Powodów było kilka. Po pierwsze, chorwackie władze Herceg-Bośni nie zgadzały się na obecność, jak twierdziły, obcych wojsk na swoim terytorium. Postawiły ultimatum: albo Armia BiH podporządkuje się HVO, albo musi się wycofać. Armia BiH odrzuciła to żądanie. Po drugie, z powodu wojny trwającej także w innych częściach Bośni w Mostarze schroniło się 20 tys. muzułmańskich uchodźców i Muzułmanie stali się w mieście większością. Władze Herceg-Bośni uznały to za demograficzną agresję i zaczęły przygotowania do kontruderzenia.

PRZEMYSŁAW KAWALEC

Chociaż od zakończenia wojny minęło 25 lat, Mostar wciąż pełen jest ruin – gołe mury, bez dachów i okien, można zobaczyć po obu stronach Neretwy. Mostar, 26 lipca 2018 r.

Rankiem 9 maja na Mostar spadły pociski chorwackiej artylerii. HVO wzywała przez radio muzułmańskich żołnierzy do złożenia broni, a cywilów do wywieszenia w widocznym miejscu białego prześcieradła. Jednym z celów ataku był sztab 4. Korpusu Armii BiH, który jakby na przekór stacjonował w zachodniej części miasta, opanowanej przez Chorwatów. Bitwa o „Vranicę" (tak nazywał się budynek będący jednocześnie blokiem mieszkalnym i siedzibą sztabu) trwała do następnego dnia i zakończyła się wzięciem do niewoli 13 żołnierzy Armii BiH, których Chorwaci następnie zabili.

Równolegle z ostrzałem HVO zaczęła akcję wypędzania Muzułmanów na drugą stronę Neretwy. Tak dzień 9 maja wspomina Dolores Veledar Perić, mostarska artystka: „Żołnierze w mundurach z szachownicą na ramieniu [godło chorwackie – red.] biegali po klatce schodowej i walili po drzwiach. Wchodzili do domów, otwierali szafy, przepytywali. Później dowiedziałam się, że tysiące Muzułmanów, głównie cywilów, mieszkańców Mostaru, tego dnia wyrzucono do wschodniej części miasta. Ogromna liczba ludzi została stłoczona na małym terytorium pełnym gruzów. Pamiętam puste budynki, otwarte mieszkania, rzeczy powyrzucane na ulice – dokumenty, rodzinne zdjęcia, dziecięce zabawki, ubrania".

Czystki etniczne kontynuowano w kolejnych miesiącach. W ich wyniku liczba mieszkańców wschodniego Mostaru zwiększyła się prawie dwukrotnie, z 30 do 55 tys. ludzi. Sytuacja humanitarna była tam katastrofalna. Nie było bieżącej wody i prądu, a żywność – z uwagi na chorwackie oblężenie – zrzucano z samolotów.

Chorwaci chcieli stworzyć nowy Mostar, oczyszczony z orientalnych wpływów. Już w pierwszych dniach walk wysadzili wszystkie cztery meczety znajdujące się po zachodniej stronie, a w listopadzie 1993 r. także słynny XVI-wieczny Stary Most. Poeta Mišo Marić powiedział o tym zdarzeniu: „Stary Most nie został zburzony jako obiekt militarny, bo nie miał żadnego strategicznego znaczenia. On został zburzony, bo przypominał półksiężyc, symbol islamu".

Oblężenie wschodniego Mostaru trwało do marca 1994 r., kiedy to podpisano porozumienie waszyngtońskie o zawieszeniu broni między bośniackimi Chorwatami i Republiką Chorwacji z jednej strony a Bośnią i Hercegowiną z drugiej. Porozumienie to zakończyło wojnę

chorwacko-bośniacką (natomiast wojna w Bośni z Serbami, której symbolem stało się oblężenie Sarajewa, miała trwać jeszcze długo, do jesieni 1995 r.). Porozumienie waszyngtońskie stanowiło, że terytorium kraju, kontrolowane przez siły chorwackie i muzułmańskie, zostanie podzielone na autonomiczne kantony, które wspólnie utworzą Federację Bośni i Hercegowiny.

Jednak choć nastał pokój, ogromna większość Muzułmanów nie wróciła już do swoich domów po zachodniej stronie Neretwy.

Klub musi odejść

Symbolem podziału Mostaru są losy piłkarskiego klubu Velež, który w czasach Jugosławii trzykrotnie sięgnął po wicemistrzostwo, a dwa razy po puchar kraju. Velež miał kibiców wśród wszystkich mieszkańców Hercegowiny, bez względu na narodowość, i to go zgubiło. Gdy do głosu doszły nacjonalizmy, klub multikulti stracił rację bytu.

5 kwietnia 1992 r. drużyna Veleža gościła w serbskiej Suboticy, gdzie rozegrała mecz z miejscowym Spartakiem. Było to już po „mostarskiej cysternie" i sytuacja w drużynie była napięta. Adnan Dizdarević, ówczesny bramkarz, wspomina: „Na mecz pojechaliśmy bez zawodników narodowości chorwackiej, którzy odmówili gry. Jedynym Chorwatem, który z nami pojechał, był trener Franjo Džidić. W drużynie pozostali tylko Serbowie i Muzułmanie. Mieliśmy wrócić samolotem do Sarajewa, ale JNA okupowała tamtejsze lotnisko. Spędziliśmy więc dwa dni w Belgradzie i polecieliśmy do Podgoricy [stolicy Czarnogóry – red.], gdzie udostępniono nam autokar, ale kierowca podwiózł nas tylko do Nevesinja. Dalej nie chciał, kiedy w centrum miasta zobaczył masę ludzi, z których wielu było w mundurach. Nasi koledzy Serbowie wysiedli i zostali z nimi. Do Mostaru wróciliśmy tylko my, Muzułmanie, i trener Džidić".

W sierpniu 1992 r., po prawie 50 latach nieistnienia, odrodził się inny mostarski klub – Zrinjski. Inicjatorem jego reaktywacji był Jadran Topić, dowódca mostarskiej HVO, a w przeszłości znakomity piłkarz Veleža. Decyzja była polityczna: Zrinjski miał podkreślać chorwackość Mostaru i symbolizować wolność Chorwatów od komunizmu i Jugosławii (komunistyczny reżim zlikwidował klub Zrinjski w 1945 r.).

Dla Veleža nastały trudne czasy. Chorwaci wyrzucili go ze stadionu, na którym występował od końca lat 50., i umieścili tam władze Zrinjskiego. Ekrem Vukotić, były dyrektor finansowy Veleža, mówi: „Część naszych pucharów i innych rzeczy porozrzucano po Bijelim Brijegu [dzielnica, w której znajduje się stadion – red.]. Ludzie znajdowali trofea Veleža na śmietnikach i przynosili je nam, aby przynajmniej część udało się ocalić". Klub znalazł tymczasową siedzibę, ale i z niej musiał uciekać.

Ostatecznie, na niespełna miesiąc przed pamiętnym 9 maja 1993 r., Velež został wygnany na wschodnią stronę. Tam do dziś rozgrywa swoje mecze. Oficjalnie Velež nie deklaruje się jako klub muzułmański, jednak w praktyce jest dziś za taki uważany.

Rozerwane relacje

Dzisiejszy Mostar to właściwie dwa miasta, z których każde ma swoje instytucje. Są więc dwa uniwersytety, dwie poczty, dwóch dostawców energii elektrycznej, dwa teatry narodowe – i tak można by jeszcze długo wymieniać.

Mostar liczy obecnie nieco ponad 100 tys. mieszkańców. Ostatni spis powszechny odbył się tu w 2013 r. Okazało się, że w porównaniu do roku 1991 wzrosła liczba Chorwatów (o 19 proc., z 43 tys. do 51 tys.) i Muzułmanów (o 7 proc., z 44 tys. do 47 tys.), natomiast drastycznie spadła liczba Serbów (o 81 proc., z 24 tys. do 4,5 tys.). Serbowie niechętnie wracają do Mostaru, nie widzą tu dla siebie przyszłości.

W 2019 r. średni poziom bezrobocia w mieście wyniósł aż 49 proc.

Stary Most został ponownie oddany do użytku w 2004 r. Obecnie trwa odbudowa Soboru Świętej Trójcy – niegdyś największej cerkwi na Bałkanach, wysadzonej w czerwcu 1992 r.

Ale architektura to jedno, a społeczeństwo to coś zupełnie innego. Trudno powiedzieć, kiedy i czy w ogóle uda się posklejać rozerwane relacje. W 2008 r. tylko niecałe 2 proc. nowo zawartych związków stanowiły małżeństwa mieszane. Jak na miasto, w którym co drugi mieszkaniec jest innej narodowości, to bardzo mało.

© PRZEMYSŁAW KAWALEC

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny
Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego"
Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności
#DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie
Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet
Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży
Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście
Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła
Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na powszech.net/podkast
SALESmanago marketing automation
weź, słuchaj!
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W MARSJAŃSKIM ZWIERCIADLE

Łazik Perseverance ma poszukać śladów życia. Ale nawet jeśli ich nie znajdzie, pomoże nam zrozumieć fundamentalne procesy zachodzące na planetach. Także na naszej.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

To byłoby przyjemne miejsce na weekendowy wypad. Czysta woda, błękitne niebo, pokryte białym piaskiem plaże. I pluskanie rzeki, która niespiesznie wpada do ogromnego, okrągłego jeziora. Do pełnej idylli brakowałoby tylko szumu liści i śpiewu ptaków. Tych nigdy tam nie było. Nie było też, zapewne, tlenu. Ale to akurat detal, bo nie było też wczasowiczów, gdyż w czasie, kiedy marsjański krater Jezero pokrywała tafla niezmąconej wody, nasi przodkowie – o ile już istnieli – musieli być jednokomórkowymi stworzonkami, niezdolnymi do międzyplanetarnych podróży. A jeśli sam Mars był zamieszkały, to przez równie niepozorne istoty.

Dziś po tym idyllicznym jeziorze pozostały jedynie skały zalegające na dnie dawno pozbawionego ciekłej wody krateru. Nietknięte od miliardów lat – i dlatego bezcenne dla uczonych. Nie tylko tych zainteresowanych Marsem, ale i tych, którzy skupiają się na Ziemi – jej historii i jej dzisiejszych problemach.

– Na Ziemi znamy kilka skał powstałych w ciągu pierwszego miliarda lat istnienia naszej planety, znajdujemy w minerałach pojedyncze ziarna z pierwszych 500 mln lat, ale zapis geologiczny wczesnej historii naszej planety jest zasadniczo bardzo kiepski – tłumaczy „Tygodnikowi" geolog planetarny prof. Mathieu Lapôtre z Uniwersytetu Stanforda. – Tymczasem na Marsie procesy geologiczne zaczęły ustawać ok. 3,7 mld lat temu i niewiele się od tej pory zmieniło na jego powierzchni. To gigantyczne archiwum wczesnej historii Układu Słonecznego, które czeka na zbadanie – dodaje francuski badacz.

Błękitne trojaczki

Dziś Ziemia jest wyjątkowym miejscem. Ale nie zawsze tak było. Gdyby ktoś cofnął się w czasie o jakieś 4 mld lat, zobaczyłby najprawdopodobniej nie jedną, a trzy błękitne planety orbitujące wokół Słońca. Nasza gwiazda była wówczas nieco słabsza, emitowała około 25 proc. mniej energii niż dziś, ale to wystarczało. Na powierzchni Marsa, Ziemi i najprawdopodobniej Wenus znajdowały się głębokie, ciepłe oceany. Wszystkie trzy skaliste planety mogły potencjalnie stać się gościnnymi domami dla żywych istot. Dziś biosfera istnieje tylko na jednej. Kluczowe pytanie brzmi: dlaczego Wenus i Mars są martwe, a Ziemia rozkwitła. I co musiałoby się stać, by nasza planeta stała się równie sterylna, jak jej krewniaczki. Mars jest tutaj szczególnie obiecującym polem do badań, bo geologicznie umarł wcześnie i – w przeciwieństwie do Wenus – zastygł niemal niezmieniony.

– Powierzchnia Wenus jest stosunkowo młoda. Skały ją pokrywające mają, jak sądzimy, mniej niż 300 mln lat. Marsjańska powierzchnia jest o wiele starsza – mówi Lapôtre. – Jej 90 proc. pochodzi sprzed ziemskiego kambru [okresu geologicznego, który rozpoczął się 541 mln lat temu – red]. Aż 80 proc. jest odpowiednikiem ziemskiego archaiku [który trwał od 4 do 2,5 mld lat temu – red.]. Także dlatego jest tak interesująca.

Dla geologa takiego jak Lapôtre szansa zbadania nie pojedynczych skał, ale kompletnych systemów sprzed miliardów lat jest tym, czym dla zoologa byłaby możliwość obserwowania w akwarium ławicy trylobitów. To szansa na zrozumienie podstaw całego systemu funkcjonowania dzisiejszej Ziemi.

– Badając procesy kształtujące Ziemię, w większości przypadków polegamy tylko na jednym źródle danych, na naszej własnej planecie. To może zaburzać perspektywę. Przez jeden punkt można przecież przecisnąć dowolnie dużo prostych. Nie wiemy do końca czy to, co działa na Ziemi, działa też w innych miejscach – tłumaczy dr Anna Łosiak, geolożka planetarna z Polskiej Akademii Nauk. – To bardzo skomplikowany system i tylko jeżeli mamy możliwość porównania Ziemi do Wenus czy Marsa, jesteśmy w stanie powiedzieć, jak te procesy potoczą się w przyszłości.

Taki mamy klimat

Właśnie dlatego od dziesięcioleci wysyłamy na Marsa zrobotyzowanych geologów. Najnowszy z nich, ważący nieco ponad tonę łazik Perseverance, ma badać

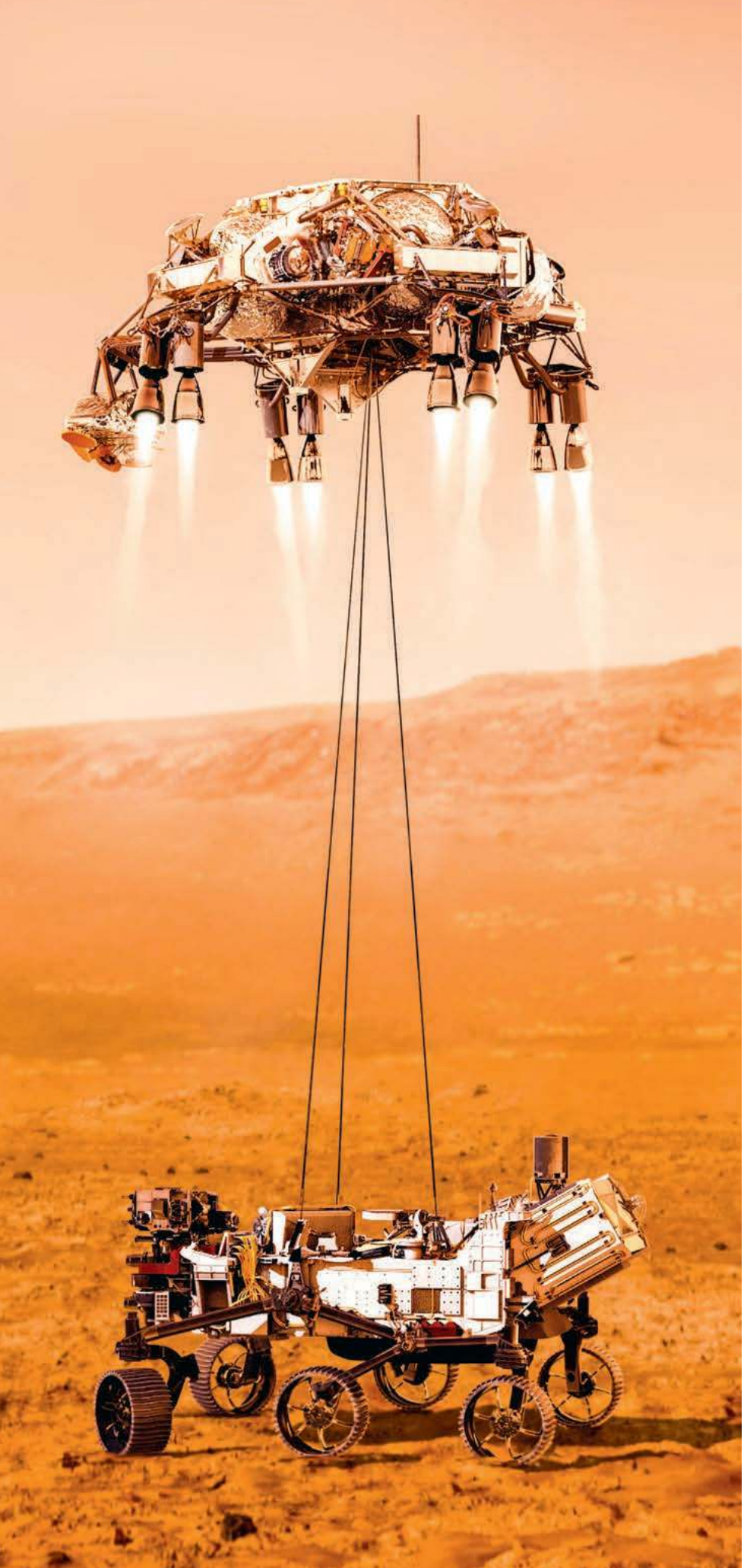

NASA / JPL-CALTECH

Symulacja lądowania na Marsie łazika Perseverance, które z sukcesem odbyło się 18 lutego.

właśnie Jezero – stary krater uderzeniowy, który, być może przez miliony lat, był marsjańskim jeziorem. To może być najlepsze miejsce do poszukiwań śladów przeszłego lub obecnego marsjańskiego życia, jednak nawet jeśli nigdy nie znajdziemy choćby jednego skamieniałego marsjańskiego mikroba, wiedza, którą tam zdobędziemy, będzie cenna. Także dla lepszego zrozumienia zmian klimatycznych zachodzących na Ziemi.

– W mojej pracy skupiam się na badaniu rzek i systemów skał osadowych – opowiada Lapôtre. – Badania rzek na Marsie umożliwiają nam rodzaj naturalnego eksperymentu, który pokazuje, jak ten system działa bez wpływu roślinności. A rzeki są niezwykle ważne dla cyklu węglowego i jego wpływu na klimat naszej planety. Równiny zalewowe są ogromnymi rezerwuarami węgla i stanowią rodzaj bufora, więc kluczowe jest to, żebyśmy lepiej zrozumieli, jak funkcjonują te systemy. Odkryliśmy np., że rzeki bez roślinności migrują dziesięciokrotnie szybciej, co oznacza, że węgiel zmagazynowany przez nie w osadach będzie tam uwięziony krócej – wyjaśnia francuski uczony.

Możemy myśleć o Marsie i Wenus jako o czymś w rodzaju grupy kontrolnej w eksperymencie. Porównując to, jak działają czy działały tam procesy kształtujące planety, z tym, jak działają na Ziemi, możemy wypracować dokładniejsze hipotezy wyjaśniające, dlaczego nasza planeta zachowuje się w określony sposób. I lepiej prognozować to, jak będzie się zmieniać.

– System klimatyczny Marsa jest dużo prostszy niż Ziemi – tłumaczy dr Łosiak. – Możemy go więc traktować jako testowy, uproszczony model naszej planety. To bardzo użyteczne, jeśli to, co masz badać, jest tak skomplikowane jak ziemski klimat.

Jedną z możliwości jest ulepszanie modeli prognozujących ewolucję, jakiej podlega system klimatyczny naszej planety. Zazwyczaj komputerowe modele ↦

prognozujące zmiany klimatu testowane są tak, że naukowcy, po opracowaniu modelu, „karmią" go danymi historycznymi, na przykład sprzed 30 lat, a potem sprawdzają, czy produkowane przez system prognozy dalszego rozwoju sytuacji pokrywają się z faktycznymi danymi zarejestrowanymi w kolejnych latach na Ziemi. Mars i Wenus dają nam kolejną opcję na doszlifowywanie tych symulacji.

– Te same modele były stosowane do analizy klimatów innych planet. Dzięki obserwacji tego, jak te modele spisują się w odmiennych od ziemskich warunkach, były ulepszane, i stosowane ponownie do badań klimatu na Ziemi. To taki cykl nauki – mówi dr Łosiak. – Zawsze źle bada się coś, kiedy masz tego tylko jedną sztukę. Geologia planetarna daje nam więcej punktów odniesienia, na podstawie których możemy testować różne hipotezy.

Zjadacze skał

Mars i Wenus są dla nas ważne jeszcze z jednego powodu. Stanowią rodzaj przestrogi. Pokazują, że nasza biosfera, z całym jej bogactwem, nie jest ani wieczna, ani niezniszczalna, ani też jej powstanie nie było pewne. Wszystkie trzy planety zaczynały od podobnych warunków. Ich ewolucja przebiegła jednak drastycznie różnie. Wenus zmieniła się w piekielny, rozgrzany jak piec świat o kwasowych chmurach. Mars – w zamarznięty cień być może żywej kiedyś planety. Dopiero zaczynamy rozumieć, dlaczego tak się stało, i jakie ma to konsekwencje dla przyszłości życia na Ziemi. Ale żeby ustalić, dokąd zmierzamy, musimy zrozumieć, jak się znaleźliśmy tu, gdzie jesteśmy.

– Są dowody na to, że życie na Ziemi powstało przeszło 3,7 mld lat temu. Wcześniej Układ Słoneczny był bardzo chaotycznym miejscem, a planety podlegały stałemu bombardowaniu przez asteroidy – tłumaczy Lapôtre. – W takich ekstremalnych warunkach życiu byłoby trudno przetrwać. Na Ziemi nie mamy już pozostałości tego bombardowania, ale na Marsie jego ślady nadal istnieją.

Jedna z hipotez mówi, że życie miało lepsze warunki do powstania i rozwoju na Marsie niż na Ziemi. Dzięki niższej grawitacji skały tworzące skorupę Marsa są bardziej porowate, więc jeżeli hipotetyczne marsjańskie życie powstało wcześniej niż ziemskie, to byłoby mu łatwiej znaleźć tam schronienie przed uderzeniami. Dopiero stamtąd mikroby, wysłane w międzyplanetarną podróż na marsjańskich odłamkach wyrzuconych w kosmos przez uderzenia asteroid, mogły dotrzeć na Ziemię i skolonizować ją.

NASA / JPL-CALTECH

Krater Jezero – miejsce lądowania łazika Perseverance. Tak mogło wyglądać miliardy lat temu.

Procesy geologiczne na Marsie zaczęły ustawać ok. 3,7 mld lat temu. **Od tej pory na jego powierzchni niewiele się zmieniło.**

Jeśli tak, to dokonały właściwego wyboru. Wiele wskazuje na to, że choć stany wyjściowe wszystkich trzech planet były podobne, to hipotetyczne biosfery Marsa i Wenus były z góry skazane na śmierć – m.in. przez geologię.

– Ziemia ma płyty tektoniczne. Ani Wenus, która wydaje się być bardzo podobna, ani Mars ich nie mają – opowiada dr Łosiak. – A bez tektoniki płyt nie byłoby nas. Życie takie jak ziemskie potrzebowało do powstania chemicznego recyklingu. Jesteśmy przekonani, że pierwsze istoty żywe na Ziemi były chemotrofami. W uproszczeniu – jadły skały. Jeżeli wyobrazimy sobie planetę podobną do Ziemi, ale bez tektoniki płyt, to choć na początku będzie ona pełna interesujących i smakowitych skał, które pierwsze organizmy mogą wykorzystywać jako źródło energii, to bez ciągłej dostawy nowych skał prędzej czy później wyczerpią wszystkie łatwo dostępne źródła energii. Tę dostawę zapewniają procesy tektoniczne – wyjaśnia dr Łosiak.

Magnetyczna ochrona

Gdyby więc nie stałe „mielenie" ziemskiej powierzchni przez geologiczne siły napędzające dryf kontynentalny, który wypycha na powietrze wciąż nowe skały i głęboko grzebie najstarsze, żywe istoty nie miałyby dość czasu, by wyewoluować w bardziej złożone formy. Nie powstałyby rośliny ani żywiące się nimi zwierzęta. Żeby jednak dokładnie zrozumieć ten proces i jego konsekwencje, musimy lepiej poznać światy, gdzie on nie zachodzi. I zrozumieć, dlaczego my mieliśmy szczęście.

A mieliśmy go naprawdę dużo, bo Ziemia, pod innymi względami będąca zupełnie przeciętną kosmiczną skałą, ma jeszcze jedną cechę, której zabrakło bliźniaczkom: pole magnetyczne. To ono sprawiło, że ziemska atmosfera nie została, tak jak marsjańska, rozdmuchana przez kosmiczny wiatr. I – w przeciwieństwie do Wenus – zachowała wodę, której cząsteczki, pod wpływem wysokiej temperatury lub promieniowania, mogą się łatwo rozpadać.

– Sam wodór, nieprzyczepiony do dwóch atomów tlenu, jest bardzo lekki. Na skutek przypadkowych zderzeń z innymi cząsteczkami może przyspieszać tak bardzo, że odlatuje w przestrzeń kosmiczną. Szczególnie jeśli jest gorąco. Coś takiego stało się na Wenus – tłumaczy dr Łosiak.

Ale to, dlaczego my cieszymy się magnetyczną ochroną, której nie ma ani Wenus, ani Ziemia, jest nadal tajemnicą.

– Nie wiemy, w jaki sposób zaczęło się pole magnetyczne na Ziemi. Nie wiemy, czy istniało na Marsie, a jeśli tak, to jak długo. Nie wiemy, dlaczego nie ma go na Wenus – mówi polska geolożka. – A przez to, że nie do końca wiemy, jak to wszystko się zaczęło, nie mamy pojęcia, w jaki sposób, czy i kiedy się skończy. Co byłoby dla nas bardzo niedobre – dodaje.

Nawet jeśli nigdy nie odkryjemy życia na innych planetach, badanie innych światów ma kluczową rolę dla ochrony życia, które już znamy. Na jedynym znanym nam zielonym świecie. Jak na razie to właśnie Mars i Wenus są naszą najlepszą bazą wiedzy o Ziemi. O tym, co sprawia, że nasz dom jest gościnny. I co zrobić, żeby gościnnym pozostał.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ANDRZEJ

Stasiuk:
Odnaleziony notes (3)

Kosz-Agacz. 5 września. Wczoraj przejście w Taszancie. Zero stopni, wygwizdów. Pięć godzin stania. Kazachskie furgonetki obładowane dywanami. Paroletnie dzieciaki dźwigające pakunki do cła. Niesamowite ilości towaru w istanach i ssangyongach. Po dachy, na dachach. Przerwa obiadowa. Za granicą natychmiast znikają jurty i prawie całkiem zwierzęta. Wcześniej ten posterunek „pomiędzy", na ziemi niczyjej. Potem przejście ogrodzone, odrutowane z bramą, za którą wpuszcza się po trzy, cztery samochody. Kobiety sikają obok aut. Gigantyczne wieże strażnicze. Zielone. Dudnienie generatorów. Facet od dezynfekcji zamknięty w swojej budce. „Dezynpunkt". Toboły, toboły, toboły i wiatr. Psia buda ze słomą w środku obok budki kontroli paszportowej.

Teraz Kosz-Agacz. *Rajon.* W sklepach od razu na bogato. Wóda i wóda. Ileż gatunków. Owoce, warzywa, bankomat. Dużo dużych psów samopas. Kolega chce 15 rubli. Dostaje. Stołowaja. Dobry gulasz z kartoflami. Słońce i białe góry w oddali. I nabudowane. Drewno, deski, ciasno, płot w płot jak bite stado, a wokół pustka na dziesiątki kilometrów. Piękno niedbałości, tylko okna wyrżnięte w drewnianą koronkę.

Tranzit, hotel dla kierowców. Deski, folia, trochę betonu. W nocy absolutna cisza, jakby Czujski Trakt zamarł. Tylko pies gdzieś skamle.

6 września. Ongudaj. Stołowaja. Znowu dobry gulasz. Żadnych miejsc w hotelach. Naprawdę albo nas nie chcą. Lądujemy w turbazie, którą prowadzi Ałtajka. Wieczorem przyjęcie z elektrykami pod wiatą. Inżynier, mędrkowaty i głośny, wywodzi, że Rosja nigdy nikomu nic nie zrobiła. No dobrze. Mówią, że budują w okolicy daczę dla Putina.

Wcześniej postój obok samochodu desantowców. Sierżant rzuca nożem w drewniany sracz. Dobrze rzuca. Szeregowi zachwyceni. Trochę jednak strach. Ale reszta elektryków w porządku. Trochę pijemy. Nieśmiała kurtuazja. Tylko Ałtajka, dobrze już podpita, raz po raz robi Olafowi *heil Hitler*. Elektrycy mitygują, że w Niemczech za coś takiego idzie się do tiurmy. Ale nie ma w tym złej woli, tylko chochlikowata przekora. Twierdzi, że miała dziadka albo pradziadka Polaka, i urodziła się na Kołymie. Śpiewy ukraińskie. Idę wcześnie spać. Cisza i księżyc.

7 września. Do Bijska. Rano przyjeżdża po nas ten sam Czeczen, co wczoraj odwoził. W pięknej białej czapeczce wyszywanej w zielone minarety i półksiężyce. Cieszy się, że islam rozprzestrzenia się na cały świat. Bardzo sympatyczny i przyjacielski. 8.30 autobus do Bijska. Wsiada tych dwóch z mordami. Jeden to Walerij. Jeden bez nosa, drugi z kompletem złotych zębów. Złotousty rekin. Potem na jakimś przystanku Sierioga. Biedny, bury wróbel. 15-16 lat. Na nogach kapcie-wsówki z logo audi. Torba, w której jedno 1,5 litrowe piwo. Jest trochę nieprzytomny. W ubraniu trawa, liście. Odsiedział „*dwa z piatiorki*". Brudne, wytatuowane ręce. Tatuaż na łydce. Tamci się rozkręcają. Robią cały program: mat, zyganie i sen. Pusta flaszka toczy się pod siedzeniami. Reaguje starsza kobieta i wtedy trochę cichną. W końcu podcina ich wóda.

Szukszynowskie Srostki. Pachnie palonym zielem. Melancholia tego krajobrazu. Wypłaszczyło się. Stragany z badziewiem przy drodze. Podobno na letni festiwal przyjeżdża 50 tysięcy ludzi.

Bijsk. Pierwsza zapytana ładuje nas do swojej sorento i wozi w poszukiwaniu „polskiego kościoła", rozpytując przechodniów. Okazuje się, że to właściwie za miastem. Ale nas zawozi i jeszcze macha. Rosjanie. Ksiądz się cieszy. Nocuje często Polaków. W bani już się pali. Czujski Trakt szumi.

8 września. 7 rano. Parafia. Ksiądz mówi żywo, ciekawie, ale kompletnie nie słucha. Opowiada, jak kupił plebanię od Cygana, miejscowego barona narkotykowego. Wciąż jacyś nocą przyjeżdżali po towar. Wychodził z kałasznikowem i mówił: „*Cygan prodał chatu*". Potem pokazywał nam tego kałacha i enerdowską wersję makarowa. Mówił, że jeździ w góry postrzelać.

Tutaj Czujski Trakt nie milknie nawet w nocy. W ogrodzie pracują dwie koreańskie zakonnice w szarych habitach. Pięknie się uśmiechają. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 17/21, toczy się postępowanie z wniosku Agnieszki Mazur, Wiesława Mazura, Heleny Leokadii Domaradzkiej, Danuty Pachnik i Eweliny Anny Konopka o stwierdzenie, że Agnieszka Mazur i Wiesław Mazur nabyli przez zasiedzenie nieruchomość położoną w Motyczu Szlacheckim o numerze ewidencyjnym 212, o powierzchni 0,16 ha. Dla nieruchomości tej nie jest prowadzona księga wieczysta.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby zgłosili się do udziału w sprawie i wykazali swoją własność w terminie 3 miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia.

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śl., I Wydział Cywilny, pod sygn. I Ns 400/20, toczy się postępowanie z wniosku Danuty Plejewskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Alojzym Supernaku, zm. 17 sierpnia 2020 r., ostatnio zamieszkałym w Złotym Stoku.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

WYKRAKAŁEM

ARTUR ROJEK, MUZYK:

Babcia uważała, że mam ładny głos, ale zachowywała dystans. Mówiła: „Ładnie śpiewasz, ale może weź się już skoncentruj na czymś innym!".

JAN BŁASZCZAK: Rok temu 13 marca ogłoszono w Polsce lockdown. Z dnia na dzień zamknięto sale koncertowe, kluby, a nawet sklepy z płytami. Tego dnia miał też premierę album „Kundel", z piosenką „Bez końca", w której śpiewasz: „jak się trzymać w pionie, kiedy wieje". A jak Ty się trzymałeś?

ARTUR ROJEK: Przechodziłem przez różne stany. Od wiary, że za chwilę ta sytuacja się skończy, przez negację i szukanie w niej jakiegoś drugiego dna, podstępu, aż po akceptację i próbę traktowania jej w rozsądny sposób. Człowiek potrzebuje czasu, żeby dojrzeć do takiej zmiany. Nawet jeśli koncept tej płyty miał dotyczyć sytuacji niespodziewanych. Nie wystarczy mieć świadomość, że w takim właśnie płynnym świecie żyjemy. Kiedy zmiana już nadejdzie – i tak nas zaskoczy.

Wymyślając „Kundla" skupiałem się raczej na mikrosytuacjach. Myślałem o tragediach osobistych, rodzinnych, dramatach małych grup społecznych. Oczywiście niektóre z nich były konsekwencjami wielkich tragedii, ale ja starałem się te zewnętrzne wpływy przekładać w piosenkach na codzienne, normalne życie. No i trochę wykrakałem...

Pandemia pokrzyżowała nie tylko Twoje plany związane z wydaniem płyty, ale także spowodowała odwołanie OFF Festivalu, którego jesteś dyrektorem artystycznym. Zwykle nie masz pewnie wolnych miejsc w kalendarzu – nagle okazało się, że wolnego czasu jest dużo. Czy ten zaskakujący rok jakoś Cię zmienił?

Tematyka ostatniej płyty w jakimś stopniu przygotowała mnie do tego nowego stanu. Być może dopiero z perspektywy czasu zauważę jakieś mentalne zmiany. Zawsze się czymś martwiłem i martwię się dalej. Problemy, z którymi żyję, towarzyszyły mi już wcześniej. Rzeczywiście, nagle okazało się, że mam dużo czasu, którego nie spodziewałem się mieć.

Bo tamten rok miałem już poukładany w wyobraźni. Zaplanowałem osiemnaście koncertów z „Kundlem" wiosną, potem kolejną trasę i letnie festiwale. Tak samo z piętnastą edycją OFF Festivalu. To wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Wiosna była jeszcze czasem czekania na powrót, potem było już wiadomo, że to się tak szybko nie wydarzy.

I co zrobiłeś z tym czasem?

Zacząłem pisać piosenki. Po raz pierwszy od dawna mogłem się skoncentrować wyłącznie na tym – i jestem bardzo zadowolony. Wcześniej obawiałem się, że może już ↦

ARTUR ROJEK (ur. 1972 w Mysłowicach) jest muzykiem, wokalistą, autorem tekstów i kompozytorem. Założyciel zespołu Myslovitz, którego przez 20 lat był liderem, a także zespołu Lenny Valentino. W 2014 r. ukazała się jego pierwsza solowa płyta „Składam się z ciągłych powtórzeń", która otrzymała Fryderyka w kategorii album roku. W 2020 r. ukazał się jego drugi solowy album „Kundel". Jest pomysłodawcą i dyrektorem artystycznym OFF Festivalu, który odbywa się od 2006 r.

↦ nie jestem taki produktywny i powinienem się powoli wyciszać. Ten czas pokazał mi, że wcale tak nie jest. Że jako artysta wciąż mam potrzebę wypowiedzenia się. Człowiek potrzebuje przede wszystkim możliwości skupienia się na jednej rzeczy. I to odnosi się tak samo do świata pandemicznego, jak i pre- czy postpandemicznego. Jeżeli chcesz coś zrobić dobrze od początku do końca, musisz się na tym skoncentrować. Jeżeli żyjesz w chaosie, obładowany zbyt wieloma informacjami, których nie potrafisz już segregować, zawsze będziesz miał problem.

Na jakim jesteś etapie z nowymi piosenkami?

Dosyć zaawansowanym. Początkowo wydawało mi się, że to powinna być epka, rodzaj eksperymentu – od czterech do sześciu utworów. Teraz myślę o pełnoprawnej płycie. Tyle mogę ci teraz powiedzieć, bo jeszcze dużo pracy przede mną.

Do piosenki „Bez końca" powstał teledysk, w którym tańczysz w wielkim, opuszczonym budynku. Trudno uwierzyć, że został nakręcony jeszcze przed pandemią. Okazałeś się trendsetterem.

Nie wiem, czy mogę powiedzieć: „cieszę się"? Pomysł wziął się stąd, że jednym z elementów, które chciałem wprowadzić do koncertów towarzyszących premierze „Kundla", był taniec. Przy poprzednich płytach czy występach ruch już się pojawiał, ale teraz chciałem, żeby był znacznie bardziej widoczny, wyeksponowany. Teledysk stanowił konsekwencję tego pomysłu i miał mieć przełożenie na koncerty.

Taniec nie jest formą ekspresji, z którą by Cię kojarzono. Czy nakręcenie takiego teledysku i wykonywanie podobnego układu podczas koncertów wymagało psychicznego przełamania się?

Lubię ruch i wydaje mi się też, że mam wyczucie rytmu. Nigdy nie tańczyłem na scenie, bo w Myslovitz miałem gitarę i to na niej byłem skoncentrowany. Poza tym kiedy zaczynaliśmy jako zespół, inspirowaliśmy się brytyjskim rockiem, shoegaze'em, a tamci muzycy nie tańczyli. Mieli skrzyżowane nogi, opuszczone głowy, wzrok wlepiony w buty i w zasadzie ruszali jedynie ręką. Ale taniec zawsze gdzieś się w moim życiu pojawiał.

Lubię ruch i wydaje mi się, że mam wyczucie rytmu.
Nigdy nie tańczyłem na scenie, bo w Myslovitz miałem gitarę i to na niej byłem skoncentrowany.

Braci Kuderskich poznałem na dyskotece jeszcze w czasach, kiedy nie wiedzieliśmy, że założymy zespół. Zapamiętałem ich właśnie stamtąd – bardzo dobrze tańczyli. Potem przez lata taniec przybierał dla mnie formę raczej jakiegoś żartu na imprezie, nie próbowałem przenieść go na scenę. Aż do momentu, kiedy analizując koncerty, które grałem po płycie „Składam się z ciągłych powtórzeń", zauważyłem, że jestem za bardzo przyklejony do statywu. I strasznie mi się to nie spodobało. W piosenkach, tekstach, sposobie śpiewania czuło się emocje, ale nie było ich widać w ciele. Pomyślałem: a może by się nauczyć być na tej scenie bez gitary, bez tamburynu czy marakasów i trochę zabawić się ze swoim ciałem?

Czy ktoś Ci pomagał stawiać pierwsze taneczne kroki?

Od razu postanowiłem spotkać się z kimś, kto się na tym zna, więc skontaktowałem się z choreografem Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk, Michaiłem Zubkowem. Raz w tygodniu jeździłem do ich siedziby w Koszęcinie na półtoragodzinną sesję. Nie ćwiczyłem tam jednak żadnej ustawionej choreografii. Nie chodziło o to, by naśladować zawodowców. Celem było uwolnienie tego, co mam w sobie, nawet jeśli nie kojarzyłoby się to z tańcem profesjonalnym. Nawet jeśli byłoby pokraczne.

A potem wszystko to, co w sobie odkryłem, zacząłem stosować na scenie. Okazało się, że ten taniec bardzo mocno działa. Ludzie zaczęli spontanicznie powtarzać moje ruchy. Publiczność chrzaniła to, czy potrafi, czy nie, czy ten obok robi to lepiej, czy gorzej – każdy tańczył po swojemu. Fajnie to zadziałało. Czułem, że jestem bliżej ludzi.

Dla mnie ten taniec miał też wymiar terapeutyczny. Pozbyłem się wstydu przed ruchem. To było zrzucenie z siebie kajdan, które przygważdżają cię do statywu. A ja naprawdę byłem do niego mocno przyklejony.

Pamiętam dobrze występ Śląska na OFF Festivalu. Czy pamiętasz ich z czasów dzieciństwa w Mysłowicach?

Nie, Śląsk nie ma nic wspólnego ani z moimi wspomnieniami, ani z duchem, w którym zostałem wychowany. Jego pojawienie się na OFF Festivalu to było dopiero moje drugie z nim spotkanie. Za pierwszym razem zaprosiłem chór Śląska do wspólnego występu na gali Fryderyków w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach – razem zaśpiewaliśmy „Beksę". A skąd pomysł, by zaprosić ich na OFF-a? Żyjemy w czasach, w których powstaje mnóstwo bardzo podobnej do siebie muzyki. Szukam więc zespołów, które proponowałyby odmienność w stosunku do tego, co oferuje tak zwana „muzyka alternatywna" w swoim standardzie. A pojawienie się Śląska na festiwalu to już jest naprawdę mega-off! Ale folk i muzyka świata stają się bardzo istotne w kontekście wszystkich gatunków muzycznych.

Bo, umówmy się, w muzyce rockowej niewiele już zostało do wymyślenia.

Dlatego tak wiele młodych zespołów inspiruje się właśnie muzyką świata. Zobacz, ile archiwalnych nagrań zawierających nagrania z Kambodży, Ugandy, Tajlandii czy Nigerii ukazuje się każdego roku. Informacje na temat muzyki świata, albumy pokazujące jej różnorodność i wspaniałe dziedzictwo – poznawanie tego daje mi satysfakcję porównywalną z tym, co czułem dwadzieścia lat temu, kiedy wciąż odkrywałem dla siebie nowe rzeczy w rockowej alternatywie. Przez lata nie byłem blisko muzyki świata, teraz wciąż znajduję w niej mnóstwo oryginalności.

Pamiętając reakcje publiczności na OFF-ie i relacje pisane z jego kolejnych odsłon, mam wrażenie, że wiele osób przyznałoby Ci rację. W zasadzie co roku festiwal ma swojego bohatera lub bohaterów pochodzących spoza kręgu kultury zachodniej.

Oczywiście, Omar Souleyman, Bamba Pana, Wednesday Campanella, Ata Kak – długo można by wymieniać.

Na „Kundlu" zaskoczyłeś nie tylko tańcem, ale także piosenką śpiewaną w połowie w języku niemieckim. Tytuł sugeruje, że jest ona poświę-

cona Twojej babci, która była Ślązaczką.

Ta piosenka jest generalnie poświęcona kobietom. A dokładniej: jest o ich trudach. Pomysł na jej zaśpiewanie w języku niemieckim wziął się stąd, że ona od początku miała charakter, który mnie i Bartkowi Dziedzicowi kojarzył się z czymś dalekim od klasycznego popu. Wymyśliliśmy, że będę ją śpiewał operowo.

To rzeczywiście daleko zawędrowaliście. Skąd ten pomysł?

Nowozelandzka artystka Aldous Harding miała takie chwile podczas swoich występów, że publiczność patrzyła po sobie z zaskoczeniem, a może nawet zniesmaczeniem. Jako wokalistka pokazywała siebie na scenie „brzydszą", niż była w rzeczywistości. I to była kreacja, która bardzo do mnie przemawiała. Harding nie starała się być taka, jaki starał się być cały świat.

Operowy śpiew miał być podobnym rozwiązaniem – ludzie woleliby, żebym śpiewał normalnie, a ja jednak zrobię inaczej. Kiedy jednak próbowaliśmy to rejestrować, jakoś nie wychodziło. Pomyślałem więc, że zaśpiewam tę piosenkę po niemiecku, bo to na pewno nie pozostawi słuchacza obojętnym. Nawet mnie nie pozostawia. Natomiast tytuł „Für meine liebe Gertrude" faktycznie odnosi się do imienia mojej babci. Kiedy się mną opiekowała i nie chciała, żebym wiedział, o czym rozmawia ze swoją kuzynką, przechodziły na niemiecki. Rozmawiały po polsku i nagle płynnie zmieniały język, a ja nie wiedziałem, o jakich rodzinnych tajemnicach dyskutują.

Długo mieszkałeś z dziadkami?

Od dzieciństwa do piętnastego roku życia. Może nawet dłużej.

Twój dziadek pojawia się w tekście „Chłopca z plasteliny" zespołu Lenny Valentino. Album „Uwaga! Jedzie tramwaj" świętuje w tym roku dwudzieste urodziny i z tej okazji doczekał się reedycji. Czy Twój dziadek słyszał kiedyś tę piosenkę?

Mój dziadek generalnie „nie był w tym temacie". Ja też się nie chwaliłem, nie mówiłem, że napisałem piosenkę, która go dotyczy. Nie wiem, czy kiedykolwiek ją usłyszał.

W mojej rodzinie najbardziej umuzykalnioną osobą była babcia. Grała na różnych instrumentach, śpiewała w chórze – ona też kibicowała mi w tym, co robiłem, trochę bardziej niż pozostali. Aczkolwiek z pewną rezerwą, choć uważała, że mam ładny głos. „Ładnie śpiewasz, ale może weź się już skoncentruj na czymś innym!" – mówiła.

Począwszy od tytułu napisanego na okładce jakby odręcznym, uczniowskim stylem pisma, poprzez pojawiające się na płycie głosy kilkulatków, aż po tematykę większości utworów, „Uwaga! Jedzie tramwaj" jest podróżą do czasów dzieciństwa. Czy założyłeś Lenny Valentino, by opowiedzieć historię, którą nie podzieliłbyś się ze słuchaczami na płycie Myslovitz? A może odwrotnie: szukałeś zamkniętej opowieści, którą mógłbyś snuć wraz z nowym zespołem?

↦

weź, czytaj!
w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ Celem założenia Lenny Valentino było przede wszystkim to, abym mógł sobie udowodnić, że jestem w stanie zrobić coś poza Myslovitz. Nie chciałem, żeby całe moje zawodowe życie ograniczało się tylko do tego zespołu. Imałem się więc różnych zadań: od pisania dla innych, poprzez wspólne projekty z różnymi artystami, po recenzje i prowadzenie audycji radiowych. Kolejnym krokiem było założenie alternatywnego zespołu. Takiego, który grałby inną muzykę niż Myslovitz. Nie był to projekt powołany w celu opowiedzenia historii z mojego dzieciństwa.

Dlaczego więc zwróciłeś się akurat w tę stronę?

Grupa Lenny Valentino powstawała w okresie, kiedy dużo się działo w moim życiu emocjonalnym. Miałem problemy, z których dopiero wtedy zaczynałem sobie zdawać sprawę. W wieku około trzydziestu lat wnikałem w siebie, starałem się zmieniać podejście do życia i wszystkie te próby kierowały mnie ku dzieciństwu. Pojawiała się nitka, która prowadziła mnie od tych trudnych momentów do sytuacji, które miały miejsce dużo, dużo wcześniej. Siedziałem nad pustą kartką myśląc, o czym mógłbym napisać, i historie z dzieciństwa zaczęły same ze mnie wychodzić. Jak już napisałem jeden tekst, otworzyło się wewnątrz mnie wiele innych miejsc. Dopiero kiedy kończyłem pisać teksty na „Uwaga! Jedzie tramwaj", zrozumiałem, że to mój pamiętnik z dzieciństwa.

Choć po Lenny Valentino został tylko jeden album, zdążyłeś w tym czasie wymienić niemal cały skład zespołu. Jak to się stało, że do współpracy zaprosiłeś muzyków Ścianki?

Miałem pomysł na stworzenie zespołu, ale nie na to, kto miałby w nim być. W pierwszym składzie znaleźli się więc muzycy, którzy byli blisko i również mieli potrzebę, by robić coś jeszcze. Oprócz Mietalla [Mietalla Walusia – przyp. JB], który był pierwszą osobą zaproszoną do zespołu, odezwałem się jeszcze do Lali [Wojciecha Kuderskiego – przyp. JB] i Michała Koterby, który występował w różnych mysłowickich zespołach i był moim dobrym kolegą. Demo Lenny Valentino, które zarejestrowaliśmy, zbyt mocno przypominało mi jednak Myslovitz. Mój głos za bardzo definiował to brzmienie. Choć gitara inaczej grała, to jednak perkusista i wokalista z Myslovitz plus pewien charakterystyczny sposób śpiewania, budowania melodii powodowały, że te piosenki były wciąż zbyt bliskie. A ja chciałem tej bliskości uniknąć.

Podczas dużej trasy Myslovitz, którą graliśmy nad morzem, usłyszałem album „Dni wiatru" Ścianki. Pomyślałem sobie, że jeżeli miałbym zdekonstruować te piosenki, to właśnie z osobą odpowiedzialną za tę płytę. Dla mnie „Dni wiatru" to jedna z najlepszych polskich płyt, jakie kiedykolwiek nagrano. Bardzo mnie poruszyła. Zadzwoniłem najpierw do Jacka Lachowicza, który opowiedział mi, jak ta płyta powstawała. Potem odezwałem się do lidera Ścianki, Macieja Cieślaka, i zaproponowałem mu rolę producenta.

Rolę, która wówczas nie była w Polsce rozpowszechniona, przynajmniej w jej zachodnim rozumieniu.

Tak, wtedy mianem „producenta" nazywało się *de facto* realizatorów dźwięku. Osoby, które rejestrowały i miksowały materiał na płytę. Nie było producentów, którzy od samego początku pracowaliby z artystą nad konstrukcją piosenki, albumu. A my tak zrobiliśmy. Oddałem przygotowywane przez dwa lata piosenki Lenny Valentino w ręce obcych ludzi z założeniem, że jest ok, ale wierzę, że może być lepiej, jeśli to wszystko przebudujemy. No i zaczęliśmy, piosenka po piosence.

Album „Uwaga! Jedzie tramwaj" ma dziś kultowy status, właśnie mamy jego reedycję, stał się kamieniem milowym polskiej alternatywy. A jednak pomimo świetnych recenzji Lenny Valentino nie doczekał się kontynuacji. Właściwie dlaczego?

Wydanie płyty Lenny Valentino nałożyło się z wieloma innymi rzeczami. Po pierwsze, każdy z nas miał swoje projekty: Ścianka cały czas funkcjonowała, Mietall miał Negatyw, a ja – Myslovitz, które w tym czasie wydawało płytę „Korova Milky Bar". Ten album niedługo później ukazał się w 26 krajach, a my zaczęliśmy grać za granicą. Próbowałem nawet robić kolejne Lenny Valentino – z innymi ludźmi i w innym kierunku. Jednak zadania, które w tym czasie na mnie spadły: koncerty, trasy po świecie, nie sprzyjały tej inicjatywie. No i chyba po prostu nie miałem takiego parcia, by za wszelką cenę nagrać następcę „Uwaga! Jedzie tramwaj". Czułem, że wypowiedziałem się w jakiejś kwestii. Tak już mam, że jak mocno się uzewnętrznię, musi minąć sporo czasu, zanim mi się nazbiera na kolejną osobistą wypowiedź.

Zespół Lenny Valentino reaktywował się później dwukrotnie, by wystąpić na OFF Festivalu. W ubiegłym roku festiwal musiałeś odwołać ze względu na pandemię. W tym roku na razie produkujecie koncerty z myślą o ich publikacji w internecie. Jaki jest Twój stosunek do takich produkcji?

Uważam, że to jest format, który będzie nam w przyszłości towarzyszył w większym stopniu niż przed pandemią. Może być elementem promocji artysty. Natomiast daleko mi do uznania transmitowanych koncertów za jedyną możliwą formę kontaktu z publicznością. Robimy koncerty online, bo nasza branża znalazła się w bardzo trudnej sytuacji i nie mogliśmy robić nic innego. Zdecydowaliśmy się jednak na taki krok, tworząc serię OFF Club, głównie dlatego, że spodobała nam się koncepcja łączenia występów koncertowych z przestrzenią i historiami wokół. One działają na tę muzykę, podkreślając ją albo kierując jej odbiór w zaskakującą stronę. Dużo się nauczyliśmy przy produkcji tych OFF Clubów.

Teraz jednak myślimy głównie o tym, w jaki sposób – jeżeli będzie to możliwe – zorganizować tegoroczny festiwal. Niestety wciąż mamy za mało danych, by wiedzieć, czy uda się zorganizować to wydarzenie w formie bliskiej do standardowej, czy też trzeba zaplanować jakąś alternatywę. Pomijając prace związane z promocją i sprzedażą biletów, które są oczywiście wyciszone, działamy normalnie. Jako dyrektor artystyczny i booker mogę powiedzieć, że festiwal jest praktycznie gotowy do odpalenia.

Ilu festiwalowiczów zdecydowało się przenieść swój karnet na następną odsłonę festiwalu, zamiast domagać się zwrotu pieniędzy?

Jakieś 90 proc. Wiem, że wielu nie może się już doczekać wyjścia na koncert. Jako branża jesteśmy przygotowani na różne warianty organizacji. Jak tylko dostaniemy zielone światło, zaczniemy się odbudowywać.

© Rozmawiał JAN BŁASZCZAK

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Muzeum Narodowe w Warszawie otwarte z obostrzeniami. 2 lutego 2021 r.

Szanse na przeżycie

PIOTR KOSIEWSKI

Czy kultura przetrwa czas pandemii? I jak później ma wyglądać jej wsparcie przez państwo? Wiele się ostatnio mówi o sytuacji restauratorów czy hotelarzy, a o ludziach kultury jakby zapomniano.

Niedawno Ministerstwo Kultury i prorządowe media ogłosiły, że „New York Times" wymienił Polskę wśród ośmiu krajów, które najhojniej wsparły artystów i ludzi kultury podczas pandemii COVID-19. Najwyraźniej niedokładnie przeczytano tekst Aleksa Marshalla, który opisał jedynie – na przykładach wybranych państw – sposoby finansowej pomocy oraz błędy przy tej okazji popełnione. Nie ma zatem powodów, by ogłaszać wielki sukces.

W ubiegłym roku – to fakt – państwo polskie wyasygnowało znaczne kwoty na wsparcie dla branży kulturalnej i artystów. Ministerstwo Kultury informuje nawet, że na tę pomoc przeznaczono już ponad 6 mld zł. Znaczna część tej pomocy pochodzi jednak z Tarcz Antykryzysowych i nie jest specjalnie adresowana do obszaru kultury, co utrudnia ocenę realnego wsparcia. Znacznie mniejszą skalę miały programy wyłącznie przeznaczone dla tego obszaru, jak „Kultura w sieci" z budżetem 80 mln zł.

Problemem jest adekwatność tych kwot do skali potrzeb. Tylko do „Kultury w sieci" w ciągu dwóch tygodni wpłynęło 12 tys. wniosków. Inny problem to rodzaj proponowanego wsparcia, które po części opierało się na przeniesieniu dotychczasowej działalności do sieci. Jak zauważyła niedawno na łamach „TP" Hanna Wróblewska, dyrektorka warszawskiej Zachęty, „trwają działania online: edukacyjne, promocyjne czy dokumentacyjne. Jednak galeria bez publiczności i wystaw ma trochę mniejszy sens" [rozmowa dostępna na powszech.net/zacheta]. Pytanie o sens funkcjonowania w sieci jest jeszcze bardziej zasadne w przypadku malarzy czy konserwatorów sztuki.

Kluczowe zaś pozostaje inne pytanie: czy właściwą odpowiedzią w sytuacji nadzwyczajnej jest dotychczasowy sposób wsparcia, oparty przede wszystkim na systemie projektowym. Czy raczej niezbędny jest dostęp do funduszy, które pozwolą instytucjom kultury na przetrwanie w czasie radykalnego ograniczenia możliwości działania i maksymalne zachowanie miejsc pracy.

Co w nowym roku

Kultura jest jedną ze sfer najsilniej dotkniętych przez antypandemiczne ograniczenia. Po obostrzeniach z pierwszej połowy minionego roku przyszły następne. Nawet jeżeli rząd decyduje się poluzować niektóre restrykcje, to nowe mutacje koronawirusa oraz sposób, w jaki realizowany jest Narodowy Program Szczepień, mogą sprawić, że te restrykcje wrócą. A straty poniesione w poprzednich miesiącach są ogromne.

Niedługo poznamy informacje o stanie kultury w 2020 roku, ale już dane częściowe pokazują skalę problemu. Według badania przeprowadzonego przez GUS w II kwartale ubiegłego roku 3047 z spośród 4691 ankietowanych instytucji doświadczyło negatywnych skutków pandemii. W przypadku 40,9 proc. z nich spadek przychodów z działalności gospodarczej wyniósł ponad 50 proc., a w 13,7 proc. instytucji przekroczył 90 proc.

W ubiegłym roku zawieszono wszystkie ważne festiwale muzyczne oraz radykalnie ograniczono liczbę koncertów. Drastycznie spadła frekwencja w kinach – jak podał Polski Instytut Sztuki Filmowej, w lipcu o 89,04 proc. w porównaniu z lipcem 2019. Owszem, w niektórych obszarach nastąpił wzrost, np. według Związku Producentów Audio Video o 26,3 proc. zwiększył się przychód ze sprzedaży cyfrowej wersji muzyki, ↦

↦ to jednak tylko częściowo rekompensowało spadek sprzedaży muzyki na nośnikach fizycznych (w przypadku polskich artystów wyniósł on prawie 47 proc.). Rekordowym zaś wynikom obrotów na aukcyjnym rynku sztuki (portal Artinfo.pl napisał o 30-procentowym wzroście w stosunku do roku 2019) towarzyszyło ograniczenie działalności prywatnych galerii, których zadaniem jest nie tylko obrót dziełami, ale też stała praca z artystami i zapewnienie im dotarcia do odbiorców.

Co w tej sytuacji robi rząd? W ramach ogłoszonej w grudniu Tarczy Antykryzysowej 6.0 zwiększono wsparcie finansowe dla sektora kultury. Przede wszystkim zapisano możliwość uzyskania jednorazowego świadczenia postojowego dla prowadzących działalność w zakresie sztuk wizualnych, literatury, muzyki czy teatru. Niestety – o czym niedawno pisała „Rzeczpospolita" – większość freelancerów, z powodu kryteriów koniecznych do ubiegania się o te środki, nie będzie mogła z nich skorzystać.

Rozszerzono też dostęp do tych funduszy przedsiębiorcom z sektora kultury – w tym producentom i dystrybutorom filmów, a także przewodnikom i edukatorom muzealnym oraz podmiotom prowadzącym działalność muzealną. A na początku lutego br. poinformowano o włączeniu do Tarczy Finansowej 2.0 przedsiębiorców z branży filmowej. Nadal jednak jest to szukanie odpowiedzi na już istniejące problemy, bez jakichkolwiek prób myślenia „w przód".

Od samego początku pandemii pomocy udzielano z opóźnieniem. Decyzje o zamykaniu lub otwieraniu całych obszarów zbyt często następowały nagle, bez jakiegokolwiek uprzedzenia. W pierwszych miesiącach, gdy pandemia dla wszystkich była nowym wyzwaniem, można było to zrozumieć. Jednak tryb reaktywnego działania stał się codziennością, jakby rząd nie był zdolny do myślenia wykraczającego poza dzień wczorajszy.

Dotychczasowe wsparcie nie dotarło do wszystkich potrzebujących i przede wszystkim nie było wystarczające. Do tej pory nie widać też namysłu rządzących nad tym, jak ma wyglądać kultura i jej instytucje po wygaśnięciu pandemii – jakby zakładano, że realną opcją jest powrót do stanu sprzed marca 2020. Nie widać prób potraktowania doświadczeń ostatniego roku jako pewnej szansy – a przecież sytuacja kryzysu wymusza zmiany.

Nie zastanawiano się chociażby, czy należy podtrzymywać dotychczasową strukturę tzw. wolnych zawodów, dając ich przedstawicielom, jak w Niemczech, środki na przetrwanie w czasie pandemii, czy też raczej, jak w Wielkiej Brytanii, stawiać na przebranżowienie tych osób. Nie mówiąc już o przygotowaniu programów stymulacyjnych, jak uruchomiony latem 2020 niemiecki Neustart Kultur z budżetem miliarda euro, przeznaczonym nie tylko na przeciwdziałanie następstwom pandemii, ale także na wznowienie działalności (np. finansowanie wydarzeń muzycznych do końca sierpnia 2021).

Inna formuła

Nie wiadomo nawet, jakie dalsze konkretne działania zamierza w tym roku podejmować MKiDN. Próbą nowego sposobu funkcjonowania był Fundusz Wsparcia Kultury. W jego pierwszej edycji ponad 2 tys. samorządowych instytucji kultury, organizacji pozarządowych oraz przede wszystkim firm prywatnych miało otrzymać 400 mln zł tytułem rekompensaty przychodów utraconych w pandemii. Wsparto wszystkich, którzy prawidłowo złożyli wnioski. Rekompensaty dotyczą okresu od 12 marca do 31 grudnia 2020, a za punkt wyjścia przyjęto przychody za analogiczny okres poprzedniego roku, tylko pomniejszony o wsparcie otrzymane z innych środków publicznych na przeciwdziałanie skutkom COVID-19.

Jednak upublicznienie w listopadzie 2020 r. listy beneficjentów wywołało burzę w mediach, zwłaszcza społecznościowych. Na liście znalazły się bowiem nie tylko Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie (2 mln), Fundacja Krystyny Jandy (1,8 mln), Forum Muzyki im. Witolda Lutosławskiego (ponad 1,3 mln), organizator katowickiego OFF Festival Fundacja Independent (1,8 mln), ale też Golec Fabryka (prawie 1,9 mln) czy Renata Świerzyńska Bayer Full Impresariat (400 tys.). Ministerstwu zarzucono, że wspiera celebrytów. Przeciwnicy rządu pisali o dotowaniu twórczości niskich lotów oraz artystów przychylnych PiS-owi, a jego zwolennicy kpili, że artyści „opozycyjni" chcą brać pieniądze od Piotra Glińskiego. Sam minister zaś zamiast udzielić rzeczowych odpowiedzi na zarzuty, zwyczajowo już próbował uprawiać publicystykę.

Ostatecznie pod wpływem krytyki wstrzymano wypłatę środków do czasu wyjaśnienia wątpliwości. Pytane o dalsze losy Funduszu, Ministerstwo podało na początku grudnia, że po przeanalizowaniu argumentów, jakie padły podczas dyskusji nad listą beneficjentów, „generalnie kwoty przydzielonych dotacji zostały obniżone". A „weryfikacja merytoryczna w niektórych przypadkach potwierdza brak zasadności części przedstawionych przez wnioskodawcę kosztów".

Ostatecznie np. dotację dla Teatru Słowackiego obniżono o 20 tys. zł (czyli o 1 proc.), ale już warszawskiemu Teatrowi Powszechnemu obcięto aż 82 tys. zł z przyznanych wcześniej 400 tys. (czyli 20,5 proc.). Jednak do tej pory nie upubliczniono kryteriów, wedle których tych cięć dokonano, ani nie ogłoszono ostatecznej listy beneficjentów i przyznanych im dotacji.

Na pewno przy podejmowaniu decyzji o wsparciu konkretnych podmiotów popełniono błędy. Jeszcze większe wątpliwości można mieć do niektórych założeń przyjętych przy tworzeniu Funduszu. Dlaczego ograniczono wsparcie jedynie do kilku segmentów kultury? Dlaczego instytucje samorządowe mogły otrzymać do 40 proc., a pozostałe do 50 proc. utraconych przychodów? Czy należało wykluczać ważne dla finansowania instytucji kultury i organizacji społecznych dotacje jako źródła przychodu?

Po odpowiednich korektach i wprowadzeniu takich rozwiązań, jak np. limit wysokości wynagrodzeń, by środki publiczne nie pogłębiały różnic dochodowych w kulturze, Fundusz – rozszerzony na inne formy aktywności, jak sztuki wizualne – mógł stać się formą pomocy w 2021 r. Jego zaletą było bowiem odejście od myślenia projektowego, a tym samym dostrzeżenie, że wszystkim przyszło funkcjonować w sytuacji odległej od normalności.

Fundusz Wsparcia Kultury zakładał zminimalizowanie arbitralności w ocenie wniosków – nawet jeżeli przyjęte algorytmy podziału środków okazały się dalekie od doskonałości. Przyjęto w nim również założenie, że środki trafią także do ludzi zaangażowanych w tworzenie wydarzeń i ich upowszechnianie. Dostrzeżono, że ważne ogniwo w tworzeniu i upowszechnianiu kultury stanowią osoby, które artystami po prostu nie są – o czym łatwo się zapomina. A prze-

cież ekipy techniczne należą do grup najsilniej dotkniętych obostrzeniami związanymi z pandemią, bo – inaczej niż na przykład muzycy – nie mogą liczyć na środki z tantiem.

Jednak dyskusja o Funduszu w niewielkim stopniu dotyczyła meritum, a na pewno nie przyczyniła się do stworzenia lepszych mechanizmów pomocy kulturze w dobie pandemii. Doszło za to do autokompromitacji części osób, które uchodzą za ekspertów w dziedzinie polityki kulturalnej.

Można zrozumieć emocje tych, których oburzyły kwoty przyznane gwiazdom estrady, niejednokrotnie niskiego lotu, zwłaszcza w sytuacji strat ponoszonych przez całe rzesze osób pozbawionych przez pandemię możliwości zarobku. Zwykli obserwatorzy nie mają obowiązku wczytywania się w dokumenty, które dość precyzyjnie mówiły, że z przyznanych kwot trzeba się rozliczyć i że nie można za nie nabyć luksusowego apartamentu lub samochodu sportowego. W przypadku ekspertów sprawa jest bardziej skomplikowana – sięganie przez nich po mało poważne argumenty świadczy albo o pełnym podporządkowaniu dyskusji o kulturze dominującym podziałom politycznym, albo o... niewiedzy, w jaki sposób od lat funkcjonuje kultura.

Na przykład Bogdan Zdrojewski za podejrzane uznał m.in. przyznanie dotacji firmie Dach-Complex z Gostynina, zajmującej się kładzeniem blachodachówki – nie raczył bowiem sprawdzić, że jej właściciel, a jednocześnie gitarzysta bluesowy Michał Bartosiak organizuje koncerty w swoim mieście (wsparcie można było otrzymać wyłącznie na tę część działalności, która dotyczy kultury). Jak widać, nawet pełnienie funkcji ministra nie przekłada się na realną wiedzę o tym, za co ministerstwo odpowiada.

Najbardziej jednak zdumiewa brak reakcji ekspertów i polityków opozycyjnych, kiedy Fundusz powstawał. A nie działo się to przecież w tajemnicy. Dlaczego choćby nie zwrócono uwagi na niezrozumiałe ograniczenie wsparcia jedynie do teatru, muzyki i tańca?

Kultura częścią gospodarki

Wkład kultury do PKB to 3,5 proc., a wytwarzana wartość dodana to około 30 mld zł. Przemysły kultury i kreatywny są także ważnym pracodawcą – w tym segmencie gospodarki działało 117,2 tys. przedsiębiorstw (dane GUS za 2018 rok). Trudna sytuacja w branży artystycznej przekłada się na problemy nie tylko osób ją tworzących i ich rodzin. Ten argument przywoływali twórcy, protestujący jesienią przeciwko zbyt małemu wsparciu.

Czy właściwą odpowiedzią w sytuacji nadzwyczajnej jest dotychczasowy sposób wsparcia, oparty przede wszystkim na systemie projektowym?

Fundusz Wsparcia Kultury był pierwszym programem przygotowanym przez MKiDN, który potraktował kulturę jak sektor ważny dla gospodarki. Co jednak ma poważne następstwa – oznacza bowiem odejście od wartościowania i podziału na twórczość popularną i „wysoką". I – podobnie jak w innych sektorach – wsparcie podczas sytuacji kryzysowej wszystkich, którzy z powodu niezależnych od nich ograniczeń ponoszą straty.

Paweł Potoroczyn narzekał niedawno na łamach „TP", że kiedyś „pop w naszym kraju reprezentowali Czesław Niemen, Ewa Demarczyk, Marek Grechuta czy Grzegorz Ciechowski", a dziś Bayer Full i bracia Golec [tekst dostępny na powszech.net/potoroczyn]. Tyle że ci ostatni byli ważnymi graczami na rynku, zanim PiS doszedł do władzy. Owszem, TVP pod rządami Jacka Kurskiego próbuje ich twórczość uczynić częścią artystycznego mainstreamu, ale przecież wszyscy, niezależnie od poziomu artystycznego, wypracowują część wkładu kultury do PKB, na który tak często się powoływano.

Spór wokół Funduszu Wsparcia Kultury dobrze wydobył paradoksy związane z funkcjonowaniem współczesnej kultury. W normalnych czasach zapewne nikt poważnie nie potraktowałby pomysłu wspierania ze środków publicznych wielu przejawów kultury popularnej. Jednak stan kryzysu wywołany pandemią przypomniał, że ludźmi tworzącymi system kultury nie są tylko uznani artyści, ale też wykonawcy disco polo, a przede wszystkim członkowie ekip technicznych, programiści, pracownicy agencji artystycznych czy edukatorzy. Uznanie tego musi prowadzić do przemyślenia funkcji, jaką pełni Ministerstwo Kultury i państwo jako dysponent środków publicznych. Czy jego zadaniem nie jest zadbanie o prawa tych, bez których kultura po prostu nie mogłaby funkcjonować?

Nowa umowa społeczna

W przywoływanym tekście Pawła Potoroczyna pada ważny postulat zawarcia nowej umowy społecznej, bo tylko ona pozwoli nam przezwyciężyć obecne podziały. A bez kultury – czyli bez podbudowy aksjologicznej – zawarcie takiej umowy po prostu nie będzie możliwe. Jednak najpierw potrzebne jest minimum porozumienia społecznego co do jej wsparcia w czasach pandemii. Bo kultura po prostu może nie przeżyć.

Przez lata kolejnym ministrom, poczynając od Waldemara Dąbrowskiego i Kazimierza Michała Ujazdowskiego po Małgorzatę Omilanowską, udało się odbudować prestiż Ministerstwa Kultury, przekonać do konieczności wsparcia kultury przez państwo i zwiększyć środki na ten cel. Piotr Gliński, pierwszy szef MKiDN z tytułem wicepremiera, doprowadził do dalszego wzrostu wydatków. Równocześnie jednak, ostentacyjnie podkreślając klientystyczne rozumienie relacji władza–obywatele i związek między wsparciem ze środków publicznych a (przynajmniej oczekiwanym) poparciem dla obecnego rządu, skutecznie podkopał zaufanie społeczne do działań Ministerstwa.

Fundusz Wsparcia Kultury stał się ofiarą tej rozbudzonej przez ministra nieufności – chociaż w tym przypadku starano się zminimalizować arbitralność w przyznawaniu środków i wsparcie mieli otrzymać wszyscy, którzy poprawnie złożyli wnioski. A sam Piotr Gliński musiał bronić programu, który wspierał także „opozycyjnych" artystów.

Trudno oczekiwać, by nagle przestano wierzyć, że MKiDN finansuje jedynie „słusznych". Następcy obecnie rządzących będą musieli odbudować przekonanie, że państwo przyznaje środki według przejrzystych reguł. Jednak już teraz konieczne jest przedstawienie pakietu działań, które pomogą przetrwać ludziom kultury i jej instytucjom. Nikt z tego zadania nie zwolni tych, którzy dziś dzierżą władzę.

© PIOTR KOSIEWSKI

KAROLINA GORZELAŃCZYK

Hana Umeda, wrzesień 2019 r.

Jestem Sada Hanasaki

KAJETAN PROCHYRA

Hana Umeda jako pierwsza Polka i pierwsza tancerka spoza Japonii dostąpiła ceremonii przyjęcia imienia w szkole Hanasaki-ryu. Teraz może nauczać klasycznego japońskiego tańca jiutamai.

To była bardzo młoda dziewczyna. Kiedy do jej domu zapukał duchowny, jej rodzice przyjęli go i zaproponowali nocleg. Kiyohime położyła się obok Anchina. Nigdy wcześniej nie była z mężczyzną. O świcie mnich wyruszył do swej świątyni Dōjō-ji. Porzucona dziewczyna ze wstydu i żalu uciekła z domu i ruszyła za kochankiem. W świątyni rozmodlony Anchin ujrzał węża. Rozpoznał w nim dziewczynę, którą wykorzystał. Przestraszony ukrył się pod płaszczem świątynnego dzwonu. Wściekła Kiyohime wprawiła dzwon w wir tak potężny, że rozgrzany do czerwoności spalił pod swym kloszem Anchina. Wiele lat później, gdy mnichom udało się zebrać fundusze na nowy dzwon, u bram świątyni pojawiła się młoda tancerka.

– Jestem tym wężowym demonem, który wije się w ciele młodej kobiety, ale jeszcze nie chce się uwolnić. Jestem śliczna, pełna wdzięku i naiwności. Absolutnie nie mogę pokazać nikomu, co tak naprawdę kryje się pod dziewczęcą powłoką – mówi Hana Umeda, antropolożka, choreografka, performerka i tancerka jiutamai.

Fabuła legendy o Kiyohime i Anchinie brzmi jak scenariusz serialu kostiumowego Netfliksa, ale przed widzem spektaklu jiutamai historia ta rozgrywa się na niewielkiej, liczącej może dwa metry kwadratowe scenie. Tancerce towarzyszy jedynie pieśniarz, który przy akompaniamencie shamisenu wyśpiewuje swą opowieść.

Jiutamai to dosłownie taniec do muzyki *jiuta* – pieśni wykonywanych przed wiekami przez niewidomych wędrownych mnichów. *Mai* to powolny, majestatyczny ruch, bliski temu z tradycji teatru nō. Jiutamai wyróżnia przede wszystkim to, że jest tworzony i wykonywany przez kobiety. Pierwszymi były ponoć nałożnice w haremie Ōoku na zamku Edo w XVII wieku. Stamtąd jiutamai przeniknął do domów zamożnych mieszczan, sa-

murajów, a przede wszystkim do dzielnic rozkoszy. Tam gejsze najdrobniejszym gestem, spojrzeniem, oddechem uwodziły zamożnych mężczyzn, odtwarzając przed nimi historię kobiecego cierpienia.

Choć celem tancerki jest sprawienie przyjemności mężczyźnie, jej taniec jest wyjątkową demonstracją kobiecej siły.

– Jiutamai jest tańcem mocno osadzonym w ziemi, pełnym spokoju opartego na pewności swojego miejsca – mówi Hana Umeda. – Nawet jeżeli stoisz w bezruchu, to nie jest tak, że nic się nie dzieje: wszystko, co robisz, robisz w pełni świadomie. Im jest się starszą, tym lepiej się tańczy: nie tylko dlatego, że praktyka jest dłuższa, ale też dlatego, że masz w sobie mniej lęków, mniej rozedrgania.

Na scenie tancerka w kimonie, peruce, z przykrytą makijażem twarzą staje się uosobieniem kobiecości. Jest sobą, ale i mistrzynią, która przekazała jej ten taniec – oraz mistrzynią mistrzyni. W ten sposób dochodzi do spotkania, wywołania emocji, które targały pierwszą tancerką-choreografką-bohaterką danego tańca.

Hana

Hana Umeda od dziecka słyszała, że jest pół-Polką, pół-Japonką. Choć jej matka, Agnieszka Żuławska-Umeda, jest japonistką, a ojciec, Yoshiho Umeda, zapisał się na kartach najnowszej historii Polski jako japoński bohater Solidarności, nie mówiła po japońsku. W pierwszą świadomą podróż do Japonii wyjechała mając 19 lat. Jej „japońska połówka" miała odnaleźć tam swój dom. Tymczasem czuła się bardzo samotna.

Gdy ciotka zabrała ją na spektakl teatru kabuki, zaintrygował ją pokazywany tam taniec. Postanowiła się go nauczyć. Rodzina Umedy związana jest ze słynnym rodem perukarzy w teatrze kabuki – rodziną Kamoji. Teatralna rodzina dała Umedzie dużo mocniejszy mandat do wejścia w świat tradycyjnego tańca niż same japońskie rysy. Ciotka zaprowadziła ją na pierwsze zajęcia do mistrzyni Nishikawy Fukushino.

– Wciąż nie mówiłam po japońsku, ale jakoś udawało nam się dogadać. To był taniec: tańczysz, pokazujesz, powtarzasz. Bardzo szybko nawiązała się między nami bliska relacja. Po lekcji szłyśmy razem na kawkę albo na kolacyjkę. Równolegle uczyłam się japońskiego, więc im więcej byłam w stanie powiedzieć, tym dalej mogła zajść nasza rozmowa. Kiedy po dwóch latach wracałam do Polski, mistrzyni sama zaproponowała, bym zaczęła uczyć: by dalej praktykować, nie przerywać tańca.

Tokijyo

Swoją obecną mistrzynię Hana poznała w Polsce, podczas jej europejskiego tournée.

– Hanasaki Tokijyo jest jedną z najwspanialszych osób pod słońcem! – mówi Umeda, napełniając uśmiechem każde słowo tego zdania. – Moja mistrzyni jest jednocześnie wymagająca i wyrozumiała. Ma w sobie siłę pozwalającą jej rzeczywiście przejmować się losami osób, które ma wokół siebie: jak matka dla dzieci, która jest głównie zainteresowana tym, co się z nami dzieje.

Mistrzyni Tokijyo przez siedem kolejnych lat, przy okazji występów w Polsce czy kolejnych pobytów Hany w Tokio, wprowadzała ją w świat jiutamai: uczyła kolejnych choreografii i pracy z ciałem.

– Jeżeli za dużo zaczniemy myśleć, głowa odcina się od ciała. Widać to w postawie i ruchach – mówi Hana. – Moja mistrzyni umie trafiać w bardzo konkretne punkty w ciele, z których bierze się impuls do danego ruchu. Kiedy to opanujemy, wychodzimy poza formę i szukamy sposobu najpełniejszego opowiedzenia danej historii. To wyjście z formy nie sprawia, że ruchy czy pozycja ciała jakkolwiek się zmieniają. Czasem jest to spojrzenie, oddech, minimalnie dłuższa pauza i wolniejszy ruch: to wszystko może zbudować, uwolnić emocje, które wypełnią cały spektakl.

W październiku ubiegłego roku Hana dostąpiła *natori*, czyli przyjęcia do rodziny.

Natori

– W samolocie, jeszcze zanim wystartowaliśmy, pan steward przynosi mi kieliszek szampana i list: „Jesteśmy pod ogromnym wrażeniem Pani osiągnięć w tańcu jiutamai i już teraz chcielibyśmy pogratulować zdobycia tytułu mistrzowskiego w tej szlachetnej sztuce. 24 października będziemy z Panią myślami na scenie teatru nō w Cerulean Tower w Tokio. Pozostajemy do Pani dyspozycji podczas podróży. Załoga rejsu Warszawa-Tokio".

Bezpośrednie loty do Japonii często obsługują absolwenci warszawskiej japonistyki. Umeda o *natori* pisała w internecie – internauci dzięki zbiórce crowdfundingowej pomogli jej pokryć koszta ceremonii. Po wylądowaniu czekał na nią... test na koronawirusa i przymusowa kwarantanna. Dwa tygodnie izolacji spędziła jednak w doskonałych warunkach: w stworzonym przez jej mistrzynię Mubio-anie – centrum kultury tradycyjnej.

– To przepiękne miejsce – mówi Hana – jakby dopiero co postawiony dom z okresu Edo, ale ze wszystkimi współczesnymi udogodnieniami: na parterze jest wielka sala taneczna, a na piętrze kuchnia, pokoik, łazienka.

Mistrzyni Tokijyo odwiedzała Hanę kilka razy w tygodniu.

Ceremonia *natori* przypomina nieco szintoistyczny ślub: wejście do rodziny. Umedę przyjmowała jej nowa matka – mistrzyni Tokijyo – oraz nowa, jiutumaiowa starsza siostra.

– Najpierw piłyśmy sake. Potem jadłyśmy zupkę przypominającą trochę noworoczny rosołek z owocami morza i algami: symbol celebracji, świętowania, dobrych życzeń. Następnie na takich małych, białych papierkach dostałyśmy po kawałku suszonej śliwki, czyli umeboshi, kawałek suszonego kalmara i kawałek trawy morskiej kombu; wszystkie są związane z życzeniami szczęścia i długowieczności. Wreszcie moja mistrzyni usiadła naprzeciwko mnie i wygłosiła mowę. Podarowała mi wachlarz oraz ręcznie wykaligrafowany dyplom, na którym jest napisane, że Hana Umeda staje się Sadą Hanasaki. Dostałam też drewnianą tabliczkę z moim nowym imieniem. Powinnam powiesić ją na drzwiach swojej szkoły, by było wiadomo, że tutaj uczy Sada Hanasaki. Teraz muszę do tej tabliczki dobudować szkołę.

Sada

Nazwisko Hanasaki Umeda przyjęła od swojej mistrzyni. Imię Sada to ukłon wobec Sady Yakko – pierwszej tancerki klasycznego japońskiego tańca, która pokazywała swoją sztukę poza Japonią. Umeda poświęciła jej wcześniej solowy spektakl.

– Wszystko, co robię, jest tak naprawdę podążaniem jej śladami czy może odgrzebywaniem jej śladów, które już dawno zostały przysypane śniegiem historii – mówi Sada Hanasaki.

Zarówno Tokijyo, jak i Sada Hanasaki lubią eksperymentować. Mistrzyni potrafi w swoim tańcu obok ↦

↦ muzyki *jiuta* wykorzystać utwory Indian z Ameryki Łacińskiej. Najnowszy spektakl, w którym można zobaczyć taniec Umedy, to taneczny koncert *science fiction* „Salvage" w reżyserii Kasi Wolińskiej, który premierę miał 12 listopada w online'owej odsłonie działań Nowego Teatru. W odległej przyszłości, po wielkiej katastrofie, grupa ocalonych próbuje zbudować sobie świat na nowo. Obalony patriarchat symbolizuje wielka głowa – pozostałość pomnika tyrana.

– Na tych szczątkach żyjemy sobie i praktykujemy swoją zupełnie nową kulturę, opartą na równościowych relacjach – mówi Umeda/Hanasaki. – Spektakl tworzą kolejne sceny taneczne i muzyczne, w których przyszłość wyłania się z resztek przeszłości.

Wspólnie z Kasią Wolińską Umeda stworzyła choreografię opartą na zdekonstruowanej strukturze klasycznego tańca japońskiego. Tradycyjne gesty mieszają się z odwzorowaniami radzieckich pomników, figurami Isadory Duncan czy scenami z japońskiego kina lat 60.

Równolegle do pracy z artystami sztuki współczesnej Umeda/Hanasaki chce uczyć i praktykować tradycję jiutamai.

– Bardzo bym chciała osiągnąć taki poziom mistrzostwa, jaki ma moja mistrzyni, by zatańczyć jiutamai w Polsce, nie tłumacząc, o co w nim chodzi, a jednocześnie przekazując widzom całą złożoną warstwę emocjonalną tych choreografii. Od kiedy zostałam Sadą Hanasaki, mam poczucie, że nie tylko to, co robię jako tancerka jiutamai, ale w ogóle to, kim jestem, jak się zachowuję i jak daję się traktować, dotyczy nie tylko mnie, ale całej rodziny. Nie chcę, żeby nazwisko Hanasaki było szargane, i nie chcę sama przynieść wstydu swojej rodzinie.

© KAJETAN PROCHYRA

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Skrzydła i korzenie

ANITA PIOTROWSKA

Z „Metamorfozy ptaków" przebija kojąca czułość, niczym z gestu, jakim matczyna dłoń chowa do puzderka dziecięcy pukiel.

Zasuszony konik morski zatknięty za kobiece ucho to jeden z tych obrazów, które zostają po seansie „Metamorfozy ptaków" Catariny Vasconcelos – filmu nagrodzonego zarówno przez jury, jak i publiczność ubiegłorocznego festiwalu Nowe Horyzonty. Mowa o pamiątce, jaką z dalekich krajów przywiózł ongiś Henrique, dziadek portugalskiej reżyserki i wiecznie nienasycony wilk morski.

Po latach z dawno wypowiedzianych słów i pozostawionych rzeczy ona tka rodzinną pamięć. Wiadomo, że subiektywną, a w wielu miejscach nawet wyobrażoną albo mocno dopowiedzianą. Układa się z tego esej wyjątkowej gęstości, gdzie drzewo genealogiczne okazuje się z jednej strony stabilną konstrukcją, z drugiej – rozwibrowanym, wielogłosowym ptasim matecznikiem, wypuszczającym w świat kolejne pokolenia. Daje wolność, ale też silne korzenie, bo przypomina, że całkowite wyzbycie się grawitacji niechybnie oznacza śmierć.

Debiutująca w kinie Vasconcelos związana jest ze sztukami wizualnymi i to się od początku wyczuwa, chociażby w łączeniu zapisu cyfrowego ze staroświecką taśmą 16 milimetrów i stylizacjach na malarstwo iluzjonistyczne. Kiedy w listach i wspomnieniach młoda reżyserka oddaje głos dziadkom: Henrique'owi i Beatriz, czy ojcu nazywanemu tu Jacinto, przed naszymi oczyma rozpętuje się iście schulzowska orgia obrazów: żywych ciał i martwych natur, widoczków ściennych i widoków za oknem, zdjęć, luster, rodzinnych artefaktów. Autorka wyczarowuje z tego kalejdoskop domowej podświadomości – zmysłowej, zmiennokształtnej, głęboko zanurzonej w życiu rzeczy, niczym kolejna filia „muzeum niewinności", stworzonego kiedyś przez Orhana Pamuka.

Tutaj strażniczką kolekcji była przez lata charyzmatyczna babcia reżyserki. Kiedy jej mąż żeglował, ona budowała dla szóstki ich dzieci bezpieczną przystań. Ale dbała także, by Henrique nie stracił kontaktu z suchym lądem. Z korespondencji małżonków wyłania się fascynujący obraz tej relacji. Uderza przede wszystkim wrażliwy ton jego wypowiedzi, dalekich od marynarskiego gawędziarstwa, skupionych na trudnych emocjach i samotności na morzu. I nawet kiedy pojawia się ryzykowna metafora porównawcza kobiecości i męskości (osadzone w ścianie gniazdko elektryczne kontra swobodnie „przemieszczająca się" wtyczka), Vasconcelos postanawia zabawnie spuentować te słowa, a właściwie zagłuszyć je suszarką do włosów.

Jako że „Metamorfoza ptaków" to gatunkowa hybryda zacierająca granice między dokumentem a inscenizacją (z aktorskim udziałem reżyserki i jej rodziny), traci rację bytu pytanie o stosunek między fikcją i faktami. Film jest przede wszystkim hymnem na cześć nieobecnych już kobiet. Głosem ojca opłakuje babcię Beatriz, której Catarina nigdy nie poznała, a słowami samej reżyserki tęskni za Aną, jej przedwcześnie zmarłą matką. Honoruje ich drobne gesty i miliony powtarzalnych czynności, dostrzega matczyną i babciną obecność w innych stworzeniach, inwentaryzuje wszelkie ślady.

Ten filmowy „bezmatek", by przywołać tytuł powieści Miry Marcinów, ma w sobie coś z trenu, ale też wiele z opowieści o duchach. Pozwala na to surrealistyczna wyobraźnia Vasconcelos czy raczej wyrafinowany realizm magiczny, ożywiający znajome przedmioty, zapraszający na pokoje zdziczałe rośliny i okoliczne ptaki. Nic też dziwnego, że w pewnym momencie służącej Zulmirze, znającej ich mowę, wyrasta ptasia głowa.

Tytuł filmu, znajdujący wytłumaczenie w starożytnych wierzeniach (ponoć w migracjach ptaków dopatrywano się

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Metamorfoza ptaków”

ich przemiany w inne gatunki), mówi o bezradności wobec uciekającego czasu. Za to w drugiej połowie filmu kamera na dobre opuszcza dom i prowadzi swoje intymne śledztwo w pobliskim pejzażu, jakby tam właśnie reżyserka szukała dla siebie nowego ukorzenienia.

Rozpisany na głosy komentarz zza kadru specjalnie miesza formy gramatyczne: różne osoby liczby pojedynczej, rodzaj męski z żeńskim, chcąc wskazać na podobne doświadczenie utraty będące udziałem ojca i córki. Ten korespondencyjny ponadpokoleniowy szmer nie ma jednak nic wspólnego z naiwnym panteizmem lub ślepą pochwałą domowego ciepełka. We wspomnieniach z ojcowskiego dzieciństwa wiele jest goryczy, nie tylko tej związanej z odkryciem śmierci w rajskim ogrodzie.

W jednej ze scen Jacinto rozpamiętuje kolekcję znaczków – jako syn oficera marynarki miał pod tym względem prawdziwe eldorado: Angola, Mozambik, Cabo Verde... Z wiekiem pojawiła się świadomość, czym są te miejsca na ówczesnej geopolitycznej mapie świata. I tak jak jego ojciec, wędrowny ptak spędzający całe miesiące na statkach, ubolewał w liście, że jego dzieci za szybko wyrastają z nadsyłanych mu fotografii, tak najstarszy syn poczuł w pewnym momencie, że „wyrasta z wyobrażeń o domu, kraju i świecie”. Brak tej bałwochwalczej perspektywy wobec rodzinnych pieleszy dosypuje filmowej melancholii nieco ostrzejszych przypraw. Sytuuje rodzinę Catariny – niewątpliwych beneficjentów epoki Salazara – w mniej ciepłym kontekście, a magiczny dom dziadków prześwietla bardziej przenikliwym światłem.

Mimo wszystko z „Metamorfozy ptaków” przebija kojąca czułość, niczym w geście, jakim matczyna dłoń chowa do puzderka dziecięcy pukiel. Takich pudełeczek znajdujemy w filmie sporo, na przykład z egzotycznymi muszelkami – jakby Vasconcelos chciała w nich zachomikować coś znacznie więcej, coś bardzo kruchego, wbrew naturze czasu. Jak przystało na film z gatunku *slow cinema*, film stara się zatrzymać w kadrze chwile ulotne: dzierganie na drutach, ugniatanie ciasta, wygładzanie dłonią świeżo uprasowanych męskich koszul. Folgując swym nostalgiom i fantazjom, reżyserka zna równocześnie swoje ograniczenia. Wie na przykład, gdzie zaczyna się i kończy najbardziej osobista przestrzeń jej przodków, toteż uczciwie przyznaje, że nie ośmieliła się przekroczyć tej granicy do końca.

Czym zatem jest ten kameralny i spektakularny zarazem debiut? Zapewne w dużej mierze własną kreacją, życzeniową rekonstrukcją, wypreparowanym konikiem morskim. Czyli gatunkiem niewątpliwie pięknym, a w dzisiejszych czasach coraz bardziej zagrożonym. ©

METAMORFOZA PTAKÓW *(A metamorfose dos pássaros) – reż. Catarina Vasconcelos. Prod. Portugalia 2020. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. Dostępny na pokazach przedpremierowych w kinach studyjnych.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. My barbarzyńcy!

Dyskusja, bilety na eWejściówki VOD, 26 II, 19.00

Kolejna odsłona „Sztuki myślenia” tym razem odbędzie się stacjonarnie w teatrze (scena MOS) i online. Gośćmi Piotra Augustyniaka i Bartosza Szydłowskiego będą Krzysztof Bielawski i Marek Migalski, a jako temat spotkania wybrano inwazję barbarzyńców, zarówno w polityce, jak i w naszym życiu codziennym.

2. O nieskończoności

Komediodramat, reż. Roy Andersson, Szwecja/Niemcy/ /Norwegia/Francja 2019, mojeekino.pl, 26 II – 7 III

Niczym we śnie krąży szwedzki mistrz pomiędzy tym, co wzniosłe i trywialne, wyobrażone i realne, melancholijne i śmieszne. Rozmyślając o istnieniu odwiedza bunkier Hitlera, filmuje na ulicy współczesną drogę krzyżową, przygląda się parze chagallowskich kochanków... Słowem: ekranowa poezja w czystej postaci.

3. Allen kontra Farrow

Miniserial dokumentalny, reż. Kirby Dick, Amy Ziering, USA 2021, HBO GO, kolejne odcinki co poniedziałek

Jeśli komuś nie znudziła się jeszcze medialna batalia między znanym reżyserem i jego byłą żoną, twórcy czteroczęściowego dokumentu na nowo przyglądają się sprawie domniemanego molestowania małoletniej Dylan Farrow. Udostępniają nieznane dotąd prywatne materiały archiwalne, oddając głos zarówno stronom konfliktu, jak i prawnikom czy ekspertom.

4. Gniazdo

Dramat, reż. Sean Durkin, Kanada/ /Wielka Brytania 2020, VOD

To jeden z lepszych filmów fabularnych minionego roku. Niczym w stylowym horrorze nowo nabyta rezydencja uwalnia w jej mieszkańcach istne demony – niezdrowych ambicji, chciwości i kłamstwa. Ale filmowa rodzina jest tu także produktem gwałtownych przemian społeczno-ekonomicznych lat 80. W rolach głównych Jude Law i Carrie Coon.

JAN

Klata:
Przyszłość teatru

Żyjemy w ostatnich czasach, i to wyjątkowo ostatnich, zwłaszcza ostatnio. Sądny dzień nadchodzi dla wszystkich branż z wyjątkiem wymiaru sprawiedliwości oraz kurierów z pizzą. A ponieważ w aż tak ostatnich czasach informacje dochodzą z opóźnieniem, umknęła mi wieść z Berlina – a szkoda. Szkoda na szczęście nie niepowetowana, mogę się z Państwem nieco już przechodzoną nowością podzielić, albowiem w moim mniemaniu zwiastuje ona przyszłość teatru, który leży na narodowym sercu, w kraju Poloniuszów.

W Berlinie znajdował się kiedyś mur, w murze były przejścia, trzy bodajże: Alpha, Bravo i Charlie. Checkpoint Charlie na Friedrichstrasse oblegany jest przez tłumy turystów, którzy chcą przeżyć dreszczyk zimnej wojny, no i właśnie w ramach owego dreszczyku objawiali się żołnierze amerykańscy, w pełnym kostiumie mundurowym. Za pieczątkę oraz focię na wieczną pamiątkę US wiarusy domagały się skromnej opłaty w wysokości cztery ojro. Performatywny proceder trwał lat 17, zapewniając godziwe życie kilkunastoosobowej aktorskiej trupie. Czytelnikom ujawniam, że ponoć artyści wyciągali do pięciu tysięcy ojro dziennie... Ale już nie wyciągają, zostali bowiem przez władze Berlina rozpędzeni niczym nielegalne Lajkoniki. Dlaczego? Ponoć nie wszystkie datki były dobrowolne. Aktorzy zaprzeczają swej rzekomej przemocowości, zapowiadając powrót do gry i długotrwałą walkę partyzancką aż do końcowego zwycięstwa. Dlaczego zawracam Państwu głowę ulicą i zagranicą? Otóż dostrzegam ogromny, wręcz pandemiczny potencjał owego zdarzenia.

W perspektywie mamy podział Polski na strefy, zresztą wszędzie rysuje się podział: granic, sektorów, murów i barier będzie coraz więcej... I wtedy z pustych teatrów wyjdą odpowiednio poprzebierani aktorzy, aby entuzjastycznie sprawdzić swe umiejętności na wolnym powietrzu. Nie ma co czekać na widzów, trzeba do nich iść, coś istotnego dla nich odegrać na checkpoincie. Zamiast wyrywać murom zęby krat, artyści w mundurach będą pobierać opłaty za przejście, wcześniej odegrawszy szereg rozimprowizowanych scen na gorąco. Teatr uliczny widzę ogromny. Niech no się tylko ociepli. ©

Lektor:
Tajemnica

▪ *Andrés Barba*
ŚWIETLISTA REPUBLIKA
Przełożyła Katarzyna Okrasko.
Wydawnictwo Filtry,
Warszawa 2020, ss. 224.

„Kiedy ludzie pytają mnie o trzydzieścioro dwoje dzieci, które straciły życie w San Cristóbal...". Dziwny początek – zaczynać od ujawnienia puenty i jak gdyby nigdy nic opowiadać dalej? Po co, skoro wiemy już, jaki będzie koniec? To jednak pułapka – nie wiemy i nie będziemy wiedzieć właściwie niczego. Nie tylko dlatego, że opowiadający, lokalny urzędnik pomocy społecznej, był współodpowiedzialny za przebieg wydarzeń, co – jak zauważa w posłowiu Piotr Paziński – „każe ostrożnie traktować jego prawdomówność". Po prostu istotą tej opowieści jest tajemnica. Jest średniej wielkości miasto gdzieś w południowoamerykańskim interiorze, na skraju selwy. „Kolory były tu jednolite, skondensowane i do szaleństwa połyskliwe: intensywna zieleń lasu przylegająca do drogi niczym roślinny mur, błyszcząca czerwień ziemi, błękit nieba ze światłem, które zmuszało, żeby nieustannie przymykać oczy, ciężki brunatny odcień mierzącej cztery kilometry od brzegu do brzegu rzeki Eré...". W mieście pojawiają się obce dzieci: porozumiewają się własnym językiem brzmiącym jak ptasie trele, tworzą jakby społeczność spojoną niejasnymi więzami. Zaniedbane i głodne, przybywają nie wiadomo skąd i znikają. Drobne kradzieże można ignorować, ale sytuacja się zmienia od chwili napaści na supermarket, podczas której giną dwie osoby. Napięcie rośnie, kruchy ład społeczny zaczyna się sypać, uruchamiają się mechanizmy, nad którymi nie sposób zapanować, co więcej – dzieci miejscowe, te z zamożnych i stabilnych rodzin, ulegają fascynacji przybyszami... Że finał będzie tragiczny – wiemy od początku. Czym jednak była ta wspólnota dzieci z selwy? Niezrealizowaną utopią? Pozostały po niej ślady jak po cywilizacjach sprzed tysiącleci, trudne do interpretacji znaki i niepewne próby odczytania językowego kodu. „To niebezpieczna proza, usuwa nam ziemię spod stóp" – pisze Jerzy Jarniewicz. Rzeczywiście, odkłada się tę znakomicie skonstruowaną i trzymającą w napięciu książkę hiszpańskiego pisarza, urodzonego w 1975 r., bez poczucia *katharsis*, za to z samymi pytaniami. W słynnych powieściach Richarda Hughesa i Williama Goldinga, „Orkanie na Jamajce" i „Władcy much", podważona została teza o naturalnej niewinności dzieciństwa. Tym razem zakwestionowana została nasza zdolność do konfrontacji z obcym. O tobie jest ta historia... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Zadanie istnienia

Pięćset dwa. Tyle wynosi wartość liczbowa słów *arur Haman* (przeklęty Haman) i *baruch Mordechai* (błogosławiony Mordechaj). Mamy właśnie Purim, jak co roku wraca do nas historia z Księgi Estery, w której obie te postaci odgrywają kluczową rolę. Pierwszy jako inicjator planu zgładzenia wszystkich Żydów żyjących w granicach Persji, drugi jako ten, który pomógł plan ten udaremnić. Tak naprawdę znacznie ważniejsza i dzielniejsza była tytułowa Estera, ale trudno, żeby mędrcy roztrząsający głębokie znaczenia Pisma wspominali szczegółowo o kobiecie. A idzie o kwestię najwyższej wagi, przywołane słowa padają w komentarzu na temat tego, jak mianowicie konkretnie ma wyglądać „uczta i zabawa", którą nakazano Żydom w związku z ocaleniem od zagłady.

W Talmudzie babilońskim czytamy więc, iż należy w święto Purim pić *ad lo jada*, czyli tyle, by nie być w stanie rozróżnić między przeklętym Hamanem a błogosławionym Mordechajem. Szereg późniejszych komentarzy próbowało poradzić sobie z tym dość jednak kłopotliwym społecznie czy nawet zdrowotnie nakazem. Znany wybieg interpretacyjny zaleca, by wypić tylko tyle, by utracić zdolność zsumowania w pamięci poszczególnych liter w słowach talmudycznej formuły, co daje wspomnianą na początku wartość. Nie jest to do końca skuteczny środek zapobiegający głębokiemu zamroczeniu, bowiem są ludzie o umysłach tak bystrych, że prosta algebra pozostaje w zasięgu ich możliwości, nawet kiedy ich członki odmówiły posłuszeństwa. Poza tym raz zapamiętana, ta liczba już zostaje w człowieku na zawsze. Ilekroć wsiadam pod dworcem w autobus 502, by dojechać do domu, traktuję to jako okazję do kontemplacji zagadnień dobra i zła. Na szczęście droga trwa tylko pięć przystanków, więc nie ma ryzyka, że dojdę do wniosków, po których mógłbym wybrać pętlę lub wypaść na amen z trasy.

A może wszystkie te kombinacje późniejszych rabinów lepiej cisnąć w kąt i potraktować rzecz dosłownie? Wina ma być tyle, żeby pobożny człowiek miał odwagę stanąć oko w oko ze świadomością, że codzienne kategorie moralne są konwencją, którą jest mu dane przekroczyć. Skoro ją dalej stosuje, to dlatego, że sam sobie nadaje takie zadanie (lub je otrzymuje od Boga, który pozostaje poza dobrem i złem). Zadanie istnienia – to jest jedyna możliwa odpowiedź na zło radykalne, takie, które chce cofnąć, upchnąć kolanem z powrotem w nicość całe stworzenie.

Może nadaję niepotrzebnej głębi temu, co jest po prostu karnawałowym wentylem bezpieczeństwa, przez który raz do roku spuszczamy ciśnienie, jakie wytwarza nasza psychika przymuszona do stosowania norm czy wręcz szczegółowych regulaminów moralnych. Nie będę się spierał, przygnębia mnie jednak taka wizja, w której wszystko, co przeżyć okołowiarowych dotyczy, da się wyjaśnić funkcjonalnie w perspektywie potrzeb i zachowań stada naczelnych ssaków. Pozostanę po stronie metafizyki, choćby dlatego, że bez odrobiny pokory przed nieznanym nie dałbym rady ogarnąć zjawisk związanych z jedzeniem, jakie nie mieszczą mi się w żadnej wizji interesów i struktur stada choćby najzłośliwszych małp.

A może po prostu korzystam z okazji i skaczę po kulturach i religiach w poszukiwaniu zgrabnego pretekstu do otwarcia dobrego wina? Znam jednak inną z tym świętem związaną praktykę, również pobudzającą ośrodki w mózgu niczym terapia sensoryczna – składanie palcami drobnych hamantaszy. Jest to jeden z niewielu wypieków, w których moje niezgrabne palce są w stanie osiągnąć efekt dość bliski wzorca bez tuzina prób i marnowania składników. Znajduję wolny wieczór, biorę ciasto, nadzienie z maku lub konfitury figowej i składam te śmieszne trójkąciki. Aż przy którymś z rzędu, kiedy palce zyskają automatyzm ruchu, świadomość powoli przestaje uważać na to, co się dzieje na stole, i błąka się po szarej strefie między smutkiem a wesołością.

Poprzednie święto Purim przypadło 9 marca, dokładnie w dzień, który w moim prywatnym kalendarzu jest początkiem pandemii. Od roku więc chodzę – jak to mówi psycholożka, z którą rozmawiamy w tym numerze – zmęczony niczym. Tyle ważnych i dobrych rzeczy przystopowało. Tylko że na taśmie moich dni nikt nie nacisnął klawisza „pauza". Jeśli istnieje z góry zapisana liczba ciastek, które w życiu mam ulepić, to lepiej, bym nie czekał, aż wróci jakaś normalność. Choćby zostało mi ich do wyrobienia już tylko pięćset dwie sztuki. ©℗

Przepisów na dobre ciasto na hamantasze jest mnóstwo, to taki typowy punkt w przysłowiowym zeszycie każdej żydowskiej babci. Sam nie pamiętam, od kogo i jak skompilowałem tę wersję. Lekko utrzepujemy 4 jajka z 225 ml oleju, 250 g cukru i łyżeczką pasty waniliowej – można też dodać zamiast niej skórkę pomarańczową. Dosypujemy stopniowo 850 g mąki, 3 łyżeczki proszku do pieczenia i szczyptę soli. Mieszamy szerokimi ruchami, zagniatamy, chowamy na pół godziny do lodówki. Wałkujemy na placek grubości 3 mm, z którego wycinamy kółka o średnicy ok. 7 cm. Na środku każdego kółka układamy łyżeczkę nadzienia. Wyznaczamy na każdym kółku trzy cięciwy i zaginamy wzdłuż tak powstałej linii, sklejając w miejscach łączenia fałd. Jeśli się źle sklejają, miejsca styku smarujemy roztrzepanym jajkiem. Pieczemy ok. 15 min. (do ozłocenia) w 180 stopniach. Żeby ciastka miały właściwą kruchość, trzeba dać im odpocząć dobę. Klasyczne nadzienie to masa makowa – ja zwykle w pośpiechu biorę z puszki, czasem ją doprawiam wedle fantazji kroplą czegoś mocnego. Czasem daję konfiturę figową, próbowałem kiedyś też mieszać ricottę z miodem.

INNA / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

LATAWIEC NAD BIEGUNEM

Dwieście lat temu na naszych mapach pojawiła się Antarktyda. Ale co to znaczy „odkryć kontynent”?

ADAM ROBIŃSKI

Pamięci Barry’ego Lopeza

W dzienniku pokładowym Fabiana Gottlieba von Bellingshausena z jego wyprawy na oceany południowe sprzed równo dwustu lat znalazło się dziewiętnaście rzeczowników i czternaście przymiotników na określenie lodu, który dwa statki – korweta „Wostok” i pomocniczy „Mirnyj” – napotkały na swojej drodze. Język okaże się w tej opowieści równie istotny co geografia. Mamy więc pas lodu, masę, górę, pole, bezmiar, blok, kopułę. Jest lód gładki, niski, pływający, gruby czy rozbity. Z perspektywy umiarkowanych szerokości geograficznych taka drobiazgowość może wydawać się fanaberią albo zabiegiem czysto literackim. A jednak nie każdy lód jest przecież lądem, a to kluczowa sprawa, gdy mówimy o odkryciach.

Co do tego, że Bellingshausen, urodzony na wyspie Sarema syn bałtyckich Niemców, był wielkim odkrywcą, nie ma żadnych wątpliwości. Lista lądów, które jako pierwszy Europejczyk naniósł na XIX-wieczne mapy, liczy wiele pozycji. Niektóre z nich to mało mówiące atole i drobiny Polinezji Francuskiej, takie jak Niau, Fakarava czy Nihiri, są również archipelagi południowego Atlantyku, jak Wyspy Traversaya w archipelagu Sandwich Południowy. Najważniejsze dotyczą południowego kontynentu i jego otoczenia, w efekcie czego wciąż uważa się Bellingshausena za tego, który jako pierwszy na własne oczy zobaczył Antarktydę i tym samym potwierdził jej istnienie. Jest też drugim po Jamesie Cooku kapitanem, którego ekspedycja opłynęła cały ziemski glob.

Jeśli prześledzić dokładną trasę wyprawy Rosjanina, okaże się, że była dużo bardziej wymagająca od tej, którą pięćdziesiąt lat wcześniej przemierzył Anglik. Bellingshausen płynął bliżej bieguna południowego, częściej znajdował się poniżej 60. stopnia szerokości południowej (122 dni w porównaniu do 75 dni Cooka), niemal dwa razy dłużej płynął też za kołem

ART WOLFE / ZUMA PRESS / FORUM

Pingwin Adeli, Antarktyda

podbiegunowym. Wśród lodów spędził równe sto dni, nieraz nawigując, jak przyznawał, na ucho. Zdarzało mu się pływać slalomem między górami lodowymi w wietrze o sile od siedmiu do dziesięciu w skali Beauforta. Na podstawie tych i podobnych danych Robert Scott, późniejszy zdobywca bieguna, z zadziwiającą precyzją określił wyprawę Rosjanina mianem „163 proc. bardziej antarktycznej" od przedsięwzięcia Cooka. Wiemy to wszystko dzięki wnikliwej analizie Ripa Bulkeleya, brytyjskiego historyka specjalizującego się w sprawach antarktycznych.

Jeśli weźmiemy globus i odwrócimy go biegunami, na samej górze ujrzymy kontynent asymetryczny, masywny z jednej strony i zadziwiająco podłużny z drugiej. Kształtem przypomina grzyb lub meduzę. Rzadko mamy okazję przyglądać się mu z tej perspektywy, śledzić skomplikowaną linię brzegową i jej zmienny dystans od bieguna geograficznego, zorientować się, jak zróżnicowany to ląd i jak pokracznie opisany. Toponimy na kontynencie pozbawionym jakichkolwiek tubylczych kultur i tradycji stanowią raczej nudny leksykon nazwisk sprzed paruset lat. Na pierwszy rzut oka nie ma w opisaniu Antarktydy żadnej poetyki. Jest raczej odwieczna ludzka potrzeba zaklepywania, obsikiwania terytoriów uważanych dotychczas za bezpańskie. Antarktydę oblewają Morza Weddella, Rossa, Amundsena i Bellingshausena, swoje skrawki lądu ma szereg byłych monarchów i mecenasów, z państwowych i prywatnych kies fundujących zamorskie wyprawy.

Kiedy tak muskamy palcem nieregularną linię brzegową albo zakrywamy kciukiem szelfowe lodowce, możemy spróbować wyobrazić sobie glob bez siódmego kontynentu. Mógłby wyglądać jak mapa z atlasu Szkota Johna Thomsona, wydanego w 1817 r., a więc dwa lata przed tym, jak statki Bellingshausena wypłynęły z Kronsztadu na wody Bałtyku, Atlantyku i dalej na południe. Oceany stykają się na niej w słońcopodobnej plamie, która – zgaduję – ma reprezentować nieprzebyty lodowy pak.

Dwieście cztery lata temu Antarktyda jest Atlantydą, kontynentem mitycznym, którego nie widziało ludzkie oko. Wielu powątpiewa zresztą w istnienie jakiegokolwiek zwartego lądu tak daleko na południu. W 1847 r., a więc wówczas, gdy atlasy wzbogacą się już o sporo odkrytych na południu lądów, polarnik James Clark Ross napisze, że nie ma podstaw sądzić, by były one częścią większej zwartej masy. Dopiero skrzydła, fotografia lotnicza i satelity pozwolą nadać rzeczywisty kształt kontynentowi kryjącemu się na spodzie globusa.

Na południe

Opuszczając w lipcu 1819 r. Kronsztad, Bellingshausen wiedział tylko tyle, jaki ma obrać kierunek. „Należy wykorzystać wszystkie możliwości i podjąć największy wysiłek, aby dopłynąć jak najbliżej bieguna, rozpoznając po drodze i odkrywając nowe ziemie. Nie zaniechać wysiłku aż do niemożliwych do pokonania przeszkód", brzmiała instrukcja ministra ds. morskich. Jednocześnie już na starcie przygotowywanej na chybcika wyprawy wiadomo było, że jej naukowe osiągnięcia będą znikome. Na pokładach obu statków zabrakło przyrodników, którzy mogliby prowadzić obserwacje i pomiary. Załapał się tylko astronom, w tamtych czasach będący przecież pomocą w nawigacji.

Opuściwszy Bałtyk cieśniną Sund, „Wostok" i „Mirnyj" skierowały się w stronę Atlantyku. 190 osób na dwóch okrętach, które po postojach w Portsmouth i na Teneryfie w listopadzie dotarły do Rio de Janeiro. Tam – po trzech tygodniach kolejnych przygotowań – rozpoczęła się właściwa część trwającej dwa sezony ekspedycji. Znamy jej dokładny przebieg, bo kilka lat po jej zakończeniu Bellingshausen opublikował swój dziennik (historycy ubolewają nad zaciemniającymi obraz przeróbkami redakcyjnymi, którym go poddano). Zachowały się też m.in. zapiski drugiego kapitana, astronoma i jednego z marynarzy. Są prace pokładowego artysty, który szkicował m.in. napotykane zwierzęta, głównie ptaki, oraz widziane z pokładu lądy.

Z serii malowniczych, choć przesiąkniętych żeglarską rutyną i technikaliami wpisów, interesuje nas przede wszystkim kilka. Grudzień, „Wostok" i „Mirnyj" docierają do Georgii Południowej, kolonii lęgowej pingwinów królewskich na południowym Atlantyku. Europejczycy znają tę wyspę od dawna, obserwowali ją od stuleci, choć dopiero ludzie Cooka jako pierwsi postawili na niej stopę i przeprowadzili pierwsze badania. Kiedy zbliżają się do niej Rosjanie, z jednej z zatok na ich spotkanie ↦

↦ wypływa statek pod brytyjską banderą. To wielorybnicy, dla tłuszczu polujący na słonie morskie na tutejszych żyznych wodach.

Bellingshausen kartuje południowo-zachodnie wybrzeże wyspy, nanosząc na mapy również grupę aktywnych wulkanów, które przy dobrej pogodzie widoczne są z Georgii gołym okiem. Nazywa je wyspami Traversaya, na cześć ministra ds. morskich w Petersburgu, jednego z głównych promotorów ekspedycji. Marynarze znajdują się w świecie ptaków, przede wszystkim pingwinów, które „chodzą jak człowiek, skrzeczą jak perkoz, a ich skrzydła są małe i nie dają lotu". Łapią siedemdziesiąt z nich, kuchnia przygotowuje potrawkę dla obu załóg. W styczniu Bellingshausen zdąża jeszcze okrążyć Sandwich Południowy, tym samym udowadniając, że to archipelag, a nie większy ląd. Choć ekspedycji towarzyszą już góry lodowe, to wciąż nie jest jeszcze Antarktyka.

ALAMY STOCK PHOTO

Fabian Gottlieb von Bellingshausen z krzyżem orderu św. Włodzimierza, ok. 1840 r.

Dopiero w styczniu „Wostok" po raz pierwszy przekracza krąg polarny. W połowie miesiąca Bellingshausen notuje w dzienniku obserwację lodów, „które przez padający śnieg przedstawiały się nam w postaci białych obłoków". Widzi, że „zwarte lody rozpościerają się od wschodu przez południe na zachód", a droga statków wiedzie „prosto w to lodowe pole usiane pagórkami" (w tłumaczeniu Stanisława Rakusy-Suszczewskiego). Jeśli naniesiemy jego pozycję na współczesne mapy, przekonamy się, że znajduje się naprawdę blisko kontynentu. Lodowe pole, które sprawozdaje, może być więc Lodowcem Szelfowym Fimbul. Ale Rosjanin nie ma o tym pojęcia, nawet nie spekuluje, zostaje mu jedynie starannie opisać ten widok, nie przypisując mu historycznej rangi. Nie może wiedzieć, że południowy kontynent to nie tylko ląd w tradycyjnym, kamienno-piaszczystym wydaniu, ale również struktury glacjologiczne.

Pięć dni później, po krótkim zboczeniu na północ, znów odbija się od nieprzebytej bariery. Pisze o pięćdziesięciu różnorodnych lodowych olbrzymach uwięzionych w środku lodowego pola. „Oglądając przestrzeń całego pola od wschodu przez południe na zachód, nie mogliśmy zobaczyć jego granicy". Zagadka pierwsza: czy wówczas, w styczniu 1820 r., Bellingshausen widzi Antarktydę? Bulkeley – takie prawo badacza – odrzuca tę hipotezę. Twierdzi, że opisy pióra kapitana i paru innych załogantów wypadają blado w porównaniu z tym, co wydarza się później. Najwyraźniej za mało mu w tym lodzie kontynentalnego majestatu.

Wreszcie brzeg

Luty przynosi szereg podobnych opisów i kolejne niewiadome. Spośród nich jeden szczególnie nie daje spokoju historykom. 5 lutego: „Lody w stronę SSW graniczyły z lodem twardo stojącym i brzegi jego były prostopadłe i tworzyły zatoki, a powierzchnia podnosiła się spadziście na południe do granicy, której my nie mogliśmy zobaczyć z salinga". To najbardziej przekonujący opis dojścia do brzegów lodowej kopuły kontynentu Antarktydy, notuje w przypisie tłumacz polskiego wydania dzienników. Również wspomniany wcześniej Bulkeley nie ma wątpliwości, że załoga „Wostoka" widzi tego dnia lodowy fragment kontynentu.

Na początku kwietnia „Wostok" i „Mirnyj" są już w Port Jackson, dzisiejszym Sydney. Kolejne pół roku spędzają na Pacyfiku, by w ostatnim dniu października ruszyć na wschód, w powrotną drogę do Rio. Większość tej trasy wiedzie w znacznym oddaleniu od Antarktydy. Interesująco robi się w styczniu 1821 r. Dziesiątego obserwują w oddali ciemną plamę.

„Po pierwszym spojrzeniu przez lunetę wiedziałem, że widzę brzeg, lecz oficerowie patrzący w lunety nie byli tego pewni". Kiedy się przejaśniło, wszystkich opanowała pewność. Brzeg! To naprawdę brzeg! Pokryte śniegiem czerniejące skały i urwiska. Najprawdziwszy ląd, ląd, którego przez dwa półrocza tak zapalczywie wypatrywali. Za nic nie podejrzewali, że natkną się na niego na samym końcu ekspedycji, tym bardziej że wcale nie obserwowali tu ptaków, które zwykle zwiastują ziemię. Przy całej tej radości Bellingshausen trzeźwo ocenia, że to tylko wyspa. Daje jej imię cara Piotra I, kartuje część wybrzeża, trudne warunki uniemożliwiają lądowanie.

17 stycznia – kolejny brzeg. Lód trzyma ich 40 mil od lądu, ale dzięki klarownej pogodzie widzą przylądek ciągnący się ku północy i kończący wysoką górą, dalej przesmyk i jeszcze więcej gór. Pokładowy artysta szkicuje długie, niewysokie pasmo szarych skał. „Nazywam to odkryciem brzegu, dlatego że oddalony na południe drugi koniec ginął poza zasięgiem naszego widzenia. Ten brzeg pokryty był śniegiem, lecz osypiska i strome skały były od niego wolne. Niespodziewana zmiana koloru morza na powierzchni nasuwa myśl, że ten brzeg jest obszerny i pewnie nie stanowi tylko tej części, która znajdowała się przed naszymi oczami", pisze Bellingshausen, tłumacząc, że nie ma innego wyjścia, jak tylko nazwać na cześć cara odkryty właśnie ląd mianem Ziemi Aleksandra I.

Kontynentalny dryf

Co to znaczy: odkryć kontynent? Bellingshausen wracał do Kronsztadu w glorii chwały, prasa z dumą ogłaszała jego liczne odkrycia „w drodze do bieguna". Nikt nie wspominał o kontynentach, choć ten umowny termin w języku angielskim funkcjonował już w XVI wieku. Ale nawet dziś nie do końca wiemy, jak się nim posługiwać i czynimy to wyjątkowo niekonsekwentnie. Europa i Azja to przecież jedna całość, podobnie jak obie Ameryki. Z kontynentem nie ma nic wspólnego Oceania, którą geografia dla ułatwienia wrzuca do jednego worka z Australią. Krzysztof Kolumb, któremu przypisuje się dotarcie do Ameryki, jako pierwszy zobaczył jedynie Bahamy, Kubę i Hispaniolę. Czy więc odkrycie Antarktyki ma być mniej wartościowe od ujawnienia Antarktydy?

Może dlatego współczesna geografia fizyczna odchodzi już od pojęcia kontynentu, kładąc większy nacisk na płyty tektoniczne budujące litosferę. Ale znów: Bellingshausen nie mógł o tym wiedzieć. Historia zapamiętała go jako odkrywcę Antarktydy głównie za sprawą Ziemi Aleksandra I. Długi, górzysty

pas lądu zdawał się ciągnąć w bezkresną dal, być może w stronę samego bieguna. W jednej z nielicznych chwil, w których porwał się na własną opinię, podbudowany owocną końcówką ekspedycji snuł wizję powstawania niezmierzonych lodowych pól, które mogą rozpościerać się na setki mil, składających się z płaskich wysp, które im bliżej bieguna, tym mają coraz mniej regularne kształty, by wreszcie stać się spadzistymi górami znaczącymi biegun.

„Góry te nazywam macierzystymi, przypuszczając, że w ładny letni dzień mrozu jest około 4 stopnie, wtedy dalej na południe zimno nie zmniejsza się i dlatego wnioskuję, że ten lód idzie przez biegun i powinien być nieruchomy, dotykając miejscami płycizn lub wysp podobnych do Wyspy Piotra I lub przylegać do brzegów, które znajdują się według moich przypuszczeń blisko tej szerokości i długości, w których spotykaliśmy morskie jaskółki. Te ptaki, chociaż ich palce połączone są cienką błoną, należą do nadmorskich, a nie do morskich ptaków".

Ale w 1940 r. amerykańscy polarnicy przemierzający wybrzeże Antarktydy saniami zorientowali się, że Ziemia Aleksandra I jest tak naprawdę wyspą. Od masy kontynentu oddziela ją cieśnina, która jest nieustannie pokryta lodem. Odkrycie Bellingshausena poszło w diabły.

Całą tę opowieść gmatwa jeszcze jeden wątek. W lutym 1819 r., gdy Bellingshausen nie wiedział jeszcze, że za parę miesięcy wyprawi się na południe, William Smith, kapitan i współwłaściciel kupieckiego brygu, walcząc w Cieśninie Drake'a z wiatrem, ujrzał za 60. równoleżnikiem nieznany mapom ląd. Smith płynął z towarem do Valparaiso i nie miał w planach żadnych odkryć. Kiedy jednak zaniósł tę wieść na ląd, sprawą zainteresowała się brytyjska marynarka. Bryg Smitha został wydzierżawiony, on sam zaś stał się prawą ręką kapitana Edwarda Bransfielda, który miał zweryfikować odkrycie.

Dwieście cztery lata temu Antarktyda jest Atlantydą, kontynentem mitycznym, którego nie widziało ludzkie oko.

Początkowo szło im opornie, wiatr pchał ich nie w tę stronę, co trzeba. W styczniu widzieli coraz więcej albatrosów i petreli, miriady fok, kaszaloty i humbaki. Pewnego dnia o ósmej wieczorem ich oczom ukazał się średniej wysokości ląd, częściowo skryty pod śniegiem. Spuścili szalupę, by poszukać miejsca do zacumowania, ale zaraz opadła mgła i nie widzieli już nic. Popłynęli dalej, a gdy powietrze się przerzedziło, ich oczom ukazał się długi przylądek. Rzeźbą przypominał Start Point, jeden z najdalej na południe wysuniętych cypli Anglii, widokiem którego żeglarze zwykle żegnali ojczyznę. Bransfield i Smith posłużyli się więc tym samym toponimem. Start Point był dla nich początkiem eksploracji antarktycznego archipelagu Szetlandów Południowych, leżących 120 kilometrów od Antarktydy. Chcieli zamocować tam flagę z Union Jackiem, odprawić zwyczajowe ceremoniały związane z podbojem nowych lądów, ale przewalające się morze i ogromne fale kazały im porzucić te zamiary.

Wszystko to działo się 15 stycznia 1820 r. Kolejnego dnia żeglujący dalej na wschodzie Bellingshausen zanotował w swoim dzienniku wszechobecny, zwarty lód na horyzoncie. Nie miał oczywiście pojęcia o odkryciu Smitha sprzed roku ani o tym, że w chwili jego ekscytacji nowym lądem ktoś niemal jednocześnie przeżywał te same emocje.

Lopez

W ostatnich dniach minionego roku, gdy myślami byłem w Antarktyce, przyszła wiadomość o śmierci Barry'ego Lopeza. Choć uważał się wyłącznie za pisarza, był podróżnikiem pełną gębą. Odwiedził wszystkie siedem kontynentów, a polem, na którym rosła jego twórczość, były odludne i trudno dostępne miejsca. Metafor szukał w biologii, geografii i antropologii. Samotny głos, który pewnie nie raz zastanawiał się, czy ktokolwiek go słucha, wspominała na łamach miesięcznika „Orion" Margaret Atwood.

W „Horizon", monumentalnej „autobiografii podróży", która zwieńczyła jego pięćdziesięcioletnią karierę pisarską, Lopez przyznawał, że przez całe życie tropił miejsca związane z kapitanem Cookiem, jako tym, który „domknął" glob. Przed Cookiem cała ta ogromna przestrzeń była dla nas ulotna i nieosiągalna, po Cooku nastał czas geograficznego porządku, wypełniania plam, zamazywania dziur. Na mapach świata nie było już smoków, pojawiały się za to kolejne miejsca warte podboju. Tymczasem dla Lopeza to tajemnica była budulcem kultur, spoiwem człowieka z jego otoczeniem. Wpuszczając do naszego życia niepewność, akceptując ją i pielęgnując, orzeźwiamy wyobraźnię, przekonywał. A to przecież wyobraźnia nadaje kształt wszechświatowi. Niektórym – powiadał Lopez – opowieść jest niezbędna do przeżycia tak samo jak jedzenie czy dach nad głową. „To, że dwa plus dwa daje cztery, nijak nie mówi nam, co to znaczy być człowiekiem" – mówił rok temu „Tygodnikowi".

Na jeden ze swoich wyjazdów na Antarktydę, gdy pierwszy raz dane mu było stanąć na biegunie, Lopez zabrał latawiec. Mimo sprzeciwu naukowców, którzy przekonywali go, że to nielegalne, rozłożył go i wypuścił na lodowaty wiatr. Latawiec fruwał w towarzystwie dwunastu narodowych flag pierwszych sygnatariuszy Układu Antarktycznego z 1959 r., który zakładał demilitaryzację kontynentu oraz międzynarodową współpracę naukową. Jeśli Antarktyda jest niczyja, to nie powinny nad nią powiewać żadne państwowe symbole. Latawiec miał je unieważnić, był przejawem buntu i niezgody na jeszcze jedną kolonizację. Bellingshausen, Bransfield, Amundsen, Scott, Weddell, Ross. Rosja, Stany Zjednoczone, Argentyna, Australia. Pionierzy, mocarstwa i ten krnąbrny latawiec na bezimiennym wietrze.

Cook – pisze Lopez w „Horizon" – „nie do końca wierzył w oświeceniowe pryncypia, które kazały mu mierzyć, rejestrować i definiować świat. (...) Spędził swoje życie kartując surową przestrzeń, nakładając na nią siatki i pomiary wysokości, ale jednocześnie rozumiał, czego zmierzyć się nie da, konieczność poprowadzenia linii, która oddzielała znane od nieznanego. Rozumiał, co dzieje się w chwili ciszy pomiędzy dwoma nutami. Wiedział też, jestem o tym przekonany, że jest ona niezbędna".

Więc kto odkrył Antarktydę? Tego nie dowiemy się nigdy, ale opowieść jest przednia.

© ADAM ROBIŃSKI

Korzystałem m.in. z „Bellingshausen & The Russian Antarctic Expedition 1819-1821" Ripa Bulkeleya oraz „The Man Who Discovered Antarctica" Sheili Bransfield.

STANISŁAW

Mancewicz:
Grecy z Lublina

Jak czytamy tu i ówdzie, obecne kierownictwo ministerstwa edukacji zarządziło przegląd podręczników szkolnych. Oczywiście natychmiast powstało z tej okazji mnóstwo posad, gdyż, najkrócej rzecz ujmując, tworzenie miejsc pracy dla kolegów partyjnych to jeden z niewielu sensów istnienia dzisiejszych ministerstw. Nie to jednak będzie dziś tematem naszych świetnych rozważań, lecz przebijające się tu i ówdzie informacje o celach tej akcji.

Oto słyszymy, że ludzie p. Czarnka będą teraz czytać podręczniki w poszukiwaniu elementów czegoś, co prawica zwykła nazywać „pedagogiką wstydu", a następnie tak nazwane fragmenty będą trzebione. Choć sformułowanie „pedagogika wstydu" ma swoje lata i jest w ciągłym obiegu, nigdy nie dowiedzieliśmy się, co w sensie badawczo-akademickim miałoby znaczyć. Prawdopodobnie nic. Na nasz rozum „pedagogika wstydu" to klasyczny prawicowy eufemizm, który każdy bystry i zdrowy na umyśle uczeń powinien natychmiast zastąpić jakimś krzepkim określeniem. Najlepiej więc powiedzieć wprost, że chodzi o wymazanie z podręczników prawdy, która bywa niemiła, by w jej miejsce wkleić nieco miłych a pociesznych legend i historycznych mitów, dobrych dla kibiców piłkarstwa albo jako lektura do poduchy p. Kaczyńskiego i jego kota w butach. Tak to widzimy, i na tym w zasadzie moglibyśmy zakończyć, pójść teraz prędko do księgarni i kupić sobie, póki czas, podręcznik do polskiego. W nadziei, że znajdziemy w nim jeszcze cokolwiek poza fotką Wildsteina zgrabnie ucharakteryzowanego na pisarza. Niestety jeszcze nie teraz, nie już, musimy bowiem szybko zająć się kwestią dla nas najważniejszą, a która, zdaje się, umknęła uwadze obserwatorów.

Pracownik ministerstwa p. Brzózka, koordynujący wertowanie podręczników, zapowiedział takoż, że podlegli mu ludzie będą sprawdzać, na ile w podręcznikach szkolnych wzięto pod uwagę dziedziczenie przez Polaków tradycji greckiej, łacińskiej i ogólnie rzecz biorąc antycznej. Informacja ta dotarła do naszych delikatnych uszu w momencie, gdy Styks tutejszy był skuty lodem, Charoni siedzieli w kożuchach po nadrzecznych chałupach, wyciągając co rusz z zanadrza małe formaty o smaku agrestowym, a miejscowy dowódca floty lodołamaczy udawał Greka, przez co antycznemu Płockowi wraz z okolicznymi gajami oliwnymi zagroziła powódź. Dość do diaska, do stu tysięcy szczepionek na COVID-19, konfekcjonowanych w rozlewni p. Sasina, dość znakomitych żarcików, ponieważ problem poszukiwania śladów dziedzictwa, zwłaszcza antycznego, zwłaszcza w dzisiejszej Polsce i u dzisiejszych Polaków uznać trzeba za zajęcie – pardon – syzyfowe.

Doprawdy, co miał na myśli p. Brzózka, mówiąc o tradycji greckiej bądź łacińskiej w kraju obsadzonym ogłowionymi wierzbami? Na którego polach elizejskich porosłych kartoflami próżno szukać poirytowanych Harpii, gdzie normą jest poczciwy Jaroszek – polny demon mamiący? Otóż stawiamy śmiałą tezę, że mianowicie p. Brzózka niczego nie miał na myśli. To się niestety coraz częściej, jeśli idzie o urzędników państwowych, zdarza. Tego typu niehamowane rozumem fantazje, wygłaszane za pieniądze podatnika, wynikają z rujnującego działania krzyżówki dwu antycznych polskich wirusów – megalomanii i kompleksu niższości. Otóż zupełnie nie wiadomo, co perspektywa lubelska – tak to trzeba nazywać – wprowadzana do podręczników szkolnych za pomocą panów w typie owego Czarnka bądź Brzózki może przynieść nowego. Ogólnie rzecz biorąc mniemamy, że wciskanie rzeszom rodaków nieobecnej tu tradycji czy tożsamości jest bardzo krzywdzące i niezrozumiałe. Jest przemocowe. Nikt, jak Polska długa i szeroka, po powszechnych doświadczeniach *all inclusive* i *last minute* – tego można być pewnym – nie uważał się i nigdy nie da się uznać ani za Greka, ani za Włocha. To jest nie do przeprowadzenia, nawet przez PiS. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

Wydanie specjalne KRYZYS W KOŚCIELE
Już w sprzedaży!

Kiedy się wydaje, że pod lawiną ujawnionych skandali Kościół jeśli nie umarł, to właśnie umiera, papież Franciszek, jak Jezus do żałobników w domu Jaira, mówi: „Nie płaczcie, nie umarła dzieweczka, ale śpi”.

Ks. Adam Boniecki

Skandale obyczajowe i nadużycia związane z systemem władzy w Kościele, flirty z polityką, błyskawicznie przyspieszająca laicyzacja, pełzająca rebelia przeciwko reformującemu Kościół papieżowi Franciszkowi, a także poszukiwanie dróg wyjścia i wizja chrześcijaństwa przyszłości – to tematy kolejnego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”. Wśród autorów, ekspertów i rozmówców „TP” – najwybitniejsi komentatorzy życia Kościoła z Polski i ze świata, watykaniści, hierarchowie, teologowie i reporterzy, a bieżące komentarze dopełniają klasyczne teksty autorstwa m.in. Jerzego Turowicza i ks. Józefa Tischnera.

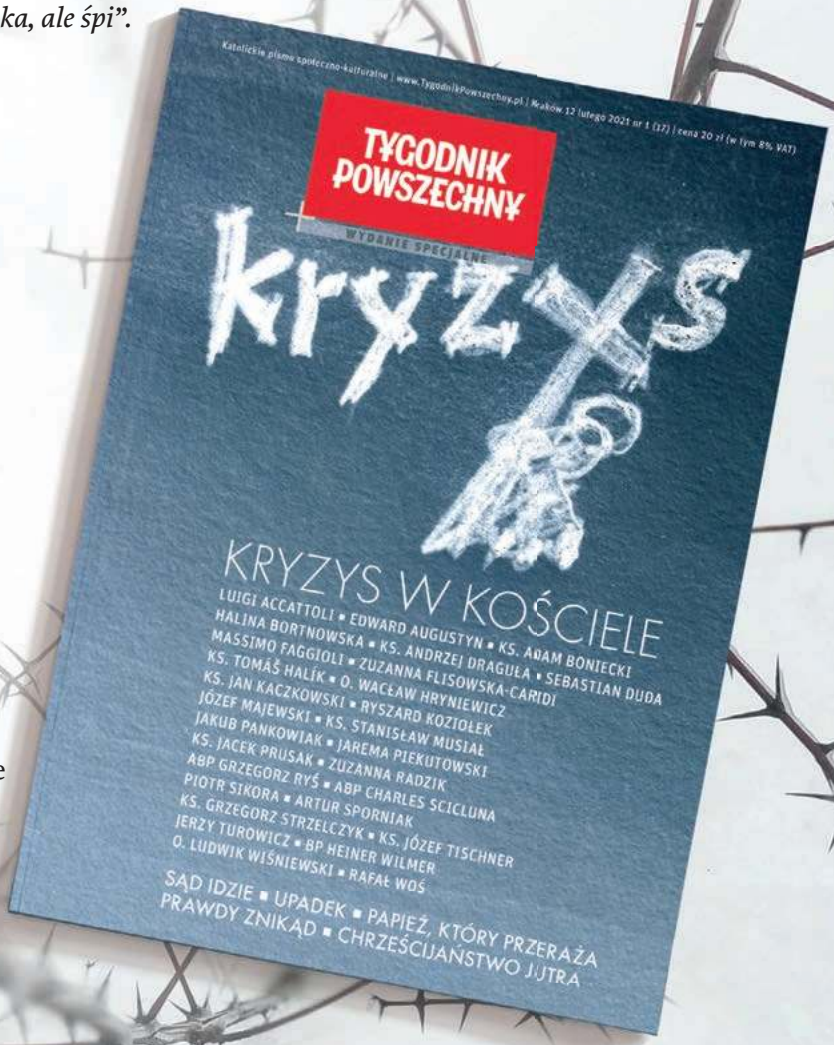

weź, czytaj!

„Kryzys w Kościele” – już w sprzedaży w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/kryzyswkosciele**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNER WYDANIA: wydawnictwo

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

Skoncentrowani na potrzebach biznesu

S-Biznes internet symetryczny dla firm

s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu

- SLA 99,9% bezpieczeństwo sieci
- Wirtualna centrala do 25 stanowisk
- Hosting w chmurze Biznes Premium
- Techniczne wsparcie IT

S-Biznes 1000Mbps

1000/1000

S-Biznes 500Mbps

500/500

Sprawdź na s-net.pl

S-NET GRUPA TOYA +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl / www.s-net.pl